

TADEUSZ DOŁĘGA-  
MOSTOWICZ

**BRACIA DALCZ I S-KA**

# Tadeusz Dołęga-Mostowicz

## Bracia Dalcz i S-ka

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55842834](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842834)

*Bracia Dalcz i S-ka:*

### Аннотация

Wszystko zaczęło się od niewielkiego zakładu założonego przez Franza Dalcza wiele lat temu. Stopniowo rodzinna firma rozwinęła się do wielkiej, znakomicie prosperującej fabryki, pod prezesurą Karola Dalcza i zarządem jego brata Wilhelma. Niestety nie każdy ma głowę do interesów. Syn Wilhelma, Zdzisław, najchętniej wymuszałby posłuszeństwo za pomocą bicia. Starsza córka, Ludwika, wyszła za doktora Jachimowskiego, obecnego dyrektora handlowego Zakładów, który ze swoimi nieprzemyślanymi działaniami oraz skłonnością do załatwiania spraw pod stołem zdecydowanie wart jest swego szwagra. Młodsza córka, Halina, beztrąsko nawiązuje relacje z kolejnymi mężczyznami, z których każdemu chciałaby załatwić posadę w fabryce. Nie wszystko jednak stracone. Prezes firmy znalazł kogoś godnego stanowiska dyrektorskiego. Z zagranicy przyjeżdża jego syn, wykształcony inżynier, Krzysztof. Choć cokolwiek oschły, to człowiek inteligentny i obeznany ze swoją dziedziną. Mimo rozsądku, nawiązuje jednak bliskie stosunki ze swoją nieco nieporadną sekretarką, Marychną, co szybko prowadzi do rozejścia się po fabryce nieprzychylnych plotek. Oto zatem cała rodzina Dalczów. No, prawie cała. Jest jeszcze Paweł Dalcz, który dawno temu zażądał wydania

należnej mu części majątku i przepuścił ją w nieudanych interesach. Żądny władzy, przebiegły, znakomicie znający ludzkie słabości, o umyśle ostrym jak brzytwa. W fabryce nastąpią wielkie zmiany...

# Содержание

Tom pierwszy	5
Rozdział I	5
Rozdział II	33
Rozdział III	77
Rozdział IV	145
Rozdział V	186
Конец ознакомительного фрагмента.	199

# Tadeusz Dołęga-Mostowicz

## Bracia Dalcz i S-ka

### Tom pierwszy

### Rozdział I

Od rana już czymś niedobrym pachniało w powietrzu. Szwajcar<sup>1</sup> Molenda, który jeszcze pamiętał rządy samego nieboszczyka Franza, który większość z tych robotników znał od małego, patrzył spode łba, jak wsypywali się do portierni coraz gęstszymi grupkami, jak mu kiwali głowami, dotykając ręką daszków czapek, jak codziennym nieomylnym ruchem przekręcali rączki zegarów i wybijali swoje numery przy dźwięku krótkich dzwonek.

Niby wszystko tak, jak co dzień, a przecież nie to. Stary Molenda zbyt był zrosnięty z życiem fabryki, by nie wyczuć jakiegoś dziwnego nastroju, czającego się w czymś nieuchwytnym, a grożącego niespodziankami. Jako ostatnie kółko w administracji Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, Molenda rozumiał wagę i odpowiedzialność swej

---

<sup>1</sup> *szwajcar* – portier. [przypis edytorski]

funkcji. Na pewno też poszedłby zaraz do naczelnego dyrektora, gdyby nie to, że dosłownie nie miał na czym oprzeć swych obaw.

Ale niedługo czekały na swe uzasadnienie.

W południe, jeszcze zanim strzałka stanęła na dwunastej, zaczęły się nawoływać syreny fabryczne. Pierwsza odezwała się od „Lilpopa” (tym zawsze się śpieszy!), druga „Ursusa”, później „Woli”, dalej „Rudzkiego”, „Gerlacha”, Gazowni, wreszcie rozległ się tuż chrapliwy baryton „Dalczów”. Podczas gdy Wacek, pomocnik Molendy, otwierał drzwi, on sam wyjrzał na ulicę. Jak zwykle wzdłuż muru fabrycznego, po przeciwnej stronie pod parkanem i dalej koło przejazdu kolejowego poprzykucały gromadki kobiet i dzieci z garnuszkami i zawiniątkami: obiad dla swoich. Zaraz w korytarzu, łączącym podwórze z portiernią, rozlegnie się tupot setek nóg. Zaraz rozzwonią się zegary obecności... Tak jak co dzień. Dziś jednak coś musiało się stać. Molenda podbiegł do okna: na placu przed biurami administracji gromadził się tłum. Spokojny, nieruchliwy, zdawało się nawet – wesoły, gdyż raz po raz zrywały się w nim śmiechy i frywolne okrzyki.

I nagle zakotłowało się z brzegu tuż przy drzwiach biura personalnego. Nad głowami zatrzepotała czarna masa wielkiego wora od węgla. Gwar przeszedł w huk, w potężny ryk, w ogłuszający hałas. Tłum wielką rozhuśtaną falą runął do bramy. Z okien portierni widać było doskonale, jak kłębił się i przewalał wokół popychanych w środku taczek, na których szamotał się śmiesznie i bezkształtnie czarny worek.

– Precz z Łabędziem! – dobiegały z ogólnego wycia poszczególne okrzyki. – Za bramę!... Nie bić go!... Łabędziu mój!... Na zbitą mordę!... Niech idzie śpiewać! Wal sukinsyna!... A kopnij go tam który!... Nie bić go!... Nie bić go lekko!...

Śmiech, wrzaski i podśpiewywanie „Łabędziu mój” mieszały się z dudnieniem setek ciężkich butów po bruku. W tym hałasie stary Molenda nie dosłyszał tupotu w korytarzu, a gdy rzucił się do szafki, by bronić kluczy, było już za późno. Kilkunastu robotników i kilkadziesiąt robotnic otoczyło go zwartą masą, a tymczasem wyłamano drzwiczki od szafki i porwano klucze. Po chwili portiernia opustoszała. Natomiast przeciągły jęk otwieranej bramy świadczył, że klucze zdobyto.

Oto tłum rozstał się. Ci, co popychali taczki, rozpędzili się i taczki z furią wyjechały na ulicę, podskakując na kocich łbach bruku. W jednej chwili przechyliły się i wyrzuciły swą zawartość do rynsztoka, pełnego mętnej i kolorowoszklistej od smarów wody. Radosne, triumfalne wycie napełniło powietrze. Taczki cofnęły się i brama zawarła się z głuchym hałasem, a ludzie ruszyli na podwórze. Nie upłynęła minuta i, jakby nigdy nic, zatłoczyli portiernię, wydzwanając na zegarach wyjście.

Tymczasem Molenda wybiegł przed fabrykę, by ratować uwięzionego w worku. Wiedział, kto to jest. „Łabędziem” przecie od początku nazywają nie tylko tu, lecz na całej Woli, pana Zdzisława Dalcza, dyrektora personalnego. Molenda też nie czuł do niego najmniejszego sentymentu, ale poczuwał się do obowiązku wybawienia członka dyrekcji z okropnej sytuacji. Nie

było to łatwe. Worek z szamocącym się wewnątrz dyrektorem otoczyły kobiety, wśród pisków, wyzwisk i drwin, obsypując go grudkami błota i małymi kamykami. Wierzch worka był mocno zawiązany drutem i Molenda porządnie się namęczył, zanim zdołał uwolnić pana dyrektora. W mokrym i nieprawdopodobnie utyłanym ubraniu jego okrągła postać, nad którą dyszała czerwona, umazana sadzami twarz i piętrzyła się rozmiarziona czupryna, sprawiała tak śmieszne wrażenie, że nawet stary szwajcar nie mógł utrzymać należytą powagi. Poszkodowany zaczął krzyczeć, tupać nogami i wygrażać pięściami robotnikom, którzy mijali go teraz, półgłosem rzucając dotkliwie żarciki.

Nigdy się go nie bali, a teraz wiedzieli, że pozbyli się go raz na zawsze. Raz wywieziony na taczkach, nikt nie ośmielił się wrócić do fabryki. Tak było zawsze i zdawało się im, że inaczej być nie może.

Podczas gdy wywożono młodego pana Dalcza, w gmachu Zarządu nikt o niczym nie wiedział. Gmach stał na uboczu, a jego okna wychodziły na ulicę Węglową. Zresztą wraz z pierwszym dźwiękiem syreny urzędnicy powstali od biurerek. Głośne rozmowy i rumor przesuwanych krzeseł zagłuszył odgłosy awantury. Jeżeli zaś w gabinecie naczelnego dyrektora, pomimo panującej tam ciszy, nie dosłyszano odległego hałasu, to dlatego, że odbywała się tu niezwykle ważna konferencja, decydująca być może o samym istnieniu fabryki. Urzędujący w sąsiednim pokoju sekretarz Holder domyślał się tego

i oceniając wagę sytuacji, nie chciał niepokoić pryncypała<sup>2</sup> wiadomością, że przed biurami administracji zbierają się robotnicy. Dopiero wówczas, gdy z kierownictwa ruchu zawiadomiono go telefonicznie o napadzie na młodego Dalcza i o przygotowanych taczkach, odważył się po chwili wahania wejść do gabinetu i powiedzieć:

– Bardzo przepraszam pana dyrektora, że przerywam, ale jest sprawa bardzo pilna.

– No, cóż tam, panie Holder? – uśmiechnął się naczelny dyrektor swobodnie, chociaż spod jego siwych krzaczastych brwi patrzył niepokój.

Sekretarz zrozumiał i uśmiechnął się również. Ci finansiści nie mogą nawet przypuścić, by w Zakładach Przemysłowych Braci Dalcz miało zdarzyć się coś niepożądanego, a tak niebezpiecznego, by tym aż trzeba było niepokoić samego szefa.

– Właściwie drobiazg, panie dyrektorze – powiedział – ale czeka na instrukcję inżynier Kamiński, a jego pociąg odjeżdża za trzydzieści pięć minut. Dlatego ośmieliłem się...

– Ach, Kamiński, która to? Już po dwunastej? – zdziwił się naczelny dyrektor i zwracając się do dwóch panów siedzących przed biurkiem, dodał kurtuazyjnie<sup>3</sup>: – Z panami tak miło się rozmawia, że zapomina się o czasie. Panowie pozwolą, że na chwilę zostawię ich samych?

– Ale prosimy, panie dyrektorze – zerwali się obaj.

---

<sup>2</sup> *pryncypał* (daw.) – zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *kurtuazyjnie* – z wyszukaną grzecznością, uprzejmością. [przypis edytorski]

Usiedli dopiero wówczas, gdy za Dalczem zamknęły się drzwi. Doskonale wiedzieli, że to jemu na nich zależy, nie odwrotnie, jednak osoba Wilhelma Dalcza wprost nakazywała szacunek. Wspaniały ten starzec, bliski osiemdziesiątki, a taki wciąż rzeński i ruchliwy, nie tylko swoją nieskazitelną opinią, nie tylko szerokimi stosunkami i wpływami czy powszechnie cenionym umysłem imponował ludziom, z którymi się stykał. Sama jego wysoka, nieznacznie przygarbiona postać, sucha rasowa twarz z wysokim jasnym czołem, pogodnym spojrzeniem i z parą siwych jak mleko, niemal szlagońskich<sup>4</sup> dobrodusznym wąsów nakazywała cześć, życzliwość i zaufanie. Toteż niespodziewana przerwa w konferencji wcale nie zaniepokoiła obu finansistów, z góry zdecydowanych na prolongatę<sup>5</sup> kredytów, o które tak chodziło Dalczowi.

Tymczasem on sam stał w sekretariacie ze słuchawką telefonu w rękę i słuchał sprawozdania. Było już po wszystkim. Sekretarz Holder nie mógł wyczytać na twarzy szefa niczego, co wskazywałoby, jak zamierza postąpić. Powiedział tylko krótkie „dziękuję” i położywszy tubę<sup>6</sup>, odezwał się ze zwykłą uprzejmością:

– Zechce pan, panie Holder, sprowadzić mego syna tutaj do

---

<sup>4</sup> *szlagoński* (daw.) – właściwy szlagonowi; *szlagon*: bezpośredni w sposobie bycia niewykształcony szlachcic wiejski. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *prolongata* – przedłużenie terminu płatności, odroczenie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *tuba* – tu: daw. rodzaj słuchawki telefonu; w daw. zestawach telefonicznych zasadniczą częścią słuchawki, służącą jednocześnie za uchwyt, była lejkowata tuba rezonansowa. [przypis edytorski]

sekretariatu. Zaraz.

– Dobrze, panie dyrektorze.

– Na godzinę zaś drugą zamówi pan do mnie delegatów fabrycznych.

– Słucham, panie dyrektorze.

Wilhelm Dalcz wrócił do oczekujących go panów i z właściwą sobie swobodą wznowił rozmowę. Istotnie zależało mu bardzo na szybkim sfinalizowaniu sprawy. Jemu osobiście. W razie przeciągnięcia się pertraktacji znowu byłby zmuszony zwrócić się do brata o dalszy wkład, a to równałoby się wyrzuceniu własnej rodziny z reszty udziałów. Poza tym Karol, niecierpiący bratanków, oczywiście natychmiast usunąłby z fabryki Zdzisława... Zwłaszcza po dzisiejszej kompromitacji.

Na szczęście rzecz w zasadzie była załatwiona. Chodziło tylko o przyśpieszenie terminu i uporządkowanie ksiąg przed przyjazdem z Belgii Krzysztofa, którego trzeba będzie wprowadzić do Zarządu przedsiębiorstwa. Na jakie stanowisko, jakiej pozycji Karol zażąda dla swego syna – Wilhelm Dalcz jeszcze nie wiedział. Znając zdrowy rozsądek brata, nie przypuszczał, by ten chciał od razu powierzyć Krzysztofowi jakiegokolwiek kierownictwo. Ukończenie politechniki i dwa lata praktyki w zagranicznych fabrykach to jeszcze za mało. W każdym razie Karol skorzysta na pewno z pomocy syna w kontrolowaniu gospodarki Zakładów. Oczywiście Wilhelm Dalcz nic przeciw takiej kontroli nie miał. Jeżeli zaś obawiał się czego, to jedynie ewentualnych zatargów Zdzisława

i Jachimowskiego z Krzysztofem, którego prawie nie znał, a który niewątpliwie będzie do tamtych nieżyczliwie przez ojca uprzedzony.

Z przygodnych relacji, jakie Wilhelm Dalcz miewał o swoim bratanku, wynikało, iż jest to spokojny i zimny młody człowiek, no i podobno niezły fachowiec w dziedzinie budowy maszyn. Sam nie znał go prawie wcale. Stosunki wytworzone między domami obu braci przez historie Józefiny sprawiły to, że poza terenem interesów wszelki kontakt zanikł jeszcze przed przyjściem na świat Krzysztofa. Wilhelm Dalcz widział go zaledwie kilkakrotnie i przelotnie podczas wizyt u brata, od czasu gdy ten został sparaliżowany i unieruchomiony w domu. W pamięci stryja bratanek pozostał czarnym smukłym chłopcem o dość wątlej budowie i bardzo dużych oczach. To wszystko.

Rozmyślenia dyrektora Dalcza przerwało wejście sekretarza.

– Syn pana dyrektora oczekuje – powiedział. – Czy mam prosić?

– Niech wejdzie.

Po chwili na progu ukazał się Zdzisław. Na zniszczone ubranie nałożył czyjeś za długie i za wąskie palto i wyglądał niemal odrażająco.

– Usiądź – krótko powiedział ojciec.

– To jest straszne! To jest bolszewizm! Ja w tej chwili zawiadomię policję polityczną! – wybuchnął Zdzisław.

– Zamilknij – podniósł nań surowe spojrzenie ojciec. – Nie po to cię wezwałem, by wysłuchiwać twoich nedorzecznych

pogrózek. Proszę mi krótko i ściśle opowiedzieć, co było przyczyną zajścia.

– A czort ich wie, to było! Już doprawdy nie mam nerwów do tego chamstwa...

– Zdzisławie, albo się natychmiast uspokoisz, albo wyjdiesz.

– No, poszło o tego brygadzystę Dominiaka. Wydałem go. Bałwan, pozwala sobie na bezczelne wyzwiska pod moim adresem i jeszcze innych podjudza. Ile razy przechodzę przez narzędziownie, zawsze jakieś...

– Czekaj – przerwał pan Wilhelm. – A po co właściwie chodzisz do warsztatów, w jakim celu?

– A co, może mi nie wolno po własnej fabryce chodzić? Przepraszam ojca, ale chyba mam prawo!

– Masz obowiązek zdobyć się na tyle rozsądku, by nie prowokować swoją osobą zatargów, które szkodzą przedsiębiorstwu. Wiesz, że nie cieszysz się wśród robotników popularnością...

– Mam w nosie całą popularność! Pluję na to było! Ojciec nie rozumie tego, bo nie ma w sobie krwi wielkich panów, którzy kazali nahajami<sup>7</sup> uczyć moresu<sup>8</sup> czerń<sup>9</sup>. Ale ja mam w sobie i krew Korniewickich!...

– Głupiec – powiedział dobitnie Wilhelm Dalcz. Zdzisław otworzył usta, lecz spojrzawszy w oczy ojca, zamilczał.

---

<sup>7</sup> *nahaj* – rodzaj skórzanego bicia. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *mores* (przestarz.) – posłuszeństwo, rygor. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *czern* (daw., pogardl.) – tłuszcz, hołota. [przypis edytorski]

– Powiniennem usunąć cię z fabryki. Spróbuję jednak zostawić cię. Inżynier Turski zajmie twoje stanowisko, a ty obejmiesz kierownictwo magazynów.

– Żartuje ojciec? Dlatego, że temu chamstwu nie raczę się podobać, mam przejść na niższe stanowisko?

– Jeżeli wolisz pozostać – spokojnie powiedział pan Dalcz – pozostać i dostać kulkę w łeb... Chyba wiesz, jak rozprawiają się z tymi, których raz już wywieziono taczkami?... Otóż powiedziałem, że spróbuję przenieść cię do magazynów. Naturalnie zależy to od zgody delegatów. Ani myślę znosić dalszych awantur. Co zaś dotyczy kierownictwa magazynów, jest ono i tak dla ciebie zbyt trudne. Niestety, nie umiesz nic i do żadnej pracy się nie nadajesz...

– Jestem współwłaścicielem fabryki i chyba mam w niej niejakię prawa?

– Tak ci się wydaje? – uśmiechnął się Wilhelm Dalcz. – Otóż wiedz, że w tych dniach przyjeżdża Krzysztof. I może się okazać, że... że własność twoja i Haliny, i... moja jest tu zbyt mała, by miała nam dać jakiegokolwiek prawa... Idź. Każ się odwieźć do domu moim samochodem i odeślij wóz z powrotem. Wieczorem bądź w domu. Zakomunikuję ci ostatecznie decyzję co do twego pozostania w fabryce.

– Czy ojciec mówił o naszej sytuacji serio?

Wilhelm Dalcz milczał.

– A to ładnie nas ojciec wygospodarował! – wybuchnął Zdzisław.

– Proszę wyjść – odpowiedział półgłosem ojciec.

Gdy drzwi za Zdzisławem trzasnęły, podniósł ręce do skroni i trwał tak przez chwilę w bezruchu... Nacisnął guzik dzwonka. Na progu ukazał się sekretarz.

– Czy są już delegaci?

– Tak jest, panie dyrektorze.

– Niech wejdą.

Weszli trzej robotnicy. Pan Dalcz znał ich dobrze. Już od trzech lat byli wybierani. Mieli bowiem nie tylko wzięcie u ogółu robotników, lecz i uznanie dyrekcji za swój takt i za umiejętność łagodzenia zatargów, których przecie nie brakło, jak w każdej fabryce.

– Dzień dobry, panowie – powitał ich dyrektor, podając po kolei rękę. – Siadajcie, proszę.

W milczeniu ściskali końcami palców dłoni zwierzchnika i usadowili się na stojących przed biurkiem fotelach. Nie zanadto swobodnie, ale i nie na brzeżkach. Ot, zwyczajnie. Najbliżej usiadł największy z nich, tokarz Madejczyk, sękaty chłopisko o zezowatym oku i twarzy zoranej ospą. Jako prezes delegacji on też pierwszy się odezwał:

– Ano niby domyślamy się, panie dyrektorze, względem czego pan nas sobie życzył. Cóż... nie nasza wina.

– Wiadomo – podchwycił siedzący za nim szczupły blondynek, ślusarz z modelarni – sami podmówili się<sup>10</sup>. My

---

<sup>10</sup> *podmówić* – namówić, nakłonić kogoś do zrobienia czegoś; często: podburzyć do czegoś złego. [przypis edytorski]

o niczym nie wiedzielim.

– Zrobiliście mi wielką krzywdę – potrząsnął głową dyrektor Dalcz. – Nie spodziewałem się, że zasłużyłem u robotników na takie postępowanie.

– Co też pan mówi, panie Dalcz? – odezwał się trzeci delegat, giser<sup>11</sup> Czepiel, wznosząc ramionami. – Pana samego to nikt by palcem nie tknął.

– Ale, panie Czepiel, tknął mego syna. A przecież to było takie proste: uznawaliście, że mój syn niesłusznie Dominiaka wydzalił, należało do mnie przyjść i powiedzieć, zamiast doprowadzać do takiego skandalu. Nie spodziewałem się tego, że na starość doczekam się takich od was dowodów życzliwości.

– Panie dyrektorze, kiedy tu nie o Dominiaka chodziło – przerwał Madejczyk uspokajającym tonem. – Dominiaka, wiadomo, niesprawiedliwie wylał, ale w ogóle wszystkim syn pański do żywego dojadł. Za pięć minut spóźnienia kazał po pół godziny strącać, do Kasy Chorych zaświadczeń nie wydawał, a do człowieka to jak do psa gadał. No i co dziwić się, że nerwy nie strzymali?... My sami nieraz chcielibyśmy do pana dyrektora przyjść, ale tak jakoś na rodzzonego syna, choć to po prawdzie mówiąc, a nie uchylbiając, to pan dyrektor nie bardzo tyż z niego, za przeproszeniem, zaszczytu ma. Niby z początku to nic, ale później, jak zaczął się do każdego czepiać, jak zaczął każdego traktować, jak zaczął wyrażać się, to ludzie zniechcieli.

---

<sup>11</sup> giser – rzemieślnik zajmujący się odlewaniem przedmiotów z metalu. [przypis edytorski]

A zwiedzieli się, że znaczy się pański syn, za przeproszeniem, w teatrze opery odśpiewywał, co to za łabędzia był, czy jak tam...

– Za łabędzia, a jakże – z przekonaniem potwierdził blondyn i wszyscy trzej zachichotali dyskretnie.

– A niechby – ciągnął Madejczyk – choć to nie wychodzi<sup>12</sup>, żeby dyrektor personalny i takie rzeczy, ale nie lubili go, to i krzyknie ten i owy, jak pański syn przez halę przechodzi: „Te, Łabędź idzie!”, „A kysz, do Łazienek!”, „Spuszczajcie łabędzia na wodę!”, „Kukuryku!” i takie insze rzeczy. Ludzie, jak ludzie, pożartować lubięją. Żeby mądry był, toby koło uszu puścił, a on czepiał się i jak kogo przyłapał, to już mu zemsta pisana. Tak i z Dominiakiem było. Jakże można, chłop żonaty, troje dzieci, a i rzemieślnik, sam pan dyrektor wie, pierwszoklasny i za byle co za bramę... Jego wina, że panu dyrektorowi personalnemu podobało się łabędzia odstawiać?...

Wilhelm Dalcz zaczął mówić. Spokojnie, jasno, dobitnie. Sądzi, że awantury tego rodzaju są niedopuszczalne, że pomimo wszystko nie może dla nich znaleźć usprawiedliwienia, że nie może ulegać takim presjom, lecz wobec tego, co zaszło, i w przekonaniu, że się to nie powtórzy, przeniesie swego syna na stanowisko głównego magazyniera.

Delegaci spojrzeli po sobie. Blondyn wzruszył ramionami. Czepiel chrząknął, a Madejczyk powiedział:

– Jeżeli pan dyrektor chce ryzykować...

---

<sup>12</sup> *nie wychodzi* – tu znieksz.: nie uchodzi. [przypis edytorski]

– Chcę od was otrzymać gwarancję, że porządek nie zostanie naruszony. Mój syn nie będzie teraz miał żadnej styczności z robotnikami i sądzę, że... dla mnie też możecie panowie mieć niejakię względy.

Czepiel pochylił się do Madejczyka i mruknął:

– Niech tam...

– Panie dyrektorze – odezwał się ospowaty – z panem toby my poszli na zgodę, ale niby jak nam przed towarzyszami mówić? ... Ot, powiemy tak: pan przyjmie z powrotem Dominiaka, to i rychtyk<sup>13</sup> będzie.

Jednak pan Dalcz ze względów prestiżowych nie mógł na to przystać. Po krótkich pertraktacjach doszedł wszakże z nimi do układu: Zdzisław ma zapewnione bezpieczeństwo, Dominiak zaś na trzy miesiące otrzyma pracę u „Lilpopa”, a potem przyjęty zostanie z powrotem.

Po wyjściu delegacji, zanim zjawił się wezwany telefonicznie inżynier Turski, do gabinetu wpadł zięć dyrektora Dalcza, doktor Jachimowski, dyrektor handlowy Zakładów.

– Niech ojciec to podpisze – zaterkotał swoim trzeszczącym głosem, podsuwając różowy blankiet asygnaty<sup>14</sup> kasowej. – Muszę zaraz jechać do ministerstwa i wsunąć te osiem tysięcy do łapy Puczkowskiemu. Inaczej przepadniemy przy przetargu. A to spisał się nasz kochany Zdzich? Co?... Swoją drogą to

---

<sup>13</sup> *rychtyk* (z niem.) – akurat, dokładnie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *asygnata kasowa* – tu: pisemne zlecenie upoważniające do podjęcia pieniędzy w kasie. [przypis edytorski]

bolszewizm. Mówiono mi, że głównym macherem<sup>15</sup> był ten ojca ukochany Czepiel. Należałoby z policją pogadać tak po cichu, żeby go uprzątnęli... No, co ojciec patrzy! Jak Boga kocham, spóźnię się i Czesi nas ubiegną. Puczkowski to uczciwy człowiek, jeżeli wcześniej od nich łapówkę weźmie, to ze mną już gadać nie zechce. No niechże ojciec prędzej podpisuje!

Pan Dalcz przygryzł siwe wąsy i w zamyśleniu przyglądał się różowemu kwadracikowi papieru, nerwowo potrząsanemu przez wymanicurowane brudne palce zięcia. Z wolna podniósł oczy na jego chudą ziemistą twarz i powiedział:

– Nie podpiszę.

– O, Jezu – zatrzepotał rękami Jachimowski – co ojciec myśli, że ja do własnej kieszeni wezmę tę forszę? Niech ojciec sam sprawdzi. Puczkowski w cztery oczy nie będzie ukrywał. A ręczę, że inaczej całe zamówienie diabli wezmą. Jeżeli zaś ojciec znajduje, że w naszej sytuacji stać nas na wyrzeczenie się zamówienia na półtora miliona, to ciekaw jestem, co pan Karol na to powie. Ojciec żyje wciąż ubiegłym stuleciem, ale, do pioruna, dlaczego my wszyscy mamy na tym cierpieć? Niech ojciec zadzwoni do biura sprzedaży. Oni wydostali ceny Czechów. Są prawie o czternaście procent niższe od naszych! Rozumie ojciec?... A zresztą, co ja będę z ojcem wojował? Podpisze ojciec czy nie?...

Starzec zgarbił się i powiedział cicho:

– Daj.

---

<sup>15</sup> *macher* – kombinator, cwaniak, naciągacz. [przypis edytorski]

Powoli, jakby ociągając się przy każdej literze, podpisał i bez słowa podsunął asygnatę zięciowi.

– No i w porządeczku – zaśmiał się pojednawczo Jachimowski, ukazując złoto-czarne uzębienie. – I cóż ojciec zrobi z tym idiotą Zdzichem? Aha, znowu mi przysłała Halina jakiegoś cymbała. Oczywiście wyrzuciłem go za drzwi. Do pioruna, co ona sobie wyobraża, że będę rozdawał posady w fabryce wszystkim jej absztyfikantom<sup>16</sup> i gigolakom<sup>17</sup>? Doprawdy ojciec mógłby trochę utemperować swoją córeczkę. Zdzich napycha nam jakieś wyranżerowane<sup>18</sup> baletnice, Halina swoich gachów<sup>19</sup>, nie dość kochanej rodzinki, jeszcze mamy stać się przytułkiem emerytalnym... Istny dom wariatów... Co to jeszcze? – poskrobał się w łysinę. – Aha! Biuro kalkulacji trzeba wziąć za pysk. Oni nas zarzną cenami robocizny! Liczą na przykład siedemnaście godzin na imadełko „F” do tych dużych frezarek<sup>20</sup>. Umyślnie dowiadywałem się. Czort wie, co. A w niemieckich fabrykach, gdzie robocizna jest o sto czterdzieści procent droższa, wypada w cenie o połowę taniej.

---

<sup>16</sup> *absztyfikant* (pot.) – zalotnik, konkurent do ręki, kandydat na narzeczonego. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *gigolak* (pot. z fr.: *gigolo*) – dziś raczej: *żigolak*: płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym a. młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymywania towarzystwa lub ze stosunków z zamożnymi kobietami. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *wyranżerowany* (rzad.) – wycofany z obiegu. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *gach* (pogard.) – kochanek. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *frezarka* – maszyna do obróbki skrawaniem za pomocą frezu; służy do wykonywania np. rowków, gwintów, kół zębatych. [przypis edytorski]

Po prostu inżynier Kamiński jest za stary i nie umie kalkulować. Na najbliższym Zarządzie postawię wniosek o wyłanie go.

– Kamiński pracuje u nas od trzydziestu pięciu lat – jakby do siebie powiedział Wilhelm Dalcz.

– To i dosyć – ironicznie zawyrokował Jachimowski. – No, do widzenia.

Rozmowa z Turskim zajęła przeszło pół godziny. Później przyszedł główny buchalter<sup>21</sup> z wekslami<sup>22</sup> gwarancyjnymi do podpisu, Holder z korespondencją, szef biura zakupów, majster z hartowni<sup>23</sup> z prośbą o pożyczkę na ślub syna, kierownik wojskowych warsztatów samochodowych z pretensjami z powodu ustawicznego psucia się dostarczonych obrabiarek, Ganzier, przedstawiciel Dalczów w Gdańsku, radca prawny w sprawie procesu z hutą Nordi o niedotrzymanie umowy... Jak codziennie, setki piętrzących się, zazębiających się w najbardziej skomplikowany i niespodziewany sposób spraw, interesów, trudności.

Pomimo swoich lat siedemdziesięciu ośmiu dyrektor Wilhelm Dalcz nie czuł fizycznego zmęczenia. Trwał na stanowisku niewzruszenie i mocno w tej coraz szybciej i coraz bardziej

---

<sup>21</sup> *buchalter* (daw.) – księgowy. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *weksel* – dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *hartownia* – warsztat, w którym wykonuje się hartowanie metalu. [przypis edytorski]

zygzakowato obracającej się masie zdarzeń. Przynajmniej nikt z tych, kto jakkolwiek z nim miał styczność, nie wątpił o tym.

Właśnie wybiła czwarta i syrena fabryczna przeciągłym rykiem oznajmiła koniec dnia roboczego, a woźny wszedł, by dyrektorowi podać palto, gdy zadzwonił telefon, przeznaczony wyłącznie do prywatnego użytku. Jego numer znany był zaledwie kilku osobom, a ponieważ dyrektor Dalcz wiedział, iż pani Józefina o tej porze śpi, jeszcze zanim podniósł słuchawkę i usłyszał głos Blumkiewicza, domyślił się, że dzwonią od Karola.

– Dzień dobry, panie Blumkiewicz – powiedział uprzejmie. – Jakże się ma mój brat?

– Uszanowanie najniższe, panie dyrektorze, właśnie pan prezes polecił mi zatelefonować i zapytać, czy pan dyrektor nie byłby łaskaw wstąpić do niego, albo po obiedzie, albo zaraz.

– Więc przyjechał – wyrwało się dyrektorowi Dalczowi.

– Tak jest, panie dyrektorze, dziś rano razem z panią prezesową. Pan prezes niezmiernie się ucieszył powrotem syna.

– Niech pan powie memu bratu, że zaraz będę.

Położył słuchawkę, mruknął pod nosem coś, czego woźny nie dosłyszał, i wstał. Stary woźny podsunął mu kalosze, a pomagając nałożyć palto, zapytał:

– A to pewno panicz Krzysztof przyjechał?

– Tak, Józefie, przyjechał. Bądź zdrow i powiedz szoferowi, by zjechał po mnie od ulicy Swirskiej.

Podwórze fabryczne już opustoszało. Wilhelm Dalcz szedł swoim równym dużym krokiem po czarnej od węgla, ubitej

i tu i ówdzie połyskującej kałużami ziemi wzdłuż wielkiej hali warsztatów stolarskich, aż do wysokich sztachet, oddzielających teren fabryki od starego ogrodu, w którym stał pałacyk wybudowany jeszcze przez jego ojca. Znał tu każde drzewo i każdy krzak. Przecie sam tu mieszkał przez lat wiele, zanim ożenił się z Józefiną. Wąska ścieżka gęsto była pokryta, mokrymi od niedawnego deszczu, żółtymi i czerwonymi liśćmi. Zupełnie już prawie gołe gałęzie drzew sterczały nieruchomo pod szarym zachmurzonym niebem. Zbudzony jego krokami, zaszczekał wielki łańcuchowy pies, lecz zaraz się uspokoił i zaczął machać ogonem. Wilhelm Dalcz nie bywał tu częstym gościem, ale przecież kundel znał go dość dobrze, by bez obawy dopuścić do wejścia na werandę.

Na spotkanie wybiegł mały, ruchliwy Blumkiewicz i uniesienie pochylając ogromną dominikańską łysinę, wprowadził gościa przez mały, ciemny i ciasny przedpokój do dużego *biedermaierowskiego*<sup>24</sup> salonu o meblach pokrytych białym płótnem. Tu dopiero pomógł panu Wilhelmowi zdjąć palto.

– Pan prezes czeka.

Sąsiedni pokój, służący jednocześnie za gabinet i sypialnię, miał opuszczone rolety. Przy wysokim mahoniowym łóżku paliła się mała lampka, rzucając krąg żółtawego światła na poduszkę i siwą brodatą głowę z żywymi czarnymi oczyma.

---

<sup>24</sup> *biedermaierowski* – utrzymany w stylu *biedermeier*: panującym w Niemczech i krajach Europy środkowej i wschodniej w 1 poł. XIX w. stylu meblarstwa i wyposażenia wnętrz, cechującym się wygodą i przytulnością. [przypis edytorski]

– Jak się miewasz, Karolu?

– Dziękuję ci, Wil. – Chory wyciągnął do brata lewą rękę.

– Dziś lepiej. Siadaj, proszę. Panie Blumkiewicz, przysuń pan fotel... Dziękuję i tego... może pan odejść. Gdy będę potrzebował, zadzwonię.

Zostali sami. Karol chciał nieco podnieść się w poduszkach, lecz nie starczyło mu sił i Wilhelm musiał go ująć pod sparaliżowane ramię, by mu dopomóc.

– Dziękuję ci – stęknął chory. – Dzisiaj przyjechał Krzysztof.

– Domyśliłem się tego. Zechcesz zwołać posiedzenie Zarządu?

– Nie, tymczasem w Zarządzie po dawnemu będzie mnie zastępował Blumkiewicz. Krzyś jeszcze nie chce wchodzić w sprawy ogólne. Oczywiście po pewnym czasie on obejmie prezesurę, a ja się zrzeknę...

– Czy nie uważasz, Karolu, że on jest za młody? Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat. Mógłbyś jeszcze przez rok, dwa...

– Nie – stanowczo zaprzeczył Karol Dalcz – po prostu nie czuję się uprawniony do dalszego zarządzania jego majątkiem. Nigdy ci, Wil, nie mówiłem o tym, ale sam wiesz, że wszystkie pieniądze, jakie wkładałem do fabryki, stanowią wyłączną własność Krzysztofa. Ze spadku po jego przybranym ojcu, nieboszczyku Wyzborze.

Wilhelm nie wiedział o tym. Przypuszczał, że jego brat, prowadząc tak oszczędny i odosobniony tryb życia, sam posiadał znaczne fundusze i z nich czerpał, wykupując udziały bratanków.

Że stary skąpiec Wyzbor, wuj Karolowej, umierając, gdy ona spodziewała się potomka, zostawił adoptację<sup>25</sup> i wielki zapis jej dziecku, na wypadek gdyby urodziła syna – to było powszechnie znane. Przyzwyczajony jednak do skrupulatności brata, Wilhelm nie przypuszczał, by ten naruszył kapitały syna, zanim Krzysztof sam wejdzie do czynnego życia i sam zadecyduje o lokacie.

– No – rzucił lekko – skoro czułeś się uprawniony do dysponowania...

Młodszy brat zmierzył go wymownym spojrzeniem:

– Był to jedyny sposób zabezpieczenia Krzysztofowi mojej części przedsiębiorstwa.

Wilhelm nie odpowiedział, a Karol dorzucił prawie szeptem:

– Zanim zostałyby zmarnowane przez twoje dzieci i różnych przybłędów w rodzaju Jachimowskiego... czy innych protegowanych twojej pani Józefiny... wielkopańskich darmozjadów, próżniaków, kretynów, przez całe to robactwo, które obsiadło twój dom, a które wytrułbym, jak...

Zakaszłał się, pergaminowa twarz pokryła się bladym rumieńcem, w oczach zaszklily się łzy.

– Uspokój się, Karolu – zimno powiedział Wilhelm. – Niesprawiedliwe zarzuty nie stają się słuszne przez to, że wypowiada się je z nienawiścią.

– Tak?... Niesprawiedliwe?... Bój się Boga, Wil, nie wmawiaj we mnie, że sam siebie umiałeś okłamać! Nie udawaj

---

<sup>25</sup> *adoptacja* (daw.) – adopcja, przysposobienie, prawne uznanie cudzego dziecka za własne. [przypis edytorski]

przede mną! Nawet taki Blumkiewicz widzi, że się tylko męczysz!

– Dajmy spokój twoim przywidzeniom, Karolu. Chciałeś mówić ze mną o Krzysztofie.

Chory sapał przez chwilę i żuł wargi. Opanował się jednak i zaczął mówić:

– Tak. Krzyś skończył budowę maszyn, skończył ze złotym medalem. Z fabryk, w których praktykował, ma najlepsze opinie. Jest zdolny, nawet bardzo zdolny. Dlatego sądzę, że będzie pożyteczny. Sam się zresztą o tym przekonasz. Myślałem nad tym, jakie mu stanowisko powierzyć, i postanowiłem, na jego własne życzenie, że zostanie dyrektorem technicznym.

– A cóż zrobimy z inżynierem Wajdlem?

– Cóż? Na razie pozostanie na stanowisku głównego inżyniera. To mu żadnej ujmy nie przyniesie. Przecie dyrekcja techniczna obejmie oprócz jego działu szereg innych, ale o tych szczegółach rozmówisz się już z samym Krzysztofem. Nie wątpię, że zrobisz wszystko, by mu ułatwić pracę...

– Możesz tego być pewien.

– Dziękuję ci, Wil, nigdy ani przez chwilę nie stawiałem pod znakiem zapytania dwóch twoich cech charakteru: uczciwości i szlachetności. Mam tedy<sup>26</sup> dalszą do ciebie prośbę. Nie chciałbym cię dotknąć, ale byłbym ci wdzięczny za umożliwienie Krzysiovi jak najmniejszego kontaktowania z Jachimowskim, Zdzisławem i z całą twoją rodziną.

---

<sup>26</sup> *tedy* (daw.) – zatem, więc. [przypis edytorski]

– Jak chcesz...

– Nie obrażaj się. Krzyś jest trochę odludkiem. Z ludźmi i z życiem w ogóle stykał się mało. Wiesz, że był wychowany przez matkę, a Terenia zawsze unikała ludzi.

– Jednak skoro chcesz, by został dyrektorem technicznym, będzie musiał ustawicznie mieć do czynienia z wszystkimi podwładnymi.

– Właśnie proszę cię, Wil, byś go pomału i w to wprowadził, oswoił z warunkami, z otoczeniem, no i osobiście wdroył w pracę.

– Możesz na mnie liczyć.

– Właśnie. Wiem przecie, że i tobie leży na sercu los przedsiębiorstwa, już chociażby przez pamięć na naszego świętej pamięci ojca, który wierzył, że jeszcze jego prawnuki i prawnuczki utrzymają się na tej placówce... No, a któż po nas to obejmie? Po tobie i po mnie?... Zdzisław?... Chyba sam się nie łudzisz. Zatem tylko Krzyś. I naszym obowiązkiem jest dać mu do tego przygotowanie, jeżeli nie chcemy, by fabryka wpadła w obce ręce. Wprawdzie pozostaje jeszcze twój starszy syn, ale jest to człowiek całkiem zwichnięty... Szkoda, gdy jeszcze był małym chłopcem, miałem nadzieję, że z niego tęgi chłop wyrośnie. Że na nim oprze się z czasem cała firma... A tymczasem szczęśliwa rączka twojej żony tak go pokierowała, że nawet gimnazjum nie skończył, że zrobiła zeń wałkonია i hulakę...

– Daj spokój – smutno potrząsnął głową Wilhelm Dalcz

– nie mówmy o Pawle. Wykreśliłem go z mojej pamięci i z jakichkolwiek rachub. Masz zupełną rację. Pozostaje tylko Krzysztof. Daj Boże, żeby...

Nie dokończył, gdyż zapukano do drzwi i nie czekając na pozwolenie, uchylono je, a na progu stała niska, szczupła staruszka w białym fartuchu.

– O, dzień dobry, panie Wilhelmie.

– Dzień dobry, Tereniu – zerwał się z galanterią<sup>27</sup> i pocałował ją w rękę. – Wciąż wyglądasz młodo i rześko.

– Żartujesz, panie Wilhelmie. Ale przeszkodziłam wam? Chciałam tylko przypomnieć Karolowi, by wziął proszek. On zawsze zapomina.

Staruszka nałala do kubeczka wody i podała mężowi lekarstwo.

– Bądź tak dobra – powiedział chory, oddając kubek – zawiadom Krzysia, że może przyjść powitać stryja Wilhelma.

– Dobrze, złotko.

Czekali w milczeniu.

Upłynęło dobrych pięć minut, zanim usłyszeli szybkie pewne kroki i do pokoju wszedł Krzysztof. Pan Wilhelm, nie podnosząc się z miejsca, obrzucił go uważnym spojrzeniem. Przed nim stał młody człowiek średniego wzrostu, raczej szczupły, o podniesionej głowie. Smągła twarz, gładko wygolona, nieduży prosty nos, ładnie wykrojone usta, duże czarne myślące oczy

---

<sup>27</sup> *galanteria* (z fr. *galanterie*: grzeczność) – wyszukana grzeczność w obejściu, szczególnie w stosunku do kobiet. [przypis edytorski]

i krótko przystrzyżone, w tył zaczesane włosy koloru hebanu składały się na całość poważną i ujmującą.

– Miło mi cię powitać, Krzysztofie – odezwał się wreszcie i wyciągnął rękę.

– Właściwie: poznać – uśmiechnął się młody człowiek. – Tak się jakoś złożyło, że prawie nie widywaliśmy się ze stryjem.

Pan Wilhelm potrząsnął małą, lecz silną dłońią bratanka. Na ogół podobał mu się, tylko miękki i zanadto młodzieńczy głos nieco raził. Natomiast swobodne i naturalne zachowanie się Krzysztofa robiło dodatnie wrażenie. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw stryja. Nie wyglądał na swoje lata, lecz już po chwili rozmowy pan Wilhelm przekonał się, że ma do czynienia z dojrzałym i zrównoważonym mężczyzną.

Krzysztof opowiadał o belgijskich i niemieckich fabrykach metalurgicznych, w których odbywał praktykę, o rozmaitych stosowanych tam systemach administracji, o postępach naukowej organizacji pracy, o nowych metodach regulowania produkcji.

Mówił rzeczowo, bez sadzenia się<sup>28</sup> na znawstwo, bez popisywania się erudycją<sup>29</sup>, lecz w sposób świadczący o gruntownej znajomości przedmiotu i o własnym trzeźwym zdaniu w omawianych sprawach.

Pan Karol Dalcz z nieukrywaną radością wodził oczyma

---

<sup>28</sup> *sadzić się* – próbować się czymś popisać, starać się komuś zaimponować. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *erudycja* – rozległe, wszechstronne wykształcenie, czytanie, wiedza książkowa. [przypis edytorski]

z twarzy syna na twarz brata, który zresztą nie ukrywał swego uznania dla młodego inżyniera. Już sam sposób, w jaki się doń<sup>30</sup> zwracał z pytaniami, aczkolwiek miał w sobie jakby posmaczek egzaminu, świadczył, że pan Wilhelm traktuje bratanka całkiem poważnie.

Weszła znowu pani Teresa z propozycją przyrządzenia kawy, lecz pan Wilhelm podziękował.

– Jakże mój syn, panie Wilhelmie? – zapytała z maskowanym niepokojem.

– Muszę ci, Tereniu, powinszować. O ile znam się na ludziach, będzie z niego prawdziwy Dalcz.

– Jeszcze się stryj rozczaruje – zaśmiał się Krzysztof, ukazując białe i jakby drapieżne zęby. – A dlaczego to stryj z moją matką tak dziwnie się tytułują?

– Widzisz, Krzysztofie, znałem twoją matkę, gdy jeszcze była w tym wieku, kiedy nie tylko mówi się pannom po imieniu, lecz i nosi się je na rękach.

– Jakże chcesz – zaśmiała się pani Teresa – pan Wilhelm był już wówczas studentem.

Pomimo tych wspomnień nastrój do końca był zimny. Przy pożegnaniu ustalono, że Krzysztof nazajutrz z rana zjawi się u pana Wilhelma i zostanie przezeń oprowadzony po fabryce. Nominację otrzyma zaraz, zaś po kilku tygodniach i po bliższym poznaniu przedsiębiorstwa przystąpi do zorganizowania swego działu.

---

<sup>30</sup> *doń* – skrócone: do niego. [przypis edytorski]

Dyrektor Wilhelm Dalcz pojechał do domu. Zapadł już zmierzch i gdy auto dotarło do śródmieścia, w wilgotnym asfalcie odbijały się mętne refleksy oświetlonych wystaw sklepowych.

W ogromnym mieszkaniu przy Alei Ujazdowskiej panował wielki ruch i hałas. Był to piątek, dzień przyjęć pani Józefiny. Wilhelm Dalcz pośpiesznie zdjął palto i przemknął się między rozbieganą służbą przez jadalnię i boczny korytarz do swojej sypialni. Z przyległego gabinetu dolatywały głośnie śmiechy i okrzyki. Przekręcił na wszelki wypadek klucz w zamku, zdjął marynarkę, nałożył stary, zniszczony szlafrok i zadzwonił. Po długim oczekiwaniu wpadła pokojówka. Kazał jej przynieść obiad. Zamiast obiadu zjawiła się jednak pani Józefina i wznosząc ręce nad swą majestatyczną postacią, wybuchnęła oburzeniem: on jej cały dom dezorganizuje, on przychodzi wtedy na obiad, kiedy mu się podoba, wprowadza chaos, odrywa służbę od jej obowiązków, jeżeli Halina dotychczas za męża nie wyszła, to wszystko przez niego, sam palcem nie ruszy, a teraz ona, zamiast bawić gości i czuwać nad porządkiem, musi tu przychodzić, dobrze, niech teraz on sam idzie, ona z miejsca się nie ruszy, dziś pierwszy raz jest ten hrabia węgierski, a ten tak zwany pan domu nawet nie raczy się pokazać, biedna ta Halina, ale ona do grobu nie zapomni wyrodnemu ojcu, zawsze udaje zmęczonego, byle tylko nie spełniać swoich świętych obowiązków...

Pan Wilhelm Dalcz przyglądał się przez chwilę żonie obojętnym wzrokiem, po czym bez słowa położył się na sofie

i zamknął powieki. Pani Józefina, trzasnąwszy drzwiami, wyszła z pokoju.

## Rozdział II

Do pokoju maszyn wszedł sekretarz Holder z miną zwiastującą nowinę.

– No, moje panie – powiedział, zacierając ręce – z jedną z was muszę się rozstać.

W jednej chwili umilkły „Royale” i „Remingtony”<sup>31</sup>, a panna Klimaszewska, która nie dalej jak wczoraj w liście samego dyrektora zrobiła dwa błędy ortograficzne, śmiertelnie zbladła. Holder jednak stanął przy stoliku panny Jarszówny i chrząknął:

– Co pani o tym sądzi, panno Marychno?

– Ależ za co? – przestraszyła się Jarszówna. – Przecie ja, panie Holder, nic nie zawińłam?

– No, niech się pani nie boi! – uśmiechnął się. – Rozstajemy się z panią my, to znaczy sekretariat, a pani dostaje awans i hm... perspektywy!...

– Perspektywy?

– I to jakie! Zostaje pani osobistą sekretarką dyrektora Krzysztofa Dalcza. Niech pani powie Józefowi, żeby przeniósł pani maszynę do gabinetu dyrekcji technicznej.

– Dlaczego Marychna? Czy to „stary” zarządził? Czy dostanie podwyżkę? – posypały się pytania.

– Ba, żebyż „stary”. Sam pan Krzysztof powiedział: „Proszę mi wyznaczyć tę blondynkę, co siedzi przy oknie, ona mi się

---

<sup>31</sup> „Royale” i „Remingtony” – marki maszyn do pisania. [przypis edytorski]

szalenie podoba”.

– Żartuje pan – zaczerwieniła się Jarszówna – to niemożliwe!

– Serio tak powiedział?

Holder stał uśmiechnięty i rozkoszował się wrażeniem, jakie sprawił:

– No, o podobaniu się nie mówił, ale skoro panią wybrał, widocznie coś w tym jest.

– On mi się wcale nie podoba! – zawołała panna Klimaszewska. – Taki jakiś...

– Ho, ho, bo zielone winogrona!

– I od kiedy mam tam do niego iść? Od jutra?

– Po co odkładać szczęście? – z żartobliwym patosem odpowiedział Holder. – Ma pani iść zaraz.

– Ależ ja nie mogę zaraz! – zerwała się Jarszówna. – Niech pan sam patrzy! Mam zupełnie wytarte łokcie i w ogóle to stara sukienka! I włosy mi się całkiem rozfryzowały. O mój Boże, dlaczego mi pan nie powiedział wczoraj! Ja tak nie pójdę za żadne skarby!

Gorączkowo pudrowała nosek i otrzepywała kurz z sukni. Jaskrawe rumieńce i roziskrzzone emocją niebieskie oczy wraz z nieco rozczochraną czupryną koloru lnu składały się na obraz najwyższego podniecenia. Pełne duże piersi wznosiły się pośpiesznym nierytmicznym oddechem. Beładnie machając grzebieniem wyrywała sobie całe pasma włosów.

– Co się tak przejmujesz, Marychno? – wzruszyła ramionami panna Wreczkowska i wydeła przywiedłe policzki. – Myślisz, że

on się z tobą zaraz ożeni? Czy może pośle cię do fotografii?

– Myśli, że Pana Boga za nogi złapała – dorzuciła inna.

– W ogóle ja słyszałam, że on jest już zaręczony i zostawił swoją narzeczoną za granicą. Podobno co drugi dzień do niej listy pisuje.

– No – zjadliwie nadmieniła panna Klimaszewska – teraz Marychna będzie mu listy wystukiwać na maszynie.

– Gadajcie, panie, gadajcie – zauważył sekretarz – a każda z was do nieba skakałaby, żeby była na miejscu panny Marychny.

– O, tylko nie ja.

– I nie ja.

– I nie ja.

– Mnie się on w ogóle nie podoba. Brunet i taki wyskrobek. Mężczyzna powinien mieć wzrost, bary...

– I taki zawsze poważny, jakby kij połknął.

– Sama wczoraj mówiłaś, że takich oczu jeszcze nie widziałas – zaperzyła się panna Jarszówna.

– Phi... no, ma ładne oczy. Ale to jeszcze smarkacz. Co to za wiek dla mężczyzny dwadzieścia osiem lat.

– Dla ciebie pewno, że za mało – odcięła się Marychna. – Przykro mieć do czynienia z mężczyzną o sześć lat młodszym od siebie.

– Kłamiesz! Ja nie mam trzydziestu czterech lat!

– Sza, panienki – przerwał Holder – bo jeszcze „stary” wejdzie. No, panno Marychno, niech pani śpieszy, bo tam jest coś pilnego do dyktowania.

Józef zabrał maszynę, a w chwilę potem Marychna, przeżegnawszy się ukradkiem, wyszła na korytarz.

Gabinet jej nowego szefa mieścił się w końcu korytarza na pierwszym piętrze. Na wielkich czarnych drzwiach wisiała tabliczka:

„Inż. Krzysztof Wyzbor-Dalcz – Dyrektor Techniczny”.

Zapukała i usłyszawszy krótkie, ale melodyjnym głosem rzucone „proszę”, weszła.

Siedział przy biurku, lecz wstał na jej powitanie i odkładając papierosa powiedział:

– Czekałem na panią. Jestem Dalcz.

Uścisk dłoni miał miękki, lecz mocny, a wyraz twarzy raczej surowy i tylko przygodnie uprzejmy.

– Od jak dawna pracuje pani u nas? – zapytał, wskazując jej krzesło.

– Od dwóch lat, panie dyrektorze.

– Zatem jest już pani dość otrzaskana z terminologią techniczną. W każdym razie ilekroć w tym, co będę pani dyktował, będzie pani miała jakiejkolwiek wątpliwości dotyczące pisowni, proszę zapytać.

– Dobrze, panie dyrektorze.

Skinął głową, co zrozumiała jako zakończenie rozmowy. Wstała i zajęła miejsce przy maszynie. Ta była ustawiona w ten sposób, że Marychna musiała siedzieć zwrócona plecami do biurka. Jednak na ścianie przed nią wisiał wielki oszklony plan fabryki i w tym właśnie szkle widziała odbicie swojej jakże

fatalnie nieuczesanej głowy, a dalej kontury biurka i siedzącego przy nim swego szefa. Właśnie przewracał jakieś papiery, rozkładał duże arkusze, segregował małe kartki, na których od czasu do czasu coś notował. To prawda, że wołała mężczyzn wyższych, ale ten był taki przystojny i tak ładnie zbudowany. Oczywiście, koleżanki z sekretariatu krytykowały go tylko przez zazdrość, że właśnie ją wybrał. Byłaby głupia, gdyby z tego miała sobie zaraz coś wyobrażać, ale jednakże... Nawet pasują do siebie, bo on jest szczupły brunet, a ona dość pełna blondynka. Przemysłowiec i stenotypistka<sup>32</sup>... w wielu bardzo pięknych filmach zdarzały się takie sytuacje. Ma się rozumieć, nie będzie tak naiwna, by rozmarzać się na ten temat, ale w każdym razie to awans. W przerwie obiadowej pójdzie do kreślarni<sup>33</sup> pochwalić się ojczymowi...

– Piszemy, proszę pani – rozległ się za nią głos miękki i dźwięczny. – Jest pani gotowa?

– Proszę, panie dyrektorze.

– Nagłówek: „Organizacja dyrekcji technicznej Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki”... Gotowe?

– Tak jest.

– Więc od nowego wiersza: „Z dniem pierwszym

---

<sup>32</sup> *stenotypistka* – maszynistka korzystająca ze stenografii, tj. kobieta zajmująca się pisaniem na maszynie stenograficznej lub przepisująca na maszynie do pisania tekst z notatek stenograficznych; *stenografia*: system szybkiego i dokładnego zapisu za pomocą umownych skrótów i symboli. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *kreślarnia* – pracownia, w której kreśli się rysunki techniczne, rysuje plany itp. [przypis edytorski]

stycznia bieżącego roku wprowadza się następującą strukturę administracji”...

Szybki, sprawny stukot maszyny mieszał się z płynnym wyrazistym głosem dyktującego. Marychna nie podniosła oczu znad klawiatury. Nie rozumiała ani słowa z tego, co wystukiwały jej palce, całą uwagę skupiła na tym, by nie przepuścić ani jednej litery, by nie narobić błędów. Robota musi być wykonana bez zarzutu. Dyrektor Krzysztof Dalcz miarowym krokiem chodził wzdłuż pokoju i dyktował z głowy. W króciutkich przerwach widziała odbicie jego postaci w szybie przed sobą: jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej miał notatki, do których z rzadka zaglądał. Taki elegancki... Krzysztof... To bardzo ładne imię...

Ten student, którego poznała w wagonie, nazywa się Stanisław, w ogóle co drugi chłopak to Stanisław albo Jan, albo Jurek. Pospolicie. Co innego Krzysztof... Krzyś, Krzych, a można i z drugiej połowy imienia: na przykład Toffi – tak jak cukierki!

– ...z uwzględnieniem wyżej wymienionych rubryk mają też być sporządzane codzienne raporty rozchodu magazynowego w trzech egzemplarzach, a to celem wzajemnej kontroli...

Czy też on naprawdę jest zaręczony? W każdym razie dotychczas na żadną z urzędniczek nie zwracał uwagi, a przecież jest już w fabryce od trzech tygodni. W buchalterii<sup>34</sup> mówiono, że wciąż siedzi w warsztatach albo konferuje z kierownikami poszczególnych biur i działów. Ciekawa rzecz, czy teraz będzie więcej przesiadywał w gabinecie? Bo po cóż by kazał przydzielić

---

<sup>34</sup> *buchalteria* – księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

sobie sekretarkę?

Od czasu do czasu, nie przerywając dyktowania, zatrzymywał się przy niej i nachylał się nad maszyną, by sprawdzić, co jest napisane.

„Co za szczęście – myślała Marychna – że wczoraj zrobiłam *manicure*! Co jak co, ale swoich rąk nie potrzebuję się wstydić. Daj Boże każdej. Jutro nałożę granatową sukienkę z białym kołnierzykiem i te jaśniejsze pończochy”.

Zegar na korytarzu zaczął bić dwunastą i niemal jednocześnie odezwała się chrapliwie syrena.

– Pani je obiad w fabryce? – przerwał dyrektor.

– Nie, panie dyrektorze, w domu. Tu tylko śniadanie.

– A bardzo pani głodna?

– Cóż znowu, bynajmniej.

– No więc piszmy dalej. Zależy mi na skończeniu tego memoriału<sup>35</sup> dziś jeszcze. Nie czuje się pani zmęczona?

– O, nie – skłamała Marychna i zaryzykowała mały uśmiech, lecz on w ogóle tego nie spostrzegł.

„To nic – myślała w trzasku maszyny – przecie dziś tylko pierwszy dzień. Za tydzień, dwa, rozkrochmali się i nie będzie taki oficjalny”.

Pisanie skończyło się około trzeciej. Wziął maszynopis i zasiadłszy przy biurku, pograżył się w czytaniu. Zaległa cisza. Marychna nieznacznie rozcierała zmęczone palce, zerkając ku

---

<sup>35</sup> *memoriał* (z łac.) – oficjalne pismo zawierające wyjaśnienie sprawy lub uzasadnienie prośby. [przypis edytorski]

zwierzchnikowi. Jaki on ma ładny owal twarzy i jaką gładką smagłą cerę...

– Proszę pani – podniósł na nią oczy – czy pani jest pewna, że „narzędziownia” pisze się przez „rz”?

– No... tak, panie dyrektorze – odpowiedziała speszona i teraz już sama nie wiedziała, czy nie należy pisać przez „ż”.

– Niech się pani nie dziwi – uśmiechnął się, najwyraźniej uśmiechnął się do niej – niech się pani nie dziwi, że jestem słaby w ortografii. Zarówno szkołę średnią, jak i politechnikę przechodziłem za granicą, a w gramatyce polskiej jestem tylko samoukiem, i to, jak pani widzi, kiepskim.

Chciała coś odpowiedzieć, ale ani rusz nie przychodziło jej na myśl nic odpowiedniego. Tymczasem on skończył czytać i wziął do ręki słuchawkę telefonu wewnętrznego. Kazał się połączyć z naczelnym dyrektorem i powiedział:

– Tu mówi Krzysztof, czy stryj będzie mógł teraz mnie przyjąć?... Dobrze, zaraz przyjdę.

Bez pośpiechu złożył papiery i pobrząkując kluczami zamykał szuflady biurka.

– O której pani przychodzi do pracy? – zapytał.

– O ósmej, panie dyrektorze.

– Hm... Wolałbym, by pani przychodziła o siódmej, za to, oczywiście, już o trzeciej będzie pani wolna. Nie sprawi to pani różnicy?

– Nie, panie dyrektorze, tylko że ja mieszkam w Zielonce i... żeby na czas zdążyć, musiałabym wstawać bardzo wcześnie...

o piątej...

– Ano tak – zastanowił się – trudno panią do tego zmuszać.

Jaką pani ma pensję?

– Dwieście dziesięć złotych.

– Więc dostanie pani podwyżkę, ale trzeba będzie zamieszkać w Warszawie. Czy chce pani?

Naturalnie, że chciała. Mieszka w Zielonce u ojczyma, a teraz przeprowadzi się do miasta i wynajmie pokój, jeżeli to jest potrzebne. Dyrektor Dalcz powiedział, że nawet konieczne, gdyż będzie jej od czasu do czasu potrzebował i w godzinach pozabiurowych, za które, oczywiście, wypłaca jej dodatkowo. Na razie pensja zostanie podwyższona do trzystu pięćdziesięciu złotych.

– Bardzo dziękuję, panie dyrektorze – zaczerwieniła się i niespodziewanie dla siebie samej dygnęła.

To go widocznie rozbawiło, gdyż uśmiechnął się, ukazując śliczne drobne i bardzo białe zęby.

– Ile pani ma lat? – zapytał.

– Dwadzieścia jeden, to jest właściwie dwudziesty drugi – zażenowała się.

– Jest pani jeszcze bardzo młoda. No, więc układ stoi?... Wydam odpowiednie polecenie panu Holderowi. Teraz jeszcze jedno. Proszę panią, by wszystko, co jej dyktuję, zatrzymane zostało w ścisłej tajemnicy. To jest warunek nieodzowny. Do widzenia pani.

Podał jej rękę i wyszedł z gabinetu. Była niezwykle

podniecona. Tyle zmian! Boże, będzie miała taką dużą pensję, no i nareszcie zamieszka w Warszawie! Zaraz od jutra zaczniesz szukać sobie pokoju. Co też ojczym na to powie?

Gorączkowo pakowała swój woreczek i zamykała maszynę. Korciło ją, by pobiec zaraz do sekretariatu i pochwalić się koleżankom, lecz wytrzymała do gwizdka. Teraz zaś musiała śpieszyć się na pociąg. Prędko wybiegła na ulicę. Nie cierpiała tego kawałka drogi do przystanku tramwajowego. W lecie czy w zimie, zawsze było tu pełno błota, a w jesieni należało wręcz uprawiać ekwilibrystykę<sup>36</sup>, by po rozrzuconych tu i ówdzie ceglach dotrzeć do ulicy Wolskiej, gdzie już były chodniki. Dziś jednak wprost nie zwróciła na to uwagi. Na przystanku zebrało się już kilkanaście osób, przeważnie z biura konstrukcyjnego i z kalkulacji. Wszyscy już wiedzieli, że została sekretarką Krzysztofa Dalcza, i wieszowali jej awansu. Osobą młodego dyrektora bardzo się interesowano przede wszystkim ze względu na zmiany, jakie miał zaprowadzić w fabryce, a poza tym z racji, że wszystko, co dotyczyło rodziny pryncypałów, było jednym z najpopularniejszych tematów w rozmowach między pracownikami. Lubiano i bano się Wilhelma Dalcza, z przekąsem mówiono o Zdzisławie, z szacunkiem o Karolu, Jachimowski miał opinię „cwaniaka”, a o Krzysztofie Dalczu nie wyrobiono sobie jeszcze zdania.

Ojczym Marychny Jarszówny, pan Ozierko, jako jeden

---

<sup>36</sup> *ekwilibrystyka* (z łac. *aequilibrium*: równowaga) – zachowywanie równowagi ciała w trudnych warunkach. [przypis edytorski]

z najstarszych pracowników firmy, doskonale był obznajmiony<sup>37</sup> z tymi kwestiami. Toteż, gdy tylko wraz z pasierbicą ulokowali się w przedziale trzeciej klasy pociągu do Zielonki i gdy Marychna zakomunikowała mu propozycję swego szefa, oświadczył, że nic przeciw niej nie ma, gdyż Dalczowie to „rodzina solidna” i nie dadzą swemu człowiekowi zrobić krzywdy. Takie już obyczaje są od starego Franza.

Ponieważ zaś Marychna czuła się od dziś także „swoim człowiekiem” Dalczów, sama zaczęła wypytywać ojczyma o ich historię. Słyszała ją wprawdzie kilkadziesiąt razy, opowiadaną różnym przygodnym słuchaczom, lecz nigdy nie zwracała na nią szczególnej uwagi, nawet wówczas, gdy po skończeniu gimnazjum dostała posadę w fabryce. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Każda informacja, każde słowo miały swoje głębokie aktualne znaczenie.

– Stary Franz – mówił ojczym – nie miał i trzydziestki, jak do Warszawy przyjechał, ale rzemieślnik był już pierwsza klasa i, jak się pokazało, głowę na karku miał. Na psach przyjechał, co mu wózek z całym dobytkiem przyciągnęły, a nie nazywał się Dalcz, tylko Daltz. Ale że to ludziom trudno tak wymówić, to i wszyscy mówili: „a to zanieś zamek do naprawy do Dalcza”, „a niech Dalcz zreperuje zawiasy”, bo to stworzył sobie skromny warsztat na Bonifraterskiej, co to nazywano także i „pod psami”, że to niby na psach przyjechał. Ale człowiek był zacny, pracowity, a był wówczas taki zamożny młynarz na

---

<sup>37</sup> *obznajmiony* (przest.) – zaznajomiony z czymś. [przypis edytorski]

Pradze, Bauer się nazywał. Też z Niemców. Otóż Franz robił to i owo przy młynie i coś w dwa lata z córką Bauera się ożenił. Podobno w posagu dostał pięć tysięcy rubli, czy więcej. A że człowiek był oszczędny, pracowity i niegłupi, zaraz sobie niewielką kotłarnię<sup>38</sup> założył, a pomału plac za wolską rogatką<sup>39</sup> kupił i zaczął budować. Trochę ze swoich, trochę z posażnych<sup>40</sup>, a trochę z pożyczonych, bo był uczciwy i ludzie mu własną duszę zawierzyliby. Powodziło się nieźle. Z początku narzędzia rolnicze robił, później na Kolej Wiedeńską<sup>41</sup> różne zamówienia przyszły. A jak synowie szkoły pokończyli i ojcu pomagać przyszli, to już w fabryce ze dwustu robotników było.

– To znaczy, że w tej samej fabryce, gdzie my teraz pracujemy? – zapytała Marychna.

– W tej samej. Tylko że po śmierci starego Franza obaj synowie zaraz fabrykę rozszerzyli, zarzucili drobną robotę i przeszli na fabrykację<sup>42</sup> maszyn. Starszy, Wilhelm, że to bardziej przystojny i elegancki był, z hrabianką się ożenił,

---

<sup>38</sup> *kotłarnia* – zakład produkujący kotły. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *rogatka wolska* – zespół dwóch nieistniejących dziś budynków w Warszawie, znajdujących się na początku ul. Wolskiej, zbudowanych na pocz. XIX w. przy drodze wyjazdowej z Warszawy do wsi Wola; *rogatka*: daw. posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *posażne (środk)* – pieniądze z posagu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *Kolej Wiedeńska* – linia kolejowa Warszawa–Skierniewice–Koluszki–Piotrków–Częstochowa–Dąbrowa Górnicza na Kraków i Wiedeń, najdawniejsza w Królestwie Kongresowym, zbudowana w latach 1838–1848. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *fabrykacja* – produkcja. [przypis edytorski]

z panną Korniewicką. Zbiedniała rodzina, tylko na małym folwarczku siedziała, ale zawsze, co hrabianka, to hrabianka. Tylko że mu na pomyślność nie była. Strasznie nosa darła<sup>43</sup> i zaczęło się od tego, że z młodszym bratem Wilhelma, z Karolem, pokłóciła się i podobno nawet za drzwi go wyprosiła. A poszło o małżeństwo Karola.

– Naszego prezesa?

– Właśnie. Zakochał się on w jednej Gruszkowskiej, córce kupca korzennego. To hrabiance, wiadomo, nie w smak. A panienka ładna była, drobna taka, no i pan Karol, jak zaciął się, to i ożenił na złość bratowej. Stąd i zerwanie przyszło. A jak matka, tak samo i dzieci z daleka się trzymali od pani Karolowej. Wilhelmowi w rok po ślubie urodził się pierwszy syn, Paweł. Ten, widać, w matkę się wdał, bo żadnych nauk nie skończył i albo hula po świecie, albo w matczynym folwarku siedzi i, jak mówią, z rodzicami żadnych stosunków nie ma. Potem urodziła się córka Ludwika, ta, co jest za dyrektorem Jachimowskim, Wilhelmowi znaczy się, później Zdzisław, ten co go niedawno taczkami wywieźli, też nie udał się, a później córka Halina.

– To ta, co przyjeżdża czasami do fabryki takim zielonym samochodem i z psem – kiwnęła głową Marychna.

– Bóg ją tam wie, ale o niej też ludzie, jak to ludzie, za dobrze nie gadają.

– A Krzysztof?

– Krzysztof to, jak wiesz, syn prezesa Dalcza. Opowiadali,

---

<sup>43</sup> *nosa darła* – zadzierała nosa, była zarozumiała. [przypis edytorski]

że dlatego za granicą był kształcony, żeby tu nie spotkał się z dziećmi swego stryja, bo taka już złość między matkami była. Ale że Karol był oszczędny, a Wilhelma i żona, i dzieci rujnowały, to i Krzysztofa większa część jest w fabryce. I ty uważaj, żebyś mu nie naraziła się czymś, bo on ma tam najważniejszy głos. Nawet dziś słyszałem od inżyniera Lasockiego, że Krzysztof pewno po Wilhelmie naczelnym zostanie.

– Ja tam mu wcale nie myślę się narażać – żarliwie zapewniła Marychna.

– Mnie już nie wyrzucą, od chłopca w fabryce pracuję, ale ty uważaj. Mogą być wielkie zmiany, jakby Krzysztof wysadził stryja z dyrekcji.

– A dlaczego oni wszyscy nazywają się po prostu Dalczami, a ten jest Wyzbor-Dalcz?

– Bo adoptowany. Widzisz, matka Krzysztofa, z domu Gruszkowska, miała wuja, także był ze szlachty, a że był bezdzietny, więc wielkie miał zmartwienie, że na nim ród się kończy. On właśnie powiedział pani Karolowej: „Jak syn się wam urodzi, to go adoptuję, niech i moje nazwisko nosi, a cały mój majątek jemu zapiszę”. I testament taki zrobił. Otóż dlatego ten i nazywa się Wyzbor-Dalcz.

Po przyjeździe do Zielonki Marychna zaraz zakrzętnęła się przy pakowaniu swoich rzeczy. Wprawdzie trochę było jej żal zostawiać ojczyzna, ale ponieważ i tak były w domu dwie jego własne córki, o wygody starego nie potrzebowała się martwić.

Nazajutrz o piątej rano już była na nogach, a o siódmej w fabryce. Bardzo się cieszyła, że zdążyła przyjść do gabinetu, zanim jeszcze zjawił się jej szef. Skorzystała z okazji, by na chwilę wpaść do sekretariatu i pochwalić się zmianami, jakie mają zajść w jej życiu. Panna Klimaszewska zaraz zaproponowała jej, by zamieszkały razem.

– Eee, kiedy ty tak daleko mieszkasz – wymijająco odpowiedziała Marychna.

– No, to mogę się przeprowadzić. Znajdziemy pokój gdzieś bliżej.

– Daj jej spokój – wtrąciła panna Proszyńska – przecie widzisz, że Marychna chce mieszkać sama.

– Aha!

– Inaczej po cóż by przeprowadzała się z Zielonki – złośliwie dorzuciła inna.

– Głupie jesteście – obrazila się Jarszówna i wybiegła na korytarz.

Właśnie zdążyła wejść do gabinetu szefa, gdy i on się zjawił. Wszedł swoim tak charakterystycznym, lekkim, elastycznym krokiem i przywitał ją wesołą uwagą:

– Jak to miło z pani strony, że już dziś przybyła pani o siódmej.

– Zastosowałam się do życzenia pana dyrektora...

– Dziękuję pani. A pokój już jest?

– Jeszcze nie.

– Ma pani może w mieście krewnych, u których mogłaby pani

zamieszkać?

– Nie, panie dyrektorze. Wynajmę pokój.

– Tym lepiej – powiedział.

Nie zrozumiała, dlaczego ma to być lepiej, i zapytała:

– Jak to lepiej?

Krzysztof Dalcz roześmiał się:

– No... powiedzmy, będzie się pani czuła swobodniejsza...

– Ach tak...

– Ma pani zapewne jakiegoś miłego narzeczonego, będzie mógł panią odwiedzać – powiedział po chwili wahania.

Policzki Marychny zaróżowiły się gwałtownym rumieńcem, a serce zaczęło bić mocno i szybko.

Przecie to już wcale nie było dwuznaczne!

Dalcz wyjął z kieszeni dużą srebrną papierośnicę i zapalił.

– Czy zadowolona jest pani z nowej pracy? – zapytał, stojąc wciąż przy niej i udając, że nie spostrzega jej zmieszania.

– Bardzo – powiedziała z mocnym akcentem szczerości.

Chciałaby teraz zapewnić go, że jest zachwycona, że będzie starała się, jak nikt, żeby tylko był z niej zadowolony, że zrobi wszystko, co leży w jej umiejętnościach, by pozyskać jego życzliwość...

Myśli Dalcza widocznie zbliżoną szły drogą, gdyż powiedział:

– Mam nadzieję, że będziemy z siebie zadowoleni. Prosiłbym panią, by miała do mnie zaufanie i by zbyt nie dzieliła się z przyjaciółkami tym, co robimy i o czym ze sobą mówimy.

– Ależ, panie dyrektorze, to jasne!

– Zatem doskonale.

– Zresztą ja nie mam przyjaciółek – dorzuciła.

Zaśmiał się jakoś dziwnie:

– Jesteśmy zatem oboje w podobnym położeniu: ja też nie mam przyjaciół... Tak... No, ale zabierajmy się do roboty.

Zasiadł do biurka, przez chwilę wertował notatki i zaczął dyktować.

Jeżeli wczoraj Marychna nie rozumiała tego, co pisała, to dziś była tak podniecona wyobraźnią, że sama sobie dziwiła się, jak może pisać, nie słysząc poszczególnych wyrazów, a tylko melodię tego świeżego młodzieńczego głosu.

Kilkakrotnie przerywano im pracę. Wchodził woźny z jakimiś papierami, inżynier Wajdel i inni. Marychna spostrzegła, że z nimi rozmawiał inaczej niż z nią. Wprawdzie głos był ten sam, ale ton suchy, szorstki, zdania urywane. Obserwacja ta ucieszyła ją niezmiernie. Bała się puszczać zbyt daleko wodze fantastycznym marzeniom, ale cóż mogła poradzić na to, miała tylko dwadzieścia jeden lat i marzenia dość nieposłuszne.

Dyktowanie trwało do dwunastej.

– No, teraz niech pani każe sobie dać herbatę – przerwał Dalcz – i życzę pani dobrego apetytu. Ja też pójdę na śniadanie, później zaś zabawię trochę na warsztacie. Pani może zająć się przygotowaniem trzech okólników<sup>44</sup> według tych oto schematów, wszakże z uwzględnieniem zmian, porobionych przeze mnie

---

<sup>44</sup> *okólnik* – pismo służbowe z poleceniami a. wskazówkami wydane w jednym egzemplarzu i przekazywane obiegiem między odbiorcami. [przypis edytorski]

ołówkiem na marginesie.

Skinał jej głową i wyszedł.

Z jaką radością Marychna zabierała się teraz do pracy, z jaką dbałością wykonywała wszystkie jego polecenia. Fabryka przestała być miejscem codziennej szarej pańszczyzny, a stała się treścią dnia. Wolne godziny, spędzone poza biurem, stanowiły tylko jakby uzupełnienie doby, jakby czas pozostawiony na to, by mogła przygotować się do tej chwili, kiedy on wejdzie i obrzuci ją miłym, ciepłym spojrzeniem swoich przepięknych oczu. A był taki uprzejmy i taki uważny. Zawsze spostrzegał każdy nowy szczegół w jej ubraniu, czasem nawet dawał jej rady: „najlepiej pani w zielonym”, albo: „niech pani spróbuje czesać się trochę inaczej, bardziej gładko, mam wrażenie, że będzie to w pani typie”.

Marychnie aż dziwno było, że mężczyzna, i do tego jej zwierzchnik, taki poważny człowiek, jest dla niej taki uważny, życzliwy i interesujący się nią całkiem widocznie. Świadczyło to o jego naprawdę wielkopańskim wychowaniu i o dużej delikatności. Dotychczasowe doświadczenie Marychny w obcowaniu z mężczyznami, w ogóle niewielkie, nie wychodziło poza jej sferę, poza kilkunastu znajomych urzędników, studentów czy młodych oficerów. Nie kochała się nigdy. Ten i ów podobał się jej czasami, lecz bliższy kontakt z nimi zamykały podświadomie jej marzenia o wielkiej miłości do jakiegoś niezwykłego człowieka, egzotycznego

maharadży<sup>45</sup>, sławnego lotnika, gwiazdora filmowego czy zwycięzcy olimpiady. Oczywiście dyrektor Krzysztof Dalcz nie był żadną z tych postaci, był czymś znacznie mniejszym, ale i czymś znacznie większym. Dlaczego, sama nie wiedziała. Nie starała się zresztą tego zgłębić. Zbyt pochłaniało ją przeżywanie rzeczywistości i wznoszenie nad tą rzeczywistością fantastycznych marzeń o jutrze.

Teraźniejszość stanowiła już jakby próg do niej. Marychna wynajęła nieduży, ale bardzo ładniutki pokoik przy ulicy Leszno. Dojazd stąd do fabryki trwał niespełna kwadrans, wstawiała zatem z rana tak jak dawniej, o szóstej, a o trzeciej była już wolna. Ten rozkład dnia wpłynął też na rozluźnienie stosunków z kolegami. Nie spotykała ich w tramwaju, a zastosowując się do prośby zwierzchnika, nie starała się też widywać ich w wolnej południowej godzinie. Z początku trochę irytowały ją uwagi dawnych przyjaciółek na temat jej rzekomego „zadzierania nosa”, z biegiem czasu przestała na nie reagować, tym bardziej że ostatecznie miała prawo uważać się za kogoś nieco wyższego w hierarchii fabrycznej od nich. Sprawiała to nie tylko większa pensja, lecz i sposób, w jaki traktował ją dyrektor Krzysztof Dalcz.

Nie mogła tego nie zauważyć, że ilekroć do gabinetu wchodził ktokolwiek, Dalcz, zwracając się do niej, był wyjątkowo uprzejmy, do przesady grzeczny, demonstracyjnie miły, przy jednoczesnym ściśle oficjalnym ustosunkowaniu

---

<sup>45</sup> *maharadża* (sanskryt: wielki król) – tytuł władców indyjskich. [przypis edytorski]

się do przybyłego. Kontrast ten sprawiał Marychnie niedającą się określić radość. Cieszyłaby się nim może mniej, gdyby wiedziała, jaki efekt wywołał w licznych biurach Zakładów. Dla niej ten efekt wyraził się tylko w tym, że teraz wszyscy, nie wyłączając inżynierów i kierowników biur, witali ją z większym szacunkiem, wstawali z krzesła, gdy z nią rozmawiali, kłaniali się z daleka i nie pozwalali sobie przy niej na żarciki.

Teraz już dość często z polecenia zwierzchnika załatwiała różne sprawy w biurach i w kantorach<sup>46</sup> warsztatowych. Czasami nawet wysyłana była do miasta, by kupić jakieś książki techniczne lub wypisać jakieś dane z wielkich encyklopedii w bibliotece na Koszykowej. Ilekroć była rzecz pilna, pan Krzysztof kazał jej jechać własnym samochodem. Zaczynały się już pierwsze przymrozki i jazda otwartym wozem nie sprawiałaby zbyt wielkiej rozkoszy, gdyby nie fakt, że to był jego wóz, no i że z okien buchalterii widać było doskonale, jak wsiadała i jak szofer owijał jej nogi dyrektorskim pledem. A cóż to dopiero był za jubel<sup>47</sup>, gdy z okien tych zobaczono, jak wsiadali oboje: ona i pan Krzysztof Dalcz!

Zdarzyło się to przy takiej sposobności: o drugiej skończyła rozkładanie do segregatorów raportów warsztatowych, gdy właśnie zadzwonił telefon. Mówiła matka pana Krzysztofa i Marychna, która teraz zawsze załatwiała jego telefony,

---

<sup>46</sup> *kantor* (z niem. *Kontor*: kantor, biuro, od łac. *computare*: liczyć, obliczać) – daw. biuro zakładu a. fabryki. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *jubel* (pot.) – wielka radość; huczna, hałaśliwa zabawa. [przypis edytorski]

dowiedziała się, że pan Karol Dalcz gorzej się czuje i prosi syna, by pojechał po lekarza lub posłał poń<sup>48</sup> samochód. Marychna natychmiast zadzwoniła do narzędziowni, gdzie, jak wiedziała, musiał teraz być pan Krzysztof. Przyszedł natychmiast i powiedział:

– No, skoro pani już skończyła z raportami, odwożę przy sposobności panią do domu. Gdzie pani mieszka?

– Na Lesznie, proszę pana, ale po co pan będzie się fatygował...

– O? A czy nie myśli pani, że mi to sprawi przyjemność? – spojrzał na nią znacząco.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Po chwili siedziała już w samochodzie obok niego. Szofer został, gdyż pan Krzysztof sam chciał prowadzić wóz. Prowadził spokojnie i lekko z tą delikatnością, która cechowała całe jego postępowanie w stosunku do niej. A przecież wiedziała, że umie być szorstki, ba, nawet brutalny. Nie tak dawno, gdy szukała go w hartowni, słyszała na własne uszy, jak sztorcował<sup>49</sup> inżyniera Wońkowskiego. Nawymyślał mu wówczas od cholery i powiedział, że taka robota jest do... Tu użył takiego słowa, jakiego nigdy by się po nim nie spodziewała. Po prostu nie pasowało do niego. W ustach innych brzmiałoby także ordynarnie, ale nie raziłoby tak bardzo, jak w jego, takich ładnych i tak subtelnie zarysowanych. Zresztą Marychna nie

---

<sup>48</sup> poń – skrócone od: po niego. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> sztorcować (pot.) – upominać, strofować, besztać. [przypis edytorski]

umiała tego sobie wytłumaczyć, ale zdawało się jej, że to prawie świętokradztwo, chociaż od paru osób słyszała, że pan Krzysztof „nie patyczkuje się i ruga na całego”. Może to jego poza, żeby więcej postrachu wzbudzać w podwładnych, a może po prostu zły nawyk. Woliała o tym w ogóle nie pamiętać, a przychodziło jej to tym łatwiej, że wiedząc o jej obecności, nigdy tego nie robił.

Samochód zatrzymał się przed jej domem. Otworzył drzwi i pomógł jej wysiąść.

– Bardzo, bardzo dziękuję panu dyrektorowi – wyciągnęła doń rękę.

– To ja pani dziękuję – powiedział z uśmiechem, przytrzymał chwilę jej rękę, odsunął rękawiczkę i pocałował tuż koło przegubu.

Wpadła do domu jak nieprzytomna. Omal nie rzuciła się na szyję panu Wieczorkowi, ojcu jej gospodyni, gdy ten jej drzwi otworzył. Ponieważ obiad dawano o wpół do czwartej, miała dość czasu na rozpamiętywanie tego ważnego zdarzenia: pocałował ją w rękę!

Od czasu gdy została jego sekretarką, minęło zaledwie trzy tygodnie, a już wiedziała, że się to byle czym nie skończy. Jeżeli tedy tak starannie upiększała i porządkowała swój pokój, to nie bez myśli, że przecież może się zdarzyć, że do niej kiedy wstąpi. Bez żadnych zamiarów, ale tak sobie... Właściwie to nonsens, a jednak...

I zdarzyło się, a zdarzyło się całkiem niespodziewanie.

Marychna zawsze dość ciężko przechodziła zwykłą słabość. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie, brała zwykle zwolnienie na te dwa dni. Teraz jednak postanowiła nie przerywać pracy. Po pierwsze tęskno byłoby jej za... fabryką, a po wtóre, obawiała się, by pan Krzysztof na czas jej nieobecności nie wziął którejś innej, na przykład takiej Klimaszewskiej, co mizdzy się do każdego mężczyzny.

Dlatego poszła. Wyglądała jednak tak blado i tak fatalnie, że on sam to zauważył i kazał jej wrócić do domu, a nazajutrz broń Boże nie przychodzić, bo zresztą i roboty żadnej specjalnie nie będzie. Zaległość zaś dwudniowa łatwo się da odrobić. Ma zresztą teraz całe swoje biuro i świat się nie zawali, jeżeli ona przez dwa dni odpocznie. Był przy tym tak delikatny, że nie wypytywał, co jej jest. Widocznie domyślał się. Cóż, nic dziwnego, pewno niejedną miał już kochankę (tu serce Marychny ścisnęło się), niejedną, i zna się na słabościach kobiecych.

Nazajutrz tedy Marychna nie poszła do fabryki. Leżała w łóżku i haftowała cyklameny<sup>50</sup> na laufrze<sup>51</sup>, którego przeznaczeniem miało być upięksenienie stolika przed lustrem. Była może piąta, a może kwadrans po, gdy w przedpokoju rozległ się długi dzwonek. Pewno któraś przyjaciółka gospodyni. Marychna słyszała jej kroki, gdy szła otworzyć drzwi, brzęk

---

<sup>50</sup> *cyklamen* – ozdobna roślina o dużych, sercowatych liściach i białych, różowych a czerwonych kwiatach. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *laufer* (daw.) – bieżnik, podłużna serweta na stół lub ławę. [przypis edytorski]

łańcucha i nagle pukanie do jej pokoju. Więc do niej? Któż to może być?

Weszła gospodyni i powiedziała, że przyszedł jakiś pan i pyta, czy może go panna Jarszówna przyjąć.

– Jaki pan? Przecież leżę w łóżku.

– Taki brunet, elegancki, mówi, że wie o pani chorobie i właśnie przyszedł odwiedzić.

– Boże drogi! – Marychnie zapało oddech. – Czyżby... Moja pani! Ja sama nie wiem... No, niech pani chyba poprosi... Zaraz, czy ja nie jestem rozczochrana?

– Nie, nie, i koszulka ładna, jak się patrzy, śmiało może pani go przyjąć.

Z tymi słowami gospodyni wybiegła, a w sekundę potem do pokoju wszedł Krzysztof Dalcz. Był nie w codziennym grubym szarym ubraniu, lecz w czarnym wizytowym, w którym wyglądał jeszcze ładniej i jeszcze subtelniej. W ręku trzymał dużą paczkę.

– Dzień dobry pani, jakże się pani czuje? – powiedział tak swobodnie, jakby w jego wizycie nie było nic nadzwyczajnego.

– Och, panie dyrektorze – wyszeptła z trudem.

– Uważałem za swój miły obowiązek odwiedzić panią. No, nie przywita się pani ze mną?

Wyciągnęła rękę, która wyraźnie drżała. Pochylił się i musnął ją bardzo gorącymi ustami, przytrzymując w swojej dłoni.

– Przyniosłem na pociechę czekoladki – powiedział, umieszczając pudło na zastawionym drobiazgami stoliku przy łóżku i przysuwając sobie krzesło.

– Pan dyrektor... doprawdy... ja strasznie dziękuję...

– Pozwoli pani rozpakować? Widzi pani, że ja sam jestem łakomy, i myślałem, że zechce mnie pani poczęstować.

– O, ja sama – zerwała się, lecz nagły ruch wywołał widocznie silny ból, gdyż opadła na poduszkę i pobladła z wyrazem cierpienia na twarzy.

Dalcz, nie mówiąc ani słowa, wstał, nalał do szklanki odrobinę wody, wyjął z kieszeni kamizelki małe srebrne pudełeczko i podał jej białą pastylkę:

– Niech pani to zażyje – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu – to uspokaja wszelkie bóle.

Marychna połknęła lekarstwo.

– Gorzkie – uśmiechnęła się.

– Za kwadrans ból minie – zapewnił, chowając pudełko do kieszeni.

Teraz przypomniała sobie, że już je widziała u niego w fabryce. Pewnego razu, po powrocie z warsztatów, zażył taką pastylkę, wyjaśniając, że ma częste migreny i że tylko to mu pomaga. Rzeczywiście, wyglądał wówczas bardzo blado i miał sine cienie pod swoimi pięknymi oczami.

– Pan dyrektor taki dla mnie dobry – westchnęła.

Milczał chwilę i jakby z namysłem powiedział, ciągnąc słowa:

– Przesadza pani... Zresztą chyba trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo można być dobrym...

I nagle, jakby dla zmienienia tematu rozmowy, zaczął innym tonem:

– Dziś musiałem wraz ze stryjem Wilhelmem reprezentować fabrykę na pogrzebie prezesa Genwajna. Pogrzeb trwał przeszło dwie godziny i nieco przemarzłem...

– Czy to ten Genwajn?... – zapytała Marychna.

– Tak. Z fabryki Scherr i Genwajn... Niegdyś kolega szkolny stryja Wilhelma. Zastrzelił się. Czytała pewno pani w dziennikach.

Marychna nie czytywała w ogóle dzienników. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie i mieszkała w Zielonce, o wszystkich ważniejszych zdarzeniach dowiadywała się albo od kolegów, albo od ojczyma, który przy każdej takiej sposobności opowiadał o karierze i koligacjach<sup>52</sup> omawianej osoby. To była jego pasja. Toteż dzięki niej Marychna dobrze wiedziała, kto to jest Genwajn. Jeżeli ojczym o kimś mówił z dodatkiem słowa „ten” – oznaczało to, że mówi się o znanym i bogatym człowieku.

– Zastrzelił się? Przecież to był już stary człowiek – zauważyła.

– Stary. Starzy też miewają powody do samobójstwa. Podobno firma jego stała na progu bankructwa.

– Jednak, panie dyrektorze, częściej się słyszy o samobójstwach ludzi młodych. Przeważnie z miłości...

– O, nie mówmy o tym. Oboje jesteśmy młodzi – powiedział z uśmiechem – i wcale nie myślimy o... samobójstwie. No, nie lepiej pani?

– Troszkę.

---

<sup>52</sup> koligacja (z łac.) – pokrewieństwo. [przypis edytorski]

– A bardzo pani niezadowolona, że przyszedłem jej dokuczać?

– Panie dyrektorze – zawołała z taką szczerością wyrzutu w głosie, że aż sama spostrzegła się, że to nie wypada.

– Ładnie tu u pani – powiedział, rozglądając się. – Znać, że ma pani zamiłowania estetyczne. Cóż to pani haftowała?

– To laufer na stolik.

Wziął robotę do ręki i uważnie jej się przyglądał:

– Cyklameny. Robi to pani z dużą wprawą. Piękny haft i temat szczęśliwie pomyślany. Czy pani sama sobie komponuje te rzeczy?

– Sama. O, jeżeli pan dyrektor łaskaw, proszę zobaczyć tam, ta poduszka z paprocią, to też sama sobie wymyśliłam.

Wstał i uważnie przyjrzał się poduszce.

– Ciekawa kompozycja – powiedział. – Ma pani talent w ręku.

– Ale ja jestem gapa – zaśmiała się. – Nudzę pana dyrektora babskimi fatałaszkami. Bardzo przepraszam! Pan na pewno pomyśli, że jestem okropnie niemądra!

– Bynajmniej, jest pani naturalna, a to duża zaleta. No, może teraz zjemy sobie czekoladkę?

Sam rozpakował pudełko i podał jej. Rozmowa przeszła na sprawę dobroci poszczególnych wyrobów cukierniczych, przy czym Marychna zauważyła, że pan Krzysztof istotnie lubi czekoladę. Jadł dużo i ze smakiem. Nieraz słyszała, że mężczyźni lubiący słodczye odznaczają się dobrocią charakteru. Czyż on nie był bardzo dobry? Przynajmniej dla niej? Jakiż dyrektor chciałby

odwiedzić swoją sekretarkę podczas choroby? Żeby był stary i brzydki, no to rozumiałe, ale taki jak on, na niego pewno setkami kobiety lecą. A jednak ona mu się podoba. Na pewno podoba. Po cóż by przychodził?...

Marychna wprawdzie miała dość duże powodzenie u mężczyzn. Na ulicy, w tramwaju czy w pociągu oglądali się za nią i robili do niej słodkie oczy. W nielicznym kółku znajomych nadskakiwał jej ten i ów. Raz nawet jeden student medyk wycałował ją w kącik. Nie opierała się zbyt, gdyż chciała spróbować, jak to smakuje, ale nie smakowało wcale. I powiedział jej wówczas, że nie jest rozbudzona. Idiota! Innym znowuż razem narzeczony Zosi, jej przyrodniej siostry, po pijanemu zaczął Marychnę ścisnąć i całować, ale potem został jej tylko niedający się wyrazić wstręt. Miał usta sine i lepkie. Brr... Jakież piękne usta ma Krzysztof Dalcz... Muszą być takie soczyste, jak się to czyta w powieściach...

Rozglądał się po pokoju i powiedział:

– Nie ma pani tu żadnych fotografii.

– Nie mam, bo i czyje mam mieć? Ojczym się nie fotografuje, a więcej nikogo nie mam.

– Jak to, i nigdy nie kochała się pani? Nigdy w pani nikt się nie kochał, kto by zostawił na pamiątkę swoją podobiznę z czułym napisem?

– Nigdy – potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

– Nie wiem... Może jestem... nierozbudzona...

Wybuchnął długim, nawet trochę nieprzyjemnym śmiechem. Widocznie powiedziała coś bardzo głupiego. Była na siebie wściekła. Głupia gęś! Co on teraz sobie o niej myśli! Mój Boże, że też jej wyrwało się coś tak niedorzecznego!

Śmiał się wciąż, a jej pod powiekami zaszklily się łzy. Żeby mogła teraz zapaść się pod ziemię! Wstydziała się wprost spojrzeć na niego, wstydziała się, że zauważy jej łzy. Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

Przestał się śmiać i nic nie mówił. Jakież on bezlitosny, jak znęca się nad nią. Pewno patrzy na jej policzki, po których płyną te nieszczęsne łzy, i uśmiecha się ironicznie... Co za tortura...

Nagle poczuła na twarzy łagodny, pieśczeniwy dotyk jego dłoni, miękkiej jak aksamit, i aż oddech zapało jej w piersi. Dłoń sunęła po mokrych policzkach taką ciepłą, serdeczną pieśczenią, odgarnęła włosy z czoła, głaskała spokojnymi, równomiernymi ruchami głowę i znowu policzki, i oto z drugiej strony twarzy poczuła drugą jego rękę i nagle na ustach lekki, ledwo odczuwalny pocałunek, potem mocniejszy, jeszcze bardziej mocny, aż rozchylający jej nieruchome wargi... Spadały na nią powoli, gorące, przenikliwe, niewypowiedziane dziwne... Leżała bez ruchu i tylko serce tłukło się nieprzytomnie. Nie wiedziała dlaczego, ale w tych pocałunkach było coś bardzo grzesznego, coś bardzo rozpustnego, czego nie umiała sobie przedstawić. Przecież nie uważała siebie za świętoszkę, od dawna marzyła o jego ustach, ale teraz poza rozkoszą, którą sprawiły te

pocałunki, poza dreszczem, który przenikł<sup>53</sup> ją od dotyku tych gorących warg, było jeszcze coś, co stało na pograniczu między pragnieniem i odrazą... Chciała, by trwało to jak najdłużej, i ogarniał ją przemożny wstyd, nie przed nim, którego tak pożądała, lecz przed czymś, co można było porównać tylko do wstrętu, jaki wywołuje widok kalectwa.

A on całował wolno, z przerwami, jakby po każdym pocałunku rozpamiętywał i badał jego smak... Pomału jego ręka zsunęła się po szyi, po ramieniu, aż do piersi i gładkie, długie palce pokryły jej wypukłość taką męczącą, taką rozkoszną pieśczętą...

Marychna podniosła powieki i ujrzała nad sobą bladą, ściągniętą twarz, rozdęte subtelne nozdrza i ogromne czarne oczy, w których paliła się ciekawość, tak, ciekawość, niezrozumiała, przerażająca ciekawość...

Krzyknęła cicho, szarpnęła się i zakryła twarz rękami.

On wyprostował się, wstał i odszedł do okna. Po dłuższej dopiero chwili odważyła się spojrzeć ku niemu. Stał tyłem, wpatrzony w czarną szybę, z głową wysoko podniesioną i z rękami w kieszeniach. W pokoiku panowała zupełna cisza, tylko z trzeciego piętra dolatywał odległy, przytłumiony, spokojny pogwar<sup>54</sup> fortepianu, powtarzającego gamy.

„Co teraz będzie?” – myślała Marychna. Czy powie jej, że

---

<sup>53</sup> *przenikł* – dziś popr. forma: *przeniknął*. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *pogwar* – niewyraźny szmer głosów słyszanych z pewnej odległości. [przypis edytorski]

ją kocha, czy ją przeprosi za chwilę zapomnienia? Mężczyźni z dobrego świata miewają chwile zapomnienia, jak to wiedziała z filmów, i zawsze później przepraszają... Jak on dziwnie na nią patrzył... A może obraził się za to, że mu się wyrwała? Rzeczywiście jest głupia, bo tak wyczekiwała takiego momentu, a gdy nadszedł, zachowała się jak gęś... Gdyby nie wstyd, zawołałaby go teraz najczulszymi słowami... Mój cudny, mój śliczny, mój kochany...

– Na imię ma pani Marychna – odezwał się, nie odwracając głowy. – Takie miękkie, takie kobiece imię. Pani jest bardzo kobieca...

– Nie gniewa się pan na mnie? – wyszeptła cichutko.

Zbliżył się do łóżka i miał bardzo smutne oczy.

– Panie dyrektorze, ja tak nie chciałabym, żeby się pan na mnie gniewał. Przepraszam, bardzo przepraszam – wyciągnęła do niego rękę.

Wziął je, pocałował każdą i złożył w swoich niewiele większych, a takich pięknych, jakich jeszcze nigdy u nikogo nie widziała.

– Lubi mnie pani chociaż trochę? – zapytał z bladym uśmiechem.

– Ooo! – zawołała i całą postacią podała się ku niemu.

Otoczył jej plecy ramieniem, a ona rzuciła mu rękę na szyję.

Przez cieniutką koszulkę czuła na skórze mocny, a łagodny jego uścisk, na ustach, na oczach, na policzkach znowu te same pocałunki, dziwne, oszołamiające, a przecież mające w sobie

coś, czego nie mogła nazwać odrazą, a co jednak opanowywała z trudem. Jej usta błędziły po jego twarzy gładko wygolonej, jak atlas miękkiej... po jego wargach mocnych, jędrnych i gorących...

Nagle cofnął się i stanął wyprostowany, wbijając w nią wzrok płonący i nieznośnie ciekawy. Oboje dyszeli głęboko, przyśpieszonym rytmem.

– Panno Marychno – powiedział – nie warto, nie trzeba mnie lubić. Nie zasługuję na to. Proszę pamiętać, że powiedziałem to pani. Może... może na nic, poza współczuciem, nie zasługuję... Proszę pamiętać!

W jego głosie zabrzmiało coś jakby groźba i taki bezbrzeżny smutek, że Marychnie ścisnęło się serce:

– Ja pana kocham – szepnęła, zamykając oczy. – Ja pana bardzo kocham...

– Co pani powiedziała? – zapytał jakby z przestraczem.

– Czyż pan nie wie, że ja pana kocham?! Czyż pan może tego nie widzieć?!

Chwycił ją za przegub i potrząsając nerwowo jej ręką, pytał przez zaciśnięte zęby:

– Kocha mnie pani? Kocha?... Nonsens! To niemożliwe! I pragnie mnie pani?... Co? Pożąda mnie pani? Chciałaby należeć do mnie? No, proszę, niechże pani odpowiada!

Milczała, drżąc na całym ciele. Przeraził ją jego ton, jego głos wysoki i świszczący, jego uniesienie.

Otrzeźwiło go jej milczenie. Przetarł dłonią czoło

i powiedział już całkiem zwyczajnie:

– Niech pani mi daruje. Jestem dziś tak wyczerpany nerwowo... Widzi pani, pani jest jeszcze bardzo młoda, a trzeba mieć trochę wyrozumiałości dla ludzi... Nie należy wszystkiego brać dosłownie... Nie należy patrzeć na wszystko zbyt prosto... Różne przeżycia zostawiają czasem bolesne bruzdy w człowieku... Proszę nie żywić do mnie urazy, panno Marychno, czy dobrze?...

– Nie mam do pana żadnej urazy – zapewniła żarliwie i pomyślała, że kocha go jeszcze więcej, niż jej się zdawało.

– Więc zostajemy nadal dobrymi przyjaciółmi?

– O tak!

– Bardzo się cieszę. I niech pani zapomni o tych przykrych rzeczach. Dobrze? Bardzo proszę. No i czas na mnie. Strasznie długo nudziłem panią. Do widzenia, panno Marychno. Jeżeli jutro będzie się pani czuła zupełnie dobrze, miło mi będzie zobaczyć ją w fabryce. Do widzenia.

Pocałował ją w obie ręce i jeszcze od drzwi rzucił półgłosem.

– Proszę zapomnieć o wszystkim przykrym...

Marychna nie zapomniwała. Nie mogła zapomnieć. Najdziwaczniejsze domysły nurtowały ją przez szereg następnych dni. Może on jest potajemnie żonaty, a może ma narzeczoną, dlaczegóż by mówił, że zasługuje tylko na współczucie, a niewart jest miłości?... Może porzucił gdzieś za granicą swoją żonę z dziećmi... A może cierpi na jakąś straszną chorobę?...

W każdym razie zamykał w sobie dręczącą tajemnicę, o której nikt nie wiedział, której nikt się nawet nie domyślał, a której rąbek przed nią tylko uchylił. Przed nią, bo i on do niej przecie coś czuje. Marychna nie łudziła się, że to jest z jego strony miłość, ale nie mogła wątpić, że jest tam serdeczna przyjaźń i sympatia. Sam powiedział, że trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo jest się dobrym, i nie ulegało kwestii, że tym kimś stała się dlań Marychna.

Z całego jego zachowania się wyraźnie to przeglądało. Teraz już przy innych nazywał ją „panną Marychną” i całował w rękę. Bardzo często odwoził ją do domu autem, kilka razy zabrał ją do cukierni na ciastka, a raz nawet do teatru i później na kolację do szykownego lokalu.

W fabryce mówiono już o nich tak głośno, że wreszcie musiało to dotrzeć i do uszu Marychny, a że dotarło w formie tak oburzającej i obraźliwej, zawdzięczała to własnemu roztargnieniu.

Mianowicie Biuro Kalkulacji często zaniedbywało dołączenia do biuletynów dziennych odpisów raportów z poszczególnych działów. Otóż pewnego dnia, pobieżnie przeglądając nadesłane papiery, Marychna nie zauważyła ich i poszła do szefa kalkulacji inżyniera Belnikowicza z pretensją o hamowanie jej pracy. Belnikowicz sprawdził rzecz i okazało się, że odpisy zostały przesłane. A że był to człowiek porywczy i żółciowiec<sup>55</sup>, zemścił się na Marychnie, mówiąc:

---

<sup>55</sup> *żółciowiec* (daw.) – człowiek pełen żółci, zgryźliwy, złośliwy. [przypis edytorski]

– Pani zanedbana zajęta jest osobą swego szefa i dlatego przegapia robotę.

– Jak pan śmie! – wybuchnęła Marychna.

– Co mam śmieć – wzruszył ramionami. – To pani się zapomina. Tu jest pani tylko urzędniczką, a mnie nie obowiązują żadne specjalne względy wobec każdej urzędniczki, która zostanie kochanką pana Dalcza.

Marychna rozplakała się i długo nie mogła się opanować. W takim stanie zastał ją też pan Krzysztof. Z początku nie chciała się przyznać do krzywdy, jaka ją spotkała, lecz w końcu opowiedziała mu wszystko. Wysłuchał spokojnie i bez słowa wyszedł. Myślała, że poszedł do Belnikowicza, i drżała z emocji. Okazało się jednak, że poszedł do pana Wilhelma Dalcza, z którym – jak zapewniał Holder – odbył burzliwą rozmowę. W wyniku tej rozmowy jeszcze przed upływem godziny inżynier Belnikowicz został zwolniony z fabryki.

Wiadomość o tym szybko się rozeszła i następstwem jej było, że odtąd jeszcze niżej kłaniano się panie Jarszównie i jeszcze więcej mówiono o jej romansie z dyrektorem technicznym. Zdarzyły się nawet nad wyraz przykre dla Marychny wypadki, że różni pracownicy zwracali się do niej z prośbą o protekcję. Oczywiście, nigdy nawet nie wspominała o tym panu Krzysztofowi. Zresztą podczas godzin pracy widywali się teraz mało, a mówili wyłącznie o kwestiach fabrycznych. Poza biurem zaś nigdy nie było w ich rozmowach nic, co by dotyczyło fabryki. I same te rozmowy były dziwne.

Właściwie polegały na tym, że on wypytywał ją o różne rzeczy, o jej młodość szkolną, o stosunki rodzinne, o wrażenia z nielicznych przeczytanych książek i licznych widzianych filmów. O sobie nigdy nie mówił, a sposób, w jaki przerywał rozmowę, ilekroć zaczynała pytać, onieśmiały ją do tego stopnia, że już do pytań nie wracała.

A przecież z biegiem dni, im dłużej go znała, wydawał się jej coraz bardziej tajemniczy, zamknięty w sobie i nieszczęśliwy, a tym samym interesujący. Pewnej niedzieli pojechała do Zielonki. Było to w dwa dni po owym skandalu z Belnikowiczem i oczywiście musiała ojczymowi opowiedzieć szczegóły awantury. Na jej żale pan Ozierko pokiwał głową:

– Cóż chcesz? Ja tam wierzę ci, że między wami nic nie było, ale każdy inny na pewno pomyśli, że jesteś jego kochanką. Po cóż by przy tobie skakał? Jesteś młoda, ładna, on kawaler... Wszystkie pozory przeciw tobie.

– Ludzie są wstrętnei i po samych sobie sądzą.

– A cóż? Inna rzecz, gdyby to był chłopak, co by się mógł z tobą ożenić – westchnął pan Ozierko. – Wówczas gadaliby, że narzeczony...

– A dlaczego nie mógłby naprawdę być moim narzeczonym!  
– zbuntowała się Marychna.

– Dlaczego? Żartujesz chyba? Toż to pan całą gębą. Burzuj. Milioner.

– I milionerzy się żenią – bez przekonania powiedziała Marychna.

– Ale z kim? Cóż ty sobie myślisz, że on takich dziewcząt, jak ty, mało miał? Ot, pobawi się, pobawi się i rzuci. Dlatego dobrze robisz, że do niczego takiego nie dopuszczasz. Ożeniłby się! Wielka dla niego partia<sup>56</sup>. Twój ojciec był tylko ślusarzem, a ja kreślارzem w jego fabryce. Za niskie progi. I głowy sobie tym nie nabijaj, bo byłabyś głupia i na śmiech ludzki wystawiona. Zaleca się, niech się zaleca, a ty bądź dalej rozsądna.

Jednego tylko nie powiedziała Marychna ojczymowi: że już jej ten rozsądek dokuczył. A dokuczył tym bardziej, że skoro i tak wszyscy podejrzewają, to niech przynajmniej ona wie, za co cierpi. Niech się już stanie.

Tymczasem – nie stawało się. Krzysztof Dalcz wprawdzie spędzał z Marychną wiele czasu, nawet często ją odwiedzał, ale do pocałunków przychodziło rzadko, zaś ani o krok dalej on się nie posuwał. Marychna nieraz opracowywała sobie cały plan strategiczny, by go ośmielić, gdy jednak przychodziło co do czego, samej brakło śmiałości, gdyż on stawał się nagle ponury i rozdrażniony, czasami nieprzyjemnie ironiczny.

Pewnego razu na niejaką zmianę sytuacji wpłynął alkohol. Byli w kinie, a potem na kolacji. Krzysztof, który nigdy nie pił, tym razem sam zaproponował koniak, a później wino. Po kilku kieliszkach Marychnie zaczęło się kręcić w głowie i chociaż widziała, że on omija kolejkę, nie oponowała przeciw napełnianiu swego kieliszka. Gdy odwoził ją do domu, była mocno podchmielona, on, chociaż pił mniej, również miał trochę

---

<sup>56</sup> *partia* – tu: dobra kandydatka do małżeństwa. [przypis edytorski]

w czubie, jak zauważyła – dość że wbrew swemu zwyczajowi nie pożegnał jej w bramie, lecz wszedł na górę. W mieszkaniu już wszyscy spali. Ciepło pokoiku Marychny ogarnęło ich atmosferą intymną i podniecającą.

– Chce mi się całować i spać, i sama nie wiem, czego bardziej – przytuliła się doń Marychna.

Bez słowa obsypał ją pocałunkami.

– Panie Krzysztofie – szeptała – Krzysiu mój jedyny, mój najdroższy, czy nie gniewasz się na mnie, że tak do pana mówię... Ja tak cię strasznie kocham... Twoje usta są takie gorące... Mój ty najśliczniejszy... Ty mnie wcale nie chcesz... Ty mnie nie lubisz. Czemu mnie nie chcesz?... Powiedz, Krzychu, mój złoty... Czemu ty jesteś taki dziwny i taki inny niż wszyscy mężczyźni? Powiedz?... Całujesz mnie, a odnoszę wrażenie, jakbyś się mną brzydził...

– Cicho, cicho, mały głuptasku – całował ją zdyszany.

– Ale nie gniewa się pan na mnie? Ja naprawdę nie wiem, co mówię, tak mi się kręci w głowie... O mój Boże... Krzysiu, Krzysieńku... Upiłam się, po coś mi pozwolił pić... Kochany... Taka jestem senna...

– Chodź, ułożę cię do snu – powiedział przez zaciśnięte zęby i pociągnął ją do łóżka.

Nie opierała mu się, gdy zdejmował z niej sukienkę, pantofelki, gdy drżącymi rękoma odpinał pas od podwiązek i zsuwał pończochy, głaszcząc jej skórę swoimi gorącymi, gładkimi jak atlas rękami...

Miała oczy zamknięte, a w głowie wir, szalony kołowrót i szum. Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje, nie była też pewna tego, że to nie sen, że leży naga w objęciach Krzysztofa, że jego usta i dłonie okrywają ją całą gorącą chciwą pieścizną. Niemal nieświadomie wyciągnęła rękę i napotkawszy szorstki materiał jego ubrania, uprzytomniła sobie, że tak pragnęłaby przytulić się doń i że na przeszkodzie stoją te guziki kamizelki. Odruchowo zaczęła je odpinać, lecz już po chwili jego ręce zacisnęły jej palce mocno, obezwładniająco.

– Nie, nie – usłyszała – już czas spać, kochanie...

Później czuła, jak ją starannie otulał kołdrą, jak lekkim pocałunkiem musnął jej usta, zdawało się jej, że skrzypnęły drzwi, i usnęła...

A nazajutrz znów było tak samo, jak zawsze. Ze zwykłym serdecznym uśmiechem wszedł do swego gabinetu, pocałował ją w rękę, zapytał, czy nie boli ją głowa, i zaczął dyktować.

Wieczorem, co już od dawna było ułożone, mieli iść na premierę do jednego z teatrów. Marychna nie tyle cieszyła się z pójścia na przedstawienie, ile z nowej sukienki, wyjątkowo ładnej, a zrobionej według rysunku Krzysztofa. Miała ją właśnie pierwszy raz włożyć.

O siódmej była gotowa i czekała na niego. Przyszedł wkrótce, lecz był w fabrycznym ubraniu, w którym, oczywiście, nie mógł iść do teatru. Wy tłumaczył się tym, że ma dziś migrenę i że w ogóle fatalnie się czuje. Pójdą innym razem. Potem z wielkim

zainteresowaniem oglądał ją w nowej sukni i orzekł, że jest zachwycająca, tylko koniecznie trzeba trochę, tak na półtora centymetra, wypuścić plisę w pasie. Poza tym zauważył, że naszyjnik ze sztrasów<sup>57</sup> nie bardzo pasuje i że widział w pewnym sklepie coś, co będzie odpowiedniejsze.

– Widzisz, Marychno, że to może i lepiej odłożyć ten teatr. Zresztą przypomniałem sobie, że widziałem już tę sztukę w Berlinie. Jest to bardzo smutna rzecz. Jeżeli chcesz, mogę ci opowiedzieć?

– Jeżeli smutna, to po co? Wcale mi nie zależy na teatrze, byle pan... byleś ty był ze mną.

– Właśnie, posiedzimy sobie i pogadamy. Hm... jednak opowiem ci tę sztukę...

– Czy jest zajmująca?

– Bardzo, chociaż powtarzam, że smutna. Otóż był sobie taki młody przystojny chłopak. Nazywał się Kurt. I była młoda ładna dziewczyna, nazywała się Emma. Kochali się, pobrali się, lecz w miesiąc po ich ślubie wybuchła wojna i Kurt poszedł na front...

– To bardzo smutne – westchnęła Marychna.

– Stało się jeszcze gorzej. Kurt został ranny i po długiej kuracji wrócił do domu jako inwalida... Wybuch szrapnela<sup>58</sup> okaleczył go na całe życie... w ten sposób, że Kurt... przestał być

---

<sup>57</sup> *sztras* a. *stras* – rodzaj szkła imitującego brylanty a. inne kosztowne kamienie szlachetne. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *szrapnel* – pocisk artyleryjski wypełniony metalowymi kulkami a. strzałkami, rozpryskującymi się przy wybuchu; także: odłamek takiego pocisku. [przypis edytorski]

mężczyzną... Rozumiesz?... Po dawnemu był ładnym dzielnym chłopcem, po dawnemu gorąco kochał Emmę, po dawnemu pragnął jej pieśczoć, ale nie był mężczyzną... Rozumiesz?...

– Rozumiem – szepnęła Marychna.

– Kurt był trzeźwym chłopcem i doszedł do przekonania, że Emma nie może go więcej kochać, że on powinien usunąć się z jej drogi, że on jest dla niej ciężarem, że Emma go znienawidzi, że ma do niego wstręt...

– Ale ona chyba nie była taka podła! – wybuchnęła Marychna.

Krzysztof zbladł i zapytał drżącym głosem:

– Myślisz, że powinna go była nadal kochać?

– Ależ naturalnie!

– I że mogła go kochać?

– Dlaczegoż by nie? Naturalnie! Czyż miłość polega tylko na tych rzeczach? Byłaby bezwstydną, nędzną, podłą... Czy... czy ona?

Krzysztof odwrócił głowę i powiedział cicho:

– Ona tak samo myślała jak ty, Marychno... Ale on nie umiał w to uwierzyć i popełnił samobójstwo.

Marychna siedziała blada i cała drżąca, jej palce kurczowo się zaciskały, wreszcie nie wytrzymała i zerwawszy się, zaczęła powtarzać raz po raz:

– Głupiec, głupiec, okrutnik, głupiec!...

On siedział milczący i gryzł wargi. Od górnej lampy światło padało na jego nieco podniesioną twarz i na półprzymknięte powieki, w których długie piękne rzęsy rzucały cienie na smagłe

o nieprawdopodobnej karnacji policzki... Marychna oparła się plecami o drzwi i patrzyła weń jak urzeczona, starając się przeniknąć jego myśli.

Wiedziała, że był w wojsku, pokazywał jej nawet swoją książeczkę wojskową, ale odbywał służbę podczas pokoju, zresztą pamiętała dobrze, że wypisana tam była kategoria „A”, zatem... zatem nie był kaleką... Więc dlaczego właśnie dziś i właśnie po wczorajszym opowiedział jej to, dlaczego opowiadał w taki dziwny sposób? Dlaczego od tak dawna mówił o tej premierze, a teraz nie chciał na nią iść? Co to wszystko może znaczyć?...

Nie, dłużej jego milczenia nie zniesie, to jest ponad jej siły:

– Krzychu... – zaczęła i urwała, gdyż on nagle wstał.

– Muszę już iść – powiedział.

– Krzychu!

Spojrzał na nią jakby w roztargnieniu i wzruszył ramionami:

– Wiem, chcesz mnie zapytać, czy ta historia ma jakikolwiek związek z nami... ze mną?... Zupełnie nie. Słyszysz?...

Absolutnie nie...

– Więc dlaczego?...

– Nie pytaj, Marychno. Chciałem tylko poznać twoje zdanie z... innych powodów. Jeżeli lubisz mnie, jeżeli mnie chociaż odrobinę kochasz... nie wracaj do tego tematu. Przyjdzie czas, że sam powiem ci wszystko... Dobrze, kochanie?

Miękko otoczył ją ramieniem i leciuchno pocałował w oczy.

– Dobrze, Krzychu, dobrze – tuliła się do niego ufnie.

Postanowiła sobie nawet nie myśleć o tym, jednak niemal przez całą noc nie mogła zmrużyć oka.

Z rana w tramwaju spotkała, jak zwykle, kilka osób z personelu technicznego, trzymających się zawsze od niej z daleka, i młodego chemika fabrycznego, inżyniera Ottmana, który, według plotek krążących po biurach, miał się w niej podkochiwać. Marychna nigdy jego smętnawych zalotów nie brała poważnie, na nadskakiwanie odpowiadała nieszkodliwą kokieterią, lubiła go jednak przede wszystkim za to, że Ottman nigdy nie omijał sposobności, by z nią porozmawiać i powiedzieć jej kilka miłych komplementów. On jeden bodaj w całej fabryce nie zmienił do niej stosunku od czasu, gdy została sekretarką Krzysztofa, i po dawnemu uśmiechał się do niej swymi bardzo niebieskimi oczami.

Stali na pomoście i opowiadał jej właśnie z przejęciem o jakimś fenomenalnym aparacie do doświadczeń, nabytym świeżo do laboratorium fabrycznego, gdy do tramwaju wskoczył sekretarz Holder.

– O, pan już do pracy? – zdziwiła się Marychna. – Cóż tak wcześniej?

Holder był nienaturalnie podniecony:

– Jak to – powiedział, nie witając się – to państwo nic nie wiecie?

– Bo co się stało? – pogodnie zapytał Ottman.

– Dyrektor Wilhelm Dalcz nie żyje!

– Jezus, Maria! Umarł?...

Holder obejrzał się, twarz mu się skrzywiła i zrobił niewyraźny ruch ręką:

– Podobno... naturalną śmiercią...

## Rozdział III

Od poczty w Kazeniszkach do jakutowskiego dworu nie było więcej ponad cztery kilometry, ale zamieć zrobiła się taka, że stary Marciejonek, chociaż znał tu każde drzewo przydrożne i każdy kamień, nadłożył jeszcze dobrych dwa, zanim przez tumany śniegu dostrzegł pierwsze światła.

Zresztą we dworze tylko dwa okna były oświetlone, i to słabo, bo większą część szyb pozaklejano gazetami. Drzwi frontowego podjazdu od lat były nieczynne i zabite deskami, od kuchennej zaś sionki śnieg zawalił furtkę powyżej pasa tak, że posłaniec z trudem, klnąc i sapiąc, dotarł wreszcie do klamki. Drzwi nie były zamknięte. W sionce<sup>59</sup>, gdzie wycie wiatru nie było już tak głośne, dosłyszał dźwięki harmonii, na której ktoś w głębi domu wygrywał trepaka<sup>60</sup>.

Marciejonek wszedł do ciemnej kuchni, nie śpiesząc się odwiązał baszłyk<sup>61</sup>, linkę, którą miał ściągnięty kozuch, otrząsnął się i wydobywszy z zanadru telegram, zastukał do drzwi, a nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju, który dawniej, jeszcze za życia starych państwa Korniewickich, był

---

<sup>59</sup> *sionka* – mała sień. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *trepak* – ros. i ukr. taniec ludowy. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *baszłyk* – kaptur z filcu lub grubej tkaniny, z długimi końcami do wiązania wokół szyi lub pasa, noszony dawniej w Rosji. [przypis edytorski]

kredensem<sup>62</sup>. Na podłodze leżało kilka połamanych krzesel, jakieś rozbite garnki i butelki. Potykając się, dotarł do jadalni, zawalonej słomą i również ogołoconej od dawna z mebli. Zapach kiszonej kapusty mieszał się tu ze stęchłym piwnicznym powietrzem.

Z sąsiedniego pokoju dolatywały zmieszane piskliwe głosy.

– Tfu! – splunął Marciejonek. – Wstydu przed ludźmi nie ma.

Bezceremonialnie zastukał pięścią do drzwi. Chrapliwe dźwięki harmonii i piski umilkły nagle, natomiast rozległ się poirytowany głos:

– Kogo tam diabli przynieśli?

– Telegram.

– Co?

– Mówię: telegram.

– No więc włącz, cymbale jeden!

Marciejonek, ociągając się, uchylił drzwi i powiedział:

– Ja tam nie mam po co wchodzić i na takie rzeczy patrzeć, żeby grzech na stare plecy brać.

W odpowiedzi usłyszał piskliwy śmiech i kilka głośnych przekleństw. Przez szparę ujrzał nieduży pokój oświetlony kopcząca naftową lampą, stół, gęsto zastawiony butelkami, i siedzące przy nim obie Paraszkówny, te „bezwstydnne dziwki”, o których sam proboszcz powiedział z ambony, że są zakałą całej okolicy i sięją zgorszenie. Z pokoju bił gorący zaduch piwa,

---

<sup>62</sup> *kredens* (daw.) – pomieszczenie, w którym przechowywano zastawę stołową.  
[przypis edytorski]

wódki i cebuli.

– Idź, Wańka, i odbierz telegram – odezwał się z kąta gruby głos.

Po podłodze zastukały leniwie ciężkie buty i przed Marciejonkiem stanął Wańka, piętnastoletni wyrostek, ze swoją harmonią, przewieszoną na rzemieniu przez ramię. Oczy miał czerwone jak królik, twarz spoconą i błyszczącą.

– Dawajcie – zatoczył się, wyciągając rękę.

– Należy się złotówka – burknął Marciejonek i podał mu depeszę.

– Przeczytaj – warknął głos z kąta.

Chłopiec bezceremonialnie zsunął ze stołu kilka pustych butelek, rozłożył depeszę, zamyślił się i widocznie doszedłszy do przekonania, że harmonia będzie mu przeszkadzała w czytaniu, odstawił ją na okno. Chodząc, człapał ogromnymi buciskami, których cholewy sięgały mu prawie do połowy chudych ud.

– No, prędzej – zirytował się głos w kącie.

– Już, panoczku, już... „Jaśnie wielmożny pan Paweł Dalcz. Przyjeżdżaj natychmiast... Ojciec zmarł tragicznie...” Napisano „tragicznie”... co to znaczy?...

– Czytaj – huknął głos mężczyzny i jednocześnie zatrzeszczały sprężyny łóżka.

– „...Grozi ruina... Wszyscy potraciliśmy głowy... W tobie ratunek... Matka”. To i wszystko, panoczku.

– To niby czyj ojciec? – zapytała jedna z Paraszkówien, ściągając na plecach rozchełstaną bluzkę.

– O, głupia! Toż jego, Pawła – wzruszyła ramionami druga.

– Złotówka się należy – gniewliwie przypomniał się Marciejonek.

Tymczasem z posłania wstał sam gospodarz. Był tylko w koszuli i w kalesonach, wielki, barczysty, szedł z pochyloną głową, chwiejąc się i zataczając. Gdy głowa jego znalazła się w kręgu lampy, Marciejonek zobaczył porośniętą, od wielu dni niegoloną twarz, zmierzwiłone włosy i brudne ręce, w których trząśł się arkusik depeszy. Koszula też była brudna i w wielu miejscach podarta.

Podniósł głowę i usiłował skupić myśli. Jego brwi wykonały kilka ruchów.

– Wańka! – zawołał – biegaj do Lejby i powiedz, żeby pożyczył konia. Jeżeli nie zechce dać tobie, to niech sam mnie zawiezie na stację... Czekać... i żeby wziął dla mnie pięćdziesiąt złotych.

– On nie da – z rezygnacją zauważył Wańka.

– Musi dać! Powiedz mu, że mój ojciec umarł i zostawił mi wielki spadek. Tak. I powiedz, że zgadzam się na ten ogród. Nawet i na trzy lata, jak on sam chce, byle dał pieniądze i byle pożyczył konia. Rozumiesz?

– Nie da...

– Nie twoja rzecz, ty parszywe szczenię! Marsz, a jak nie da, to tobie wszystkie zęby wybije! No, jazda!

Wańka, nie śpiesząc się, naciągnął połatany kozuch, nasunął na oczy czapkę i wyszedł.

– Złotówka się należy – chrząknął Marciejonek.

– Jaka złotówka? – przeciągnął się Paweł Dalcz.

– Za telegram.

– Będę ci winien.

– Niech pan da, ja jestem biedny człowiek. Taka zawieja, błądziłem...

– Dałbym ci, ale nie mam – zastanowił się. – Zresztą czekaj, przyda ci się to?

Zdjął ze ściany skórzaną torbę myśliwską i podał staremu.

– Pewno, że się przyda, dziękuję panu.

– O, jaki mądry! – zerwała się młodsza z dziewcząt. – Oddaj to! To warte z dziesięć złotych. Paweł, nie dawaj tego jemu!

– Odczep się, ty szantrapo<sup>63</sup> – odepchnął ją Marciejonek.

– Nie twoja rzecz! – krzyknął Dalcz. – Idź, przynieś mi wody. Muszę się umyć i ogolić. A ty, Saszka, poszukaj w szafie, czy nie znajdzie się jaka koszula, i te buciki trzeba oczyścić.

Posłaniec wyszedł, a dziewczęta w milczeniu zabrały się do spełniania poleceń. Paweł tymczasem robił przegląd garderoby. Jedyne ubranie, jakie mógł włożyć, było poplamione i nie miało guzików. Ten łajdak Wańka pewnie poobcinał. Ostatecznie można sobie poradzić agrafkami, i tak pod futrem nie będzie widać... Nagle przypomniał sobie, że wczoraj posłał Lejbie futro do zamiany na kozuch, zostawała tylko burka<sup>64</sup>, bo przecie

---

<sup>63</sup> *szantrapa* (obelż.) – złośliwa, kłótniwa kobieta. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *burka* – dawne wierzchnie okrycie z grubej tkaniny, rodzaj obszernej peleryny z kapturem, zwykle używanej podczas podróży. [przypis edytorski]

do Warszawy w kożuchu jechać niepodobna. I burka zresztą, stanowczo za lekka na taki mróz, wyglądała fatalnie. Na prawym rękawie widniała wielka dziura, którą wypalił sobie papierosem, gdy się upił w miasteczku...

– Sasza! – krzyknął – zobacz no tu, czy nie dałoby się jakoś załatać?

Po dłuższych oględzinach Sasza orzekła, że nie ma czym, bo „wypustów takich dużych nie najdziesz”.

Wreszcie jako tako garderoba została skompletowana. Umył się zimną jak lód wodą i to go nieco wytrzeźwiło, przynajmniej o tyle, że mógł się ogolić bez obawy pozacinięcia się. Pociąg z Wormiszek odchodził o pierwszej w nocy, teraz zaś, jak zapewniała starsza Paraszówna, nie mogło być więcej, jak jedenasta. Zegarka już od dawna w domu nie było ani na lekarstwo.

„Jeżeli Lejba się nie zgodzi, sam pójdę do niego” – myślał Paweł. „Muszę być jutro w Warszawie”.

Jednakże nadspodziewanie Lejba się zgodził. Usłyszeli brzęk dzwonka jego sanek, a po chwili on sam zjawił się wraz z Wańką.

– No, Lejba – przywitał go Paweł – przywiozłeś pięćdziesiąt złotych?

– Po co wielmożnemu panu pięćdziesiąt? Bilet do Warszawy kosztuje tylko dwadzieścia siedem.

– Cóż ty sobie myślisz, że ja trzecią klasą pojedę?

– Jak kto nie ma nawet na trzecią... – zaśmiał się Żyd pojednawczo. – A czyż to wielmożny pan nie jeździł trzecią?

– Tak, ale teraz to co innego. Nie mówił ci Wańka? Spadek wielki otrzymałem.

– Daj Boże, na zdrowie... To tatunio umarł?

– Umarł. Całą fabrykę mnie zostawił. Rozumiesz? Wiesz, co to za firma „Bracia Dalcz i Spółka”?... Miliony...

– Co nie mam wiedzieć? Pewnie, że wiem. Wielmożnemu panu na parę lat starczy.

Paweł zaśmiał się:

– Myślisz, że nie na dłużej? Głupi jesteś.

– Daj Boże do śmierci.

– No, dawaj te pięćdziesiąt złotych, już chyba czas jechać.

Żyd sięgnął do kieszeni i położył na stole sześć pięćzłotowych monet.

– Przecie to tylko trzydzieści – udał zdziwienie Paweł.

– Więcej nie mogę, nie mam – cofnął się Lejba i zapiął kożuch.

Paweł Dalcz chciał coś powiedzieć, lecz machnął ręką i zgarnął pieniądze do kieszeni. Nałożył burkę, poklepał dziewczęta po policzkach, Wańce zapowiedział, żeby wszystkiego pilnował, i wyszedł do sanek.

Stara jasnokoścista szkapa z trudem ruszyła „rozwalenki”, niskie sanie, załane słomą, do połowy już przysypane śniegiem. Zadymka wzmogła się jeszcze bardziej, a mróz tężał. Toteż gdy dowlekli się na stację, Paweł był na kość zmarznięty, a że w nieopalonym budynku stacyjnym trudno się było rozgrzać, ucieszył się, gdy wkrótce nadszedł pociąg. W wagonie trzeciej

klasy brudno było i ciasno, ale za to panowało tu rozkoszne ciepło.

Paweł z trudem znalazł siedzące miejsce między jakimś chłopem z twarzą owiniętą czerwoną kraciastą chustką a młodą i ładną Żydóweczką. Wcisnął się, wpakował ręce do rękawów i pogрузił się w rozważanie sytuacji. Przypomniał sobie słowa depeszy: „ojciec zmarł tragicznie”... Oczywiście, albo zabili go robotnicy, albo sam popełnił samobójstwo... Raczej to, bo łączyłoby się z następnym zdaniem o grożącej ruinie... Ale po co matka w ogóle jego wzywała?... W jakim celu? Przecie nie po to, by asystował przy pogrzebie...

Pawła nigdy nie łączyła z ojcem przyjaźń. Od lat nie utrzymywali ze sobą żadnych stosunków. Od czasu gdy ojciec wypłacił mu jego część, w ogóle nie widzieli się. Paweł wyjechał do Paryża i siedział tam póty, aż stracił wszystko. Gdyby nie matka, która oddała mu swój folwarczek, po prostu zdechłby z głodu, zresztą i tak życie, jakie prowadził, nie za daleko odbiegało od zdychania, a w każdym razie od wegetacji.

Kiedyś, było to przed piętnastu laty, Paweł wprawdzie próbował współpracy z ojcem, lecz zrezygnował szybko, nie mogąc znieść tego, co na gorąco nazywał zazdrością o władzę, a teraz arbitralnością i skrupulanctwem<sup>65</sup>. Skończyło się wówczas wielką burzą, w której z obu stron spiętrzone były wyrzutów i oskarżeń, że starczyło ich, by między ojcem a synem wznieść barykadę nie do przebycia. Jako

---

<sup>65</sup> *skrupulanctwo* – tu: nadmierna skrupulatność, drobiazgowość. [przypis edytorski]

dwudziestodwuletni młodzieniec Paweł wyjechał natychmiast do Paryża z nienawiścią w sercu i z zawziętym postanowieniem zwycięstwa.

Jego młodą pierś wręcz rozsadzał nadmiar inicjatywy, pomysłowości, energii. Wierzył, że zdobędzie świat, więcej, pewien był tego. Niemal natychmiast po przybyciu do Francji zorganizował wielki dom pośrednictwa, oparty na nieuprawianej jeszcze wówczas sprzedaży ratowej<sup>66</sup>. Włożył w to cały kapitał, którym go rodzina spłaciła z udziału w fabryce. Było to jednak zbyt mało, a w porę nie zdołał zdobyć potrzebnych kredytów. Z bankructwa zdołał uratować kilkanaście zaledwie tysięcy, no i całą żywotność swego zmysłu do interesów. Przerzucał się z jednego pomysłu na drugi, usiłował zdobyć wspólników dla swoich rozległych planów. Ci podziwiali go, kręcili głowami i woleli nie ryzykować.

W ciągu trzech lat stracił wszystko. Najpierw ogarniała go rozpacz, później popadł w zupełną apatię, przez rok prawie nie wstając z łóżka i żyjąc na koszt przygodnej kochanki, której nawet imienia teraz przypomnieć sobie nie umiał. Zerwał wszelki kontakt z domem. Na listy matki przestał odpowiadać, a z rodzeństwem nigdy go nic nie łączyło. Kilka razy wzbierało w nim znowu pragnienie czynnego, mocnego życia. Wówczas zrywał się, zabierał się do realizacji wielkich interesów, olbrzymich projektów, które nigdy nie dochodziły do skutku. Paweł tłumaczył to pechem, inni po prostu fantastycznością

---

<sup>66</sup> ratowej – dziś popr.: ratalnej. [przypis edytorski]

zamierzeń.

O tym długim okresie życia Pawła nic nie wiadomo w Warszawie. Przed czterema laty matka odnalazła go pijanego do nieprzytomności w nędznym hoteliku portowym w Marsylii. Wówczas to zgodził się wrócić do kraju pod warunkiem, że mu matka odda swój posażny<sup>67</sup> folwarczek. Jakże wiele sobie obiecywał po tym niewielkim skrawku ziemi, który miał się stać odskocznią wspaniałych planów, gruntem pod fantastyczne gmachy nienasyconych ambicji, a pod naciskiem szarej, potwornie leniwej rzeki codzienności zmienił się w barłóg zaszczutego zwierzęcia, w ostatni – zdawało się – etap wegetacji „byłego człowieka”...

I nagle ta depesza... Tragiczna śmierć... Grożąca ruina... Wzywają go... Miarowy rytm rozpędzonych kół... Wagon drży od pośpiechu... Więc jest jeszcze do czego się śpieszyć! Więc jeszcze nieprzebrana ostatnia stawka! Więc jeszcze raz zanurzy ramiona w gąszczu życia!... Czy warto?...

– Warto, warto, warto, warto – odpowiedziały rozpędzone koła.

Poczuł w piersi palący żar i sprężył ręce, aż zatrzeszczały stawy. Nie mógł wysiedzieć na miejscu. Wstał i wyszedł na korytarz. Za oknami szalała śnieżycą. Tor będzie zasypany i pociąg utknie... Nie! Nie!... Nie namyślając się, otworzył okno i wychylił głowę. W twarz rozgrzaną uderzył mroźny wicher, głowę otoczył wir drobnych płatków śniegu. Pociąg właśnie

---

<sup>67</sup> *posażny* (daw.) – dotyczący posagu, tu: pochodzący z posagu. [przypis edytorski]

wyginał się łukiem zakrętu, z lokomotywy rwał nabrzmiały łuną iskier pióropusz dymu... Nie, nic go nie zatrzyma, nic nie zwolni tego pośpiechu! Zwycięsko zaryczał gwizd parowozu i Paweł zawtórował mu dzikim, nierozumnym krzykiem... Krzyczał w noc i pustkę, krzyczał siłą całych szerokich płuc, aż mu żyły na skroniach nabrzmiały, aż palce kurczowo wpiły się we framugę okna...

Jego powrót do przedziału obudził Żydóweczkę.

– Czy to były Suwałki? – zapytała, przecierając zaspane oczy.

– Nie.

– A pan cały mokry – zauważyła. – Wychodził pan na jakąś stację?

– Nie, otwierałem okno.

Ziewnęła szeroko, poprawiła kapelusik i zapytała:

– Pan pewno do Warszawy?

– Tak, a panienka?

– Ja też do Warszawy.

Przyjrzał się jej: była ładniutka i jeszcze bardzo młoda.

– Pewno do rodziny? – zapytał.

– Nie, szukać zarobku. W Warszawie podobno łatwiej. A pan za interesami?

– Dlaczego myśli panienka, że za interesami? Może też dla zarobku – powiedział żartobliwie.

– Tacy nie potrzebują zarobku – obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Jeżeli mają.

– Tacy nie mają zarobku i nie potrzebują. Oni mają dochody  
– zawyrokowała.

Paweł roześmiał się:

– Z czego panienka wnioskuje, czy z tej starej i dziurawej burki, czy z tego, że jadę trzecią klasą?

– Czy ja wiem? – wzruszyła ramionami. – Może pan przez oszczędność... Może przez ostrożność. Nie wygląda pan na takiego, co by musiał.

– Za wysoko mnie panienka taksuje<sup>68</sup>. Więc na kogo ja wyglądam?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Może ziemianin, a może kupiec, a może ktoś bardzo ważny?... Ale prawdziwego pana to zawsze można poznać, choćby i nie wiem jak się ubrać.

– Myli się panienka – pokiwał głową i umilkł.

Przypomniał sobie, ile razy w życiu spotykały go niepowodzenia z tej jedynie racji, że brakowało mu odpowiedniego ekwipunku. Wiedział, że będąc w dobrej formie miał powierzchowność wzbudzającą zaufanie, lecz by to zaufanie utrzymać, konieczna jest oprawa. Wyjeżdżając, nie pomyślał o tym, jak pokaże się w domu rodziców w takim stanie. Nie chodziło mu o matkę, która widziała go w jeszcze gorszym i o której zdanie nie dbał. Ale inni, całe to tak obce i prawie nieznanne rodzeństwo? Ten jakiś Jachimowski? Matka w swoim głupim snobizmie oczywiście ani wspomniała im nigdy

---

<sup>68</sup> taksować – oceniać. [przypis edytorski]

o jego degrengoladzie<sup>69</sup> i o tak zwanym upadku. Im nie może się pokazać tak obdarty.

Wprawdzie nie przygotowywał sobie z góry żadnych planów, wiedział jednak, że powinien wywrzeć dodatnie wrażenie. Po dłuższym namyśle przyszedł do wniosku, że najlepiej będzie zajeżdżać do jakiegoś małego hoteliku i tam wytelefonować<sup>70</sup> matkę. Ruina, nie ruina, ale przecież kilkaset złotych na ubranie i palto dla niego znajdzie. Zresztą od czego kredyt.

Pociąg przyszedł do Warszawy o ósmej z minutami. Paweł wypił na dworcu szklankę kawy i ruszył pieszo przez Pragę. W jakimś sklepiku mleczarskim zwrócił jego uwagę wywieszony w oknie napis: „Telefon czynny”. Zmienił zamiar i wszedł. W katalogu z łatwością odszukał numer i zadzwonił. Odezwął się służący, który powiedział, że jaśnie pani chora i do aparatu nie podchodzi.

– Proszę powiedzieć pani, że dzwoni syn.

– Syn?... To pan Zdzisław? Jakoś głosu nie poznaję... – ociągał się lokaj.

– Nie Zdzisław, cymbale, a Paweł.

– Bardzo przepraszam, ale to chyba pomyłka. Tu jest mieszkanie państwa Dalczów.

– Powiedz pani, że dzwoni pan Paweł. Czy długo mam jeszcze z tobą rozmawiać? – zawołał już poirytowanym głosem.

---

<sup>69</sup> *degrengolada* – upadek moralny lub materialny, stoczenie się. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *wytelefonować kogoś* (daw.) – osiągnąć kogoś przez telefon, zatelefonować do kogoś. [przypis edytorski]

„Służba tu nawet nie wie o moim istnieniu” – pomyślał z jakąś złośliwą satysfakcją.

W tejże chwili usłyszał w telefonie głos matki: wybuchła potokiem egzaltowanej<sup>71</sup> radości. Jaki on dobry, że przyjechał, jaki kochany, że nie zostawia ich w nieszczęściu. Co ona biedna zrobiłaby bez niego!

– Mamo – przerwał sucho – po pierwsze mów po angielsku czy po francusku. Po drugie jestem bez grosza i nie mam możliwego<sup>72</sup> ubrania. Przyjść do ciebie nie mogę, bo nie chcę w tym stanie prezentować się całej tej twojej rodzinie ani służbie...

– Ależ ja jestem w domu sama, a służbę mogę wyprawić. Osobiście otworzę ci drzwi, tylko zaraz, błagam cię, przyjeżdżaj.

– Jak to sama? Przecie musi tam być tłok. Ciało chyba jeszcze jest w domu?

– Nie, na szczęście nie. Umarłabym ze strachu, przecie wiesz, jak bardzo trupów się boję. Zabrali do prosektorium. Co za kompromitacja! Co za skandal! Nigdy mu tego nie daruję. Żeby człowiek w jego wieku mógł popełnić podobny nietakt i popełnić samobójstwo, i to w taki wstrętny sposób!...

– Ach, więc to samobójstwo?

– Tak, wyobraź sobie, powiesił się. Wyglądał strasznie!

– Zaraz przyjadę – powiedział Paweł i położył słuchawkę.

---

<sup>71</sup> *egzaltowany* – przesadnie wyrażający uczucia. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *możliwy* (pot.) – możliwy do przyjęcia, wystarczająco dobry, nadający się do czegoś. [przypis edytorski]

Drzwi otworzyła sama pani Józefina i rzuciła mu się na szyję. Odsunął ją dość łagodnie, ale stanowczo:

– Przede wszystkim usiądźmy gdzieś i pomówmy o ubraniu dla mnie. Widzisz, jak wyglądam.

– Jezus, Maria!... Trzeba zaraz do krawca, a tymczasem może byś się ubrał w któryś garnitur ojca, naturalnie jeżeli się nie brzydzisz, bo ja mam wręcz organiczny wstręt do wszystkich przedmiotów należących do zmarłych...

– Ja nie mam wstrętu i nie mam czasu na niepotrzebną paplaninę. Gdzie jest pokój ojca?

Zaprowadziła go do narożnego pokoju, lecz sama nie chciała wejść.

– Tu się powiesił, na tym haku... Okropne... – ścisnęła syna za ramię.

– A ubrania są w tej szafie? – zapytał obojętnie.

– Tak. I może byś się wykąpał? Sama przygotuję ci łazienkę.

Paweł skinął głową i podczas gdy pani Józefina zajęła się kąpielą, wybrał sobie czarne wizytowe ubranie. Był cięższy od ojca, lecz jednakowy wzrost sprawiał to, że garnitur leżał prawie bez zarzutu. Stare ubranie zwinął w tłumok i zamknął w jednej z szuflad na klucz. Bez ceremonii wyjął czystą bieliznę i kołnierzyk. W niespełna godzinę wszedł do buduaru<sup>73</sup>, gdzie oczekiwała go matka, wyświeżony i ubrany.

Pani Józefina wybuchła serią zachwyków nad jego

---

<sup>73</sup> *buduar* (z fr.) – pokój kobiety, służący głównie do odpoczynku. [przypis edytorski]

wyglądem. Stał przed lustrem i stwierdził, że istotnie jego powierzchowność niewiele pozostawia do życzenia. Wprawdzie tryb życia, jaki prowadził, nie pozostał bez śladu w jego rysach, wprawdzie zmarszczki koło szarych wyrazistych oczu i koło wąskich stanowczych ust układały się w nieuchwytny grymas szyderstwa, a gęste blond włosy mocno były przysypane siwizną, całość jednak wraz z wyprostowaną i sprężystą w ruchach postacią przedstawiała się poważnie, świeżo i energicznie.

– No, w porządku – usiadł i zapalił papierosa. – Teraz słucham.

Zaczęła opowiadać. Wszystko stało się tak niespodziewanie. Ojciec wrócił z fabryki o normalnej godzinie, zjadł obiad i zamknął się w swoim pokoju. Właśnie miała gości, więc zarówno ona, jak i Halina, nie mogły znaleźć czasu, by się ojcem zająć, zresztą któż by przypuszczał! Dopiero około pierwszej, gdy już wszyscy się rozeszli, służący zameldował jej, że stukał na próżno do pokoju pana i ma obawę, czy pan nie zasnął, gdyż wcale nie odpowiada. Wówczas otworzyli drzwi od gabinetu i znaleźli go wiszącego na sznurze od szlafroka. Natychmiast wezwali pogotowie, lecz lekarz mógł już tylko stwierdzić śmierć. Skandalu nie udało się ukryć, bo i służba widziała, i lekarz zawiadomił policję.

– Nie zostawił żadnego listu?

– Owszem. Zostawił na biurku pakiet zalakowany, adresowany do Karola. Na szczęście zdążyłam schować to przed przyjściem policji.

– Oczywiście nie odesłała mama tego stryjowi?

– Broń Boże! Któż może wiedzieć, co ten szaleniec tam napisał? Może testament, może nas wszystkich wydziedzicza na rzecz tego Krzysztofa? Mój drogi, człowiek popełniający samobójstwo w tym wieku i w takich warunkach musi być niespełna umysłu, bo tylko wyobraź sobie...

– Gdzie jest ten pakiet?... – przerwał Paweł.

– Mam go tu, w biurku – zerwała się pani Józefina. – Nikomu o nim nie wspominałam, bo byłam pewna, że przyjedziesz ty, mój najdroższy synku, i najlepiej będziesz wiedział, jak wszystko załatwić. Zdziś, sam wiesz, jest do niczego, a Hala poczciwa dziewczyna, ale o interesach pojęcia nie ma. Ludka zaś i jej mąż... nigdy do niego nie miałam zaufania. Zresztą oni wszyscy głowy potracili...

– Czy oni wiedzą, że mama po mnie depeszowała?

– Broń Boże.

– Zaraz, mamó, tylko dobrze nad tym się zastanów: czy oni, no i stryj, mogą przypuszczać, że ja byłem gdzieś za granicą?

– No, nie wiem – zawahała się. – Sądzę, że w ogóle nic o tobie nie wiedzą. Nie interesowali się tobą wcale.

Paweł wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wodziła za nim oczami, starając się ze ściągniętych brwi wyczytać, jeżeli nie jego myśli, to przynajmniej wróżbę dla siebie i dla nich wszystkich. Ona jedna wierzyła wciąż w niego, a przecie sam fakt samobójstwa Wilhelma dość chyba wymownie świadczył, że są zrujnowani, że czeka ich nędza, może głód, a w każdym razie

utrata pozycji towarzyskiej i społecznej. I jeżeli skąd można było oczekiwać ratunku, to tylko od Pawła.

– Słuchaj, mamó. – Zatrzymał się przed nią. – Przede wszystkim mój przyjazd był dla ciebie niespodzianką. Rozumiesz?... Nic o niczym nie wiedziałaś. Przypominasz sobie tylko, że w ostatnich czasach ojciec korespondował ze mną w jakiejś ważnej sprawie. Wysyłał listy do mnie za granicę. Rozumiesz?

– Jak to? – zdziwiła się pani Józefina.

– Postaraj się być pojętniejsza – powiedział z ironicznym naciskiem.

– Ach, rozumiem – ucieszyła się – mam im tak mówić!

– Właśnie. Możesz sobie nawet przypomnieć, że ojciec ostatnio był zdenerwowany tym, że nie przysyłam jakiegoś przedstawiciela, na którego on czeka. Rozumiesz?

– Tak, tak, ale po co to wszystko?

Paweł wzruszył ramionami:

– Po to, żeś chciała, zdaje się, bym spróbował cię ratować.

Otóż... daj ten pakiet.

Otworzyła biureczko i podała mu dużą olakowaną kopertę.

Obejrzał pieczęcie, były nienaruszone.

– Wcale nie zagłądałaś nawet? – zdziwił się.

– Po prostu bałam się.

– Hm... To dobrze. Nie wspominaj nikomu o istnieniu tej koperty. To jest konieczne. A teraz postaraj się, by mi nikt nie przeszkadzał. Muszę to przestudiować.

Kiwnął jej głową, wszedł do pokoju zmarłego i zamknął za sobą drzwi, przez które dobiegło go jeszcze pytanie matki:

– Czy w dalszym ciągu twój przyjazd ma pozostać tajemnicą?

– Nie. Wolałbym nawet, byś zawiadomiła o nim swoje kochane dzieci.

Usiadł i rozciął brzeg koperty. Wewnątrz pełno było papierów zapisanych masą cyfr i notat, a na samym wierzchu leżał list, zaczynający się od słów „Kochany Karolu”. Paweł zaczął czytać:

„Zdaję sobie sprawę, że moje samobójstwo będzie szkodliwe dla opinii firmy. Na pewno i Ty sam pomyślisz, że zdołałem ukryć przed tobą zbliżające się bankructwo, że popełniłem jakieś nadużycia, których nie zdołałem na czas wyrównać, i że nie pozostało mi nic innego, jak rozstać się z życiem. Otóż tak nie jest. Wszystko pozostawiam w zupełnym porządku, fabryce żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Dla twojej orientacji załączam tu dokładne i wyczerpujące sprawozdanie o stanie interesów. Przyda się ono Krzysztofowi przy objęciu przezeń stanowiska naczelnego dyrektora. Dla niego też podaję osobno rodzaj instrukcji i moje opinie o niektórych pracownikach.

Jak widzisz, schodzę ze sceny w zupełnie uczciwy sposób. Po kilku tygodniach nasz świat handlowy i bankowy zorientuje się, że firmie nic nie grozi i że moje samobójstwo nie stoi w żadnym związku z jej sytuacją materialną. Nie zostawiam żadnych listów do Józefiny, do swoich dzieci czy do policji, bo przed nikim nie chcę i nie mam obowiązku tłumaczyć się ze swego kroku. Tobie jednak, Karolu, winienem wyjaśnienie.

Z zamiarem tym nosiłem się od dawna. Od dawna przekonałem się, że właściwie nic mnie z życiem, jakie prowadzę, nie łączy, nic nie wiąże. Przez jakiś czas chciałem pojmować je jako obowiązek względem mojej rodziny. Zbyt długo wszakże nie mogłem mieć tego złudzenia. Jestem im niepotrzebny, obcy, idealnie obojętny, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy staję im na drodze swoją niedorzeczną przedwojenną etyką i swoim anachronicznym charakterem. Wówczas mnie nienawidzą tak, jak i ja ich nienawidzę, rozumiejąc, że przecież to oni mają rację, oni płyną z nurtem, a ja daleko zostałem poza naszymi czasami, poza dzisiejszym życiem. Próbowałem mu nadażyć i wówczas stawałem się sobie samemu wstrętny, zabłąkany, bezsilny. Nie potrafię dotrzymać tempa i nie potrafię pogodzić się z treścią dzisiejszego świata. Uważałem zawsze życie za teren polaryzacji wysiłków i dążeń ku pewnym celom. Dla współczesnego człowieka życie stało się celem samym w sobie. Miejsce idei i zasad zajęły idee i zasady «stosowane», jak jest «sztuka stosowana». Dogmaty, na których opierały się dawne pokolenia, zostały wyrzucone na strych, a nowych nie stworzono, bo byłyby tylko zawadą.

Nie umiem w tym wytrzymać dłużej. Współczesne życie nie daje mi swoich soków, które zresztą są dla mnie trucizną. Odpadam tedy od pnia, jak stara gałąź, skazana na zagładę w klimacie nowej epoki. Nie jestem pierwszy ni ostatni. Z naszego pokolenia w tenże sposób odeszło już wielu. Holtzer, Berengowski, Sornitowicz, Wajsblum... Janusz Genwajny był dwunasty. Czas i na mnie.

Miałem jeszcze jeden obowiązek: obowiązek wobec pamięci naszego ojca i założonej przezeń firmy. Ten spełniłem. Po mojej śmierci poleć Krzysztofowi otworzyć kasę ogniotrwałą, stojącą w moim gabinecie fabrycznym. Są tam akty dotyczące pożyczki dwustu tysięcy dolarów, zaciągniętej przeze mnie bez Twojej wiedzy w banku »Lloyd and Bower« w Manchesterze. Termin ostatni płatności wypada za dwa miesiące. Otóż załączam tu pokwitowania za całą sumę. Spłaciłem wszystko do grosza. Zużyłem na to wszystko, co posiadałem, i wszystko, co stanowiło udział moich dzieci w firmie. Nie mam z tego powodu żadnych skrpułów. Wiem, że nie odbierzesz im utrzymania, jakie mają. Pensja Zdzisława powinna wystarczyć na to. Poza tym Józefina posiada kawałek ziemi na Kresach. Jeżeli chcesz, zajmij się nimi bliżej. Ja Ciebie jednak o to nie proszę. Żegnaj, Karolu, i wiedz, że odchodzę bez żalu.

*Twój brat Wilhelm”*

Paweł przeciągnął się i wyprostował. Na jego twarzy zjawił się uśmiech. Oto miał, czego szukał, oto trzymał w ręku ratowniczą linę, która wydobędzie go z dna. Pod czaszką zakłębiły się myśli. Biegły każda jakby z innej strony, chaotyczne, chwiejne, nieuchwytnie, lecz z błyskawiczną szybkością splatające się w mocne węzły sieci, w logiczną strukturę planu.

Nie widział go jeszcze w całej rozciągłości, lecz orientując się w doraźnej pozycji własnej z nieomylną pewnością, czuł, wyczuwał wielką perspektywę wspaniałej gry, do której przystępuje z nie byle jaką stawką i w pełni nienasyconej woli

wygranej.

Z początku drgały mu nieco ręce, gdy przerzucał papiery i notatki. Gdy jednak odnalazł plik pokwitowań banku „Lloyd and Bower”, uspokoił się zupełnie. Już całkiem na zimno przestudiował resztę materiału, sporządzonego istotnie z taką przejrzystością, że bez żadnego trudu zapoznał się z materialną sytuacją Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, z faktem, że jedynym właścicielem pozostał teraz młodszy z braci Dalczów, jego stryj Karol, no i jego spadkobierca, Krzysztof.

O stryju wiedział Paweł, że jest sparaliżowany i nie opuszcza łóżka, o Krzysztofie nic, poza faktem dziedziczenia przez niego dużych kapitałów, zapisanych przez nieboszczyka Wyzbora. Młodszeo od siebie o lat dziesięć czy jedenaście brata stryjeczneo widział zaledwie dwa czy też trzy razy w życiu, gdy tamten był jeszcze małym chłopcem.

Poza tym wchodziła w grę rodzina. Z matką, oczywiście, wcale nie potrzebuje się liczyć. Ta kobieta zastosuje się ślepo do jego życzeń. Halina nie orientuje się w niczym. Zdzisław jest głupcem. Pozostaje Ludwika i jej mąż, doktor Jachimowski, no i kuzyn Jachimowskiego, znany przemysłowiec naftowy, Wacław Gant. O Gancie wiedział Paweł, że siedzi w Drohobyczu i pilnuje swoich większych interesów, a administrowanie udziałami w fabryce Dalczów powierzył Jachimowskiemu. Z tym Paweł również mało się stykał. Był zaledwie wyrostkiem, gdy Jachimowski starał się o rękę Ludwiki, i pamiętał, że do

małżeństwa doszło wbrew woli matki, która krzywiła się na pochodzenie i maniery galicyjskiego doktora, lecz nie umiała przewyciężyć uporu córki. Jachimowski wówczas uchodził za człowieka sprytnego, obrotnego i mającego nos do interesów. Żeniąc się wniósł do firmy swój nieduży kapitał i wprowadził Ganta. Natomiast posagowe udziały Ludwiki pozostały nadal w zarządzie teścia, no i teraz równały się okrągłemu zeru.

Paweł starannie złożył wszystkie papiery i wsunął je do kieszeni. Zabrał się teraz do przeglądu szuflad biurka, lecz nic godnego uwagi tam nie znalazł. Właśnie otwierał ostatnią, gdy zapukła pani Józefina:

– Przepraszam cię, Pawełku, ale może byś zjadł śniadanie?

– Z przyjemnością – odpowiedział wesoło. – Jestem porządnie głodny.

– To chodź. Telefonowałam do fabryki i sprowadziłam Zdzisia. Będziecie się mogli naradzić, bo ja już zupełnie straciłam głowę.

– Cóż Zdzisław? – krzywo uśmiechnął się Paweł. – Bardzo był zachwycony moim przyjazdem?

– Dziwił się – wymijająco odpowiedziała pani Józefina.

– Tak?... Zdziwi się jeszcze bardziej, ja to matce gwarantuję. Ale mama, oczywiście, powiedziała mu, że przyjeżdżam z zagranicy? – zaniepokoił się.

– Naturalnie. Przecie wyraźnie mnie o to prosiłeś.

– I że byłem w ostatnich czasach w korespondencji z ojcem?

...

– Tak, i to go sprawiło w największe zdumienie.

– Wybornie. Zatem gdzież to śniadanie?

W jadalni czekał Zdzisław, chodząc nerwowymi krokami dookoła stołu. Powierzchność jego świadczyła o przygnębieniu i niepokoju. Wchodzącego brata powitał spojrzeniem, jakim się patrzy na intruza, od którego należy w dodatku oczekiwać nieuzasadnionych pretensji, na marnotrawnego brata, który w najcięższym momencie zjawia się jako nowy ciężar.

Paweł doskonale to odczuł i dlatego, nie postąpiwszy ani kroku naprzód, z wręcz protekcyjnym gestem wyciągnął rękę i powiedział tonem niemal łaskawym:

– Jak się masz, Zdzisławie.

Nieco tym zaskoczony, Zdzisław zbliżył się niepewnie i uściśnął dłoń brata, bąknąwszy:

– Przyjechałeś?...

– Niestety, o dwa dni za późno. Nie przypuszczałem, że ojciec popełni ten krok, zanim nie zostaną wyzyskane wszystkie szanse ratunku.

– Przepraszam ciebie, jakiego ratunku?

– Jakiego? – Paweł obrzucił go lekceważącym spojrzeniem. – Więc nawet nie zadaliście tu sobie trudu, by dowiedzieć się, że ojciec stracił cały swój i wasz majątek?

– Boże! To niemożliwe! – chwycił się za głowę Zdzisław. – Zresztą skąd ty o tym wiesz! Skąd w ogóle możesz wiedzieć! Ojciec mógł popełnić samobójstwo z każdego innego powodu!...

– Oczywiście – uciał Paweł. – Na przykład miłość bez wzajemności. Mamo, każ podawać to śniadanie, bo doprawdy nie mam czasu. Muszę być w paru bankach i u stryja.

Pani Józefina nacisnęła guzik dzwonka, a Zdzisław chwycił brata za łokieć:

– Matka mówiła, że ojciec pisał do ciebie za granicę. No, przestańże być wreszcie z łaski swojej Pytią delficką<sup>74</sup>! O co, u ciężkiego diabła, chodzi?! Ojciec grał na giełdzie czy co, bo już nic nie rozumiem?!

– Przede wszystkim uspokój się i jeżeli ci to różnicy nie robi, przestań gnieść mój łokieć. Z tego, co mówisz, widzę, że ojciec nie zostawił żadnego wyjaśnienia, a wy sami nie interesowaliście się stanem waszych interesów.

– Ależ, Pawle! Nie znałeś ojca czy co? – załamał ręce Zdzisław. – Przecie ten despota<sup>75</sup> nikomu nie pozwalał na kontrolę tego, co robi. Wszystko do ostatniej chwili tak zazdrośnie trzymał w rękę, że nikt, nawet stryj, nie wie, co się stało!

– Mówiłeś ze stryjem? – obojętnie zapytał Paweł.

– Mówiłem z tym jego Blumkiewiczem. Tam jest prawie panika.

– No, tam do paniki nie ma powodów.

---

<sup>74</sup> *Pytia delficka* – kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *despota* – bezwzględny jedynowładca; człowiek wymagający absolutnego posłuszeństwa. [przypis edytorski]

– Czy przez to chcesz powiedzieć, że tu jest?...

Paweł spokojnie nałożył sobie szynki na talerz i spod oka spojrzał na brata:

– To zależy. Nie będę wszystkim poszczególnie opowiadał całej sprawy. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Osobiście widzę jeszcze możliwość uratowania, jeżeli nie wszystkiego, to pewnej części waszego majątku. Przedstawię to sam, gdy się zbierzecie razem. Porozum się, proszę, z Halinką i z Ludwiką, by tu przyszły. Chciałbym też, by był obecny Jachimowski. On jeden, zdaje się, ma głowę w porządku. Musimy się naradzić.

– Ludka jest cierpiąca i nie wychodzi z domu – zauważyła pani Józefina. – Chyba zbierzemy się u nich?

– To obojętne, byle nie tracić czasu.

– Tak, tak – potwierdził Zdzisław i wybiegł z pokoju, by telefonować.

– Czy i ja będę wam potrzebna? – zapytała pani Józefina.

– Naturalnie. Niech mama nawet wcześniej pojedzie do Jachimowskich i powtórzy im to, o co mamę prosiłem: o moim pobycie za granicą, ściślej w Londynie, i korespondencji z ojcem.

– Pawełku kochany, czy naprawdę da się coś uratować z tej katastrofy?

– Jeżeli oni zechcą zastosować się do moich wskazówek, to możesz być spokojna.

W godzinę później jechał taksówką na Kolonię Staszica, gdzie jego szwagier Jachimowski miał swoją willę. W hallu<sup>76</sup> wyszedł

---

<sup>76</sup> *hall* – duży, reprezentacyjny korytarz. [przypis edytorski]

na jego spotkanie chłopiec w sportowym ubraniu, mogący liczyć nie więcej niż lat szesnaście, lecz pozujący na dorosłego mężczyznę.

– Pan Paweł Dalcz? – zapytał. – Wuj pozwoli, że się przedstawię, Jan Jachimowski.

– Duży z ciebie chłopak – zdawkowo powiedział Paweł i poklepał go po ramieniu.

– Mama zaraz zejdzie. Babcia też jest u mamy, a tatuś telefonował, że zaraz przyjedzie razem z wujem Zdzisiem. Proszę, może wuj zapali papierosa? – Wskazał mu fotel i podsunął mosiężne pudełko z papierosami. – Wuj mieszka stale w Londynie?

– Nie. Mieszkam tam, gdzie mnie zatrzymują interesy. Ostatnio w Londynie.

– Nita w lecie wybierała się do Anglii. Na pewno będzie wuja zanudzała wypytywaniem.

– Nita? To twoja siostra?

– No tak – ze zdziwieniem potwierdził Janek.

– Mogłem zapomnieć – z uśmiechem usprawiedliwił się Paweł. – Gdy ją widziałem, uczyła się dopiero chodzić. Ma już chyba siedemnaście lat?

– Osiemnaście i nie tylko chodzi, lecz jest najlepszą lekkoatletką w biegach długodystansowych – odpowiedział nie bez przechwałki.

Na schodach ukazała się pokojówka:

– Pani prosi pana na górę.

W niedużym saloniku zastał matkę i siostrę, która, nie wstając, podała mu rękę i wytłumaczyła się zboląłym głosem:

– Wybacz, Pawle, ale jestem cierpiąca. Jak ty jeszcze świetnie wyglądasz! Aż tryska z ciebie zdrowie.

– Ale strasznie posiwiiał – powiedziała pani Józefina.

– Gorączkowa praca na Zachodzie, interesy, giełda, wszystko, co może człowieka przyprawić o siwiznę – pokiwał głową i usiadł naprzeciw siostry.

– Daruj, Pawle, ale myślałam, że nie zajmujesz się żadnymi poważnymi sprawami. Do nas tu dochodziły z rzadka słuchy, że w ogóle nic nie robisz i że ci się źle powodzi.

– Masz rację. Przez kilka lat powodziło mi się nieszczególnie. A widzisz, Ludko, ludzie są tacy, że z czyichś niepowodzeń zawsze są gotowi robić im zarzuty, tak samo zresztą, jak z sukcesów zasługi. Dlatego tylko – zaśmiał się – nie popadam teraz w zarozumiałość, gdy mnie darzą zaufaniem i w każdym najniewinniejszym słowie dopatrują się mojej wielkiej mądrości.

Zapalił papierosa i założywszy nogę na nogę, dodał:

– Gdy dociągnę do miliona, uznają mnie za wyrocznie, gdybym zaś stracił wszystko, nazwą mnie niezdara.

Zaległo milczenie i pani Ludwika przyglądała się mu z ciekawością:

– Więc teraz powodzi ci się dobrze? – zapytała.

– Komu się teraz dobrze wiedzie? – wzruszył ramionami. – Jestem i tak wdzięczny losowi, że udało mi się uniknąć tych strat, jakie spotkały większych ode mnie i bardziej doświadczonych

bawelnarzy. No, kiedyż oni przyjdą? – Spojrzał na zegarek, który zabrał z szuflady ojca. – Tu, widzę, ludzie jeszcze nie nauczyli się cenić czasu.

– Zaraz będą – zaniepokoiła się pani Ludwika. – Może pozwolisz herbaty?

– Prosiłbym o kawę.

Zanim przyniesiono kawę, przyszli Jachimowski i Zdzisław. Jachimowski zmieszanie i niepokój maskował uprzejmością. Zdzisław był ponury. Wraz z kawą zjawiała się Halina. Wpadła na górę w futrze i w botach. Ona najserdeczniej powitała brata, chociaż on przywitał się z nią obojętnie, a nawet demonstracyjnie obtarł policzek, na którym jej pocałunek zostawił czerwoną plamę.

– Chwileczkę – trzepała Halina, oddając zwierzchnią garderobę służącej i poprawiając suknię przed lustrem – zaraz wam służyć. Pawełku! wyglądasz imponująco. Wiesz, że to obrzydliwie z twojej strony przez tyle lat nie pokazać się nam... Już służyć, tylko muszę jeszcze zatelefonować do krawcowej, bo mi tej nieszczęsnej żałoby na czas nie skończy. Wiesz, mamo, zdecydowałam się na koronki. Przepraszam was...

– Halino – stanowczym głosem odezwał się Paweł – krawcowa może poczekać, a ja nie. Proszę cię, usiądź. Mam dokładnie dwadzieścia trzy minuty czasu.

– Zaraz – zerwał się Jachimowski. – Pozamykam drzwi.

Paweł chrząknął i podsunął swój fotel. Widział, że intuicja go nie zawiodła. Z min wszystkich obecnych przezierało

oczekiwanie wiadomości ważnych, groźnych, decydujących, których on jedynie mógł udzielić, a które zaważą na ich losie o tyle i w tym stopniu, w jakim jemu się spodoba. Czuł, że zapanował nad ich wyobraźnią, że zatem ma gotowy grunt do owdładnienia sytuacji.

Zaczął mówić. Krótkie, suche zdania przedstawiały stan rzeczy. Ojciec przed dwoma laty potajemnie zaciągnął w imieniu firmy pożyczkę w „Lloyd and Bower Banku” w Manchesterze w kwocie dwustu tysięcy dolarów. Nie miał do tego prawa. Transakcja też nie została przeprowadzona przez księgi. Ojciec sam osobiście przeprowadzał korespondencję i pertraktacje. Wszystkie akty dotyczące tej sprawy, przynajmniej według tego, co ojciec pisał do Pawła, znajdują się w kasie ogniotrwałej w gabinecie fabrycznym ojca.

– Niestychane! – wybuchnął Jachimowski.

– Kto ma klucze od tej kasy? – zapytał Paweł.

– Są u mnie – uspokoiła go pani Józefina.

– To całe wasze szczęście – blado uśmiechnął się Paweł. –

Otóż, jak się domyślicie, ojciec nie miał czym spłacić pożyczki, a termin się zbliżał. Zastawił udziały swoje, mamy, Zdzisława, Ludki i Haliny, by próbować szczęścia w spekulacjach giełdowych w Paryżu i Londynie. Nie miał w tym względzie żadnego doświadczenia, trafił do rąk nieuczciwych maklerów i przegrał. Wówczas sprzedał wasze udziały pod warunkiem, że fakt sprzedaży pozostanie tajemnicą do połowy lutego, to jest do dnia posiedzenia Zarządu.

– Ależ to zwykła kradzież! – zerwał się Zdzisław – to kryminał!

– Nie przerywaj mi, proszę – chłodno odezwał się Paweł. – Otóż uzyskaną z tej powtórnej transakcji sumkę ojciec ponownie rzucił na giełdę i znowu stracił co do grosza. Ponieważ znajduję się w stosunkach z bankiem „Lloyd and Bower”, jak i większość bawelnarzy, przypadkowo dowiedziałem się, że obawiają się tam niedotrzymania terminu pożyczki, zaciągniętej przez firmę warszawską o takimż nazwisku, jak moje. Oczywiście natychmiast wiedziałem, o co chodzi. Wywiadownia handlowa dała znać bankowi, że pożyczka nie figuruje w księgach firmy, że zatem Wilhelm Dalcz popełnił nadużycie, że dalej prowadzi nieszczęśliwe spekulacje giełdowe i że stoi na progu ruiny, wobec czego bank zamierzał złożyć u prokuratora warszawskiego doniesienie.

– Straszne! – złożyła ręce pani Józefina, która tak była przejęta słowami syna, że wprost wyszła jej z pamięci świadomość dzisiejszego ranka.

– Wówczas – ciągnął Paweł – podjąłem się pośrednictwa. Na szczęście, jak już powiedziałem, właśnie z tym bankiem łączyły mnie stosunki, a co za tym idzie, miano tam do mnie tyle zaufania, popartego zresztą moim rachunkiem bieżącym, że na to się zgodzono. Dalibóg! – Paweł uśmiechnął się ironicznie. – Nie poczuwałem się do żadnego długu wdzięczności ani wobec ojca, ani wobec was, moi kochani... Nie daliście mi nigdy do tego jakichkolwiek powodów... Hm...

Powiódł wzrokiem po zasepionych twarzach.

– No, ale mniejsza o to. Napisałem do ojca. W odpowiedzi otrzymałem błagalny list. – Paweł zrobił gest, jakby chciał ten list z kieszeni wydobyć. – Lecz – ciągnął dalej – rzecz szła opornie. Zdołałem wreszcie uzyskać zaniechanie drogi karnej. Ojciec przysłał mi szczegółowe dane dotyczące sytuacji firmy. Otóż ta jest zupełnie zadowolająca, co zaraz wam przedstawię.

Teraz istotnie wydobył z kieszeni plik arkusików, zapisanych znajomym dla wszystkich obecnych pismem pana Wilhelma. Zaczął odczytywać niektóre pozycje i komentarze, po czym, chowając papiery, dodał:

– Jak widzicie, firma pożyczkę spłacić może i stoi dobrze. Niestety, nic w niej nie pozostało waszego. Wszystko należy do stryja Karola i do Krzysztofa, nie licząc, oczywiście, udziałów Ganta i Jachimowskiego, które pozostały nienaruszone.

Zaległa cisza.

– Jesteśmy nędzarzami – cicho odezwał się Zdzisław i odwrócił głowę, by ukryć łzy.

– I... i nie ma żadnego ratunku? – drżącym głosem zapytała Halina.

Paweł przez chwilę gryzł wargi w głębokim namyśle.

– Ojciec wiele zepsuł przez swoje samobójstwo – powiedział. – Ratunek jeszcze był możliwy. Doniosłem mianowicie ojcu, że bank skłania się do poglądu, że będzie mógł pod pewnymi warunkami prolongować<sup>77</sup> pożyczkę. Ostateczną odpowiedź

---

<sup>77</sup> *prolongować* – przedłużać, przesunąć termin czegoś (np. spłaty długu) na

miałem przywieźć sam przed dwoma dniami. Niestety, moje własne interesy zatrzymały mnie po drodze w Hamburgu o dwa dni dłużej. A nerwy ojca nie wytrzymały. Stało się...

– I kiedy należy oczekiwać skandalu? – zapytał Jachimowski.

– Jakiego skandalu?

– No przecież bank, dowiedziawszy się o samobójstwie...

– Ach, to chyba da się jakoś załatwić. Depeszowałem już do Manchesteru, a tu będę musiał porozumieć się ze stryjem. Sądzę, że obejdzie się bez skandalu.

– Ale cóż nam z tego! – rozpaczliwie jęknął Zdzisław.

– To zależy – powściągliwie zaznaczył Paweł.

– Więc mówże na litość boską, bo ja tu nic nie widzę!

– Macie jedną przewagę nad stryjem i nad Krzysztofem.

– Jaką przewagę?

– Tę, że wy wiecie, a oni nie.

Zapanowała cisza.

– Nie rozumiem cię, Pawle – spokojnie odezwała się Ludwika.

– Co może nam przyjść z tego, że wiemy o tym wcześniej?

– Oczywiście – podchwycił jej mąż. – Przecie otworzą kasę pancerną w gabinecie, przecie ten bank się odezwie, no i pan Karol będzie równie dobrze o wszystkim poinformowany, jak i my.

– Właśnie powinniście się postarać, by nie dowiedział się, by zostawiono wam jak najwięcej czasu do szukania ratunku.

– Jeżeli szukanie to coś pomoże.

– Ha, jeżeli wolicie z góry zrezygnować...

– Ale nie widzę sposobu w ogóle utrzymania rzeczy w tajemnicy – powiedziała Ludwika.

– Jest jeden sposób, tylko jeden – zrobił pauzę Paweł – mianowicie objęcie w firmie stanowiska naczelnego dyrektora.

Ponieważ wszyscy milczeli, a w tym milczeniu było jakieś rozczarowanie, Paweł ciągnął:

– Gdy jeden z was na krótki chociażby czas obejmie to stanowisko, w jego rękę znajdą się wszelkie sprawy, którymi różnie będzie mógł pokierować. Ze swej strony mogę obiecać, że przyczynię się do wszczęcia kwestii zwrotu pożyczki w taki sposób, że nie zostaniecie na lodzie.

– Tak... Widzę tu niejaki możliwości – pokiwał głową Jachimowski – i bardzo ci jesteśmy wdzięczni za twoją dobroć, ale, niestety, koncepcja jest nierealna.

– Dlaczego?

– Żadnemu z nas pan Karol nie odda naczelnej dyrekcji.

– Czy już ktoś ją objął?

– Nie. Ma objąć Krzysztof. Na razie panuje chaos i bezkrólewie.

Paweł uśmiechnął się:

– Są zawsze dwie drogi do otrzymania władzy: droga prawa i droga... uzurpacji<sup>78</sup>.

– Jak to uzurpacji?

Zaczął im tłumaczyć. Sami mówią, że trwa jeszcze chaos

---

<sup>78</sup> *uzurpacja* (z łac.) – bezprawne przywłaszczenie sobie władzy. [przypis edytorski]

i dezorientacja. Od dziesiątków lat wszyscy przywykli do władzy Wilhelma Dalcza i okaże się rzeczą naturalną, że po jego nagłej śmierci któreś z jego dzieci władzę tę odziedziczy przynajmniej na czas uporządkowania spraw, pozostawionych w nieładzie i w zagmatwaniu przez ojca. Można tu nawet posługiwać się górnolotnymi i patetycznymi słowami, jak rehabilitacja pamięci zmarłego, moralny obowiązek dzieci w uporządkowaniu jego pewnych zaniedbań. Stryj Karol nie będzie mógł tak przy otwartej jeszcze trumnie odmówić słuszności tym argumentom, zwłaszcza gdy objęcie władzy zostanie już dokonane i bez skandalu niepodobna będzie nowego dyrektora, a bądź co bądź członka rodziny, usunąć.

– Przemyślałem to nawet w drobnych szczegółach – z jakąś surowością w głosie mówił Paweł. – Przewiduję, że wszystko może przybrać stan pożądaný. Tylko jeden warunek nieodzowny: ten z was dwóch powinien zostać naczelnym dyrektorem, który cieszy się większą powagą, większym szacunkiem, którego *vox populi*<sup>79</sup>, opinia wszystkich pracowników uzna za uprawnionego do objęcia tego stanowiska. Darujcie, ale przez tyle lat nie widziałem was obu, że nie orientuję się, który z was mocniejszą ma rękę, większy *mir*<sup>80</sup> u pracowników, większy głos u stryja i lepszą znajomość spraw fabrycznych. Powtarzam: musicie się zdecydować zaraz, bo tu nawet godzina odgrywa rolę. Z tym z was, którego desygnujecie,

---

<sup>79</sup> *vox populi* (łac.: głos ludu) – głos ogółu. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *mir* (daw.) – poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

omówię rzecz szczegółowo i zapewniam, że z bliska wyglądać ona będzie łatwiej, niż się teraz wydaje. Naturalnie, jeżeli nie zamierzacie ratować swego majątku, to szkoda zachodu. Ze swej strony widzę wręcz obowiązek wasz wzięcia biegu rzeczy w cugle<sup>81</sup>, a i mnie na tym zależy, gdyż wówczas nie zostanę skompromitowany wobec manchesterskiego banku, no i otrzymam swoją prowizję. Radźcie zatem, byle szybko.

Wstał i odszedł w drugi kąt pokoju. Tu na stoliku rozłożył papiery, wyjął ołówek i zdawał się całkowicie pogrążony w pracy. Po chwilowej ciszy wśród zebranej rodziny zapanował gwar.

Paweł uważnie nasłuchiwał i żadne słowo nie uszło jego ucha. Był zadowolony z siebie. Pierwszy wielki atak przeprowadził z zimną krwią i z niezbędną ostrożnością. Oczywiście, miał ich teraz w rękę. Nie wątpił, że rezultatem tej bezradnej narady będzie to, co przewidział z całą ścisłością.

Ani Zdzisław, ani Jachimowski nie zdobędą się na przyjęcie na siebie wyznaczonej roli. Żaden z nich nie ma dość odwagi i dostatecznej dozy ryzyka w sobie. Są słabi i tchórzliwi. Pogardzał nimi, lecz nie mógł ich lekceważyć, przynajmniej póty, póki nie przestali być szczeblem, którego niepodobna było ominąć.

– No, moi drodzy! – zawołał. – Na mnie już czas. Cóżście

---

<sup>81</sup> *wziąć w cugle* – zapanować nad kimś a. czymś, ograniczając swobodę i zaprowadzając rygor, dyscyplinę; *cugle*: lejce, wodze do kierowania koniem. [przypis edytorski]

postanowili?

Zapanowała cisza.

– Widzisz, kochany Pawle – odezwał się Jachimowski – mamy trudne zadanie...

Zaczął wyłuszczać przeszkody, jakie stoją im obu na drodze do objęcia dyrekcji. Zdzisława niedawno wywieziono w taczkach, zresztą on nie zna się na całokształcie interesów fabrycznych, Jachimowskiego zaś nienawidzi pan Karol, ma sporo wrogów w administracji, zresztą dokuczają mu katar kiszek...

– Więc rezygnujecie?!...

– Hm... właśnie mówiliśmy... czy nie najlepiej byłoby, gdybyś ty, kochany Pawle, zważywszy, że...

Przerwał, gdyż Paweł Dalcz zachnął się, a jego rysy wyrażały zdumienie i jakby obrazę.

– O co państwu chodzi? – zapytał prawie drwiącym tonem.

Jachimowski chrząkając, zacierając ręce, jękając się i raz po raz zwracając się do żony, jakby szukał jej pomocy, zaczął wyjaśniać, że właściwie byłoby to jedyne i najlepsze wyjście z sytuacji, że Paweł najbardziej nadawałby się na objęcie tego stanowiska, że przecie zna dobrze stan rzeczy, że zresztą w jego ręku znajduje się sprawa pożyczki... No, a z drugiej strony, co to mu szkodzi? Inna rzecz on, Jachimowski, którego tu wszyscy znają, który ma w Warszawie różne interesy. Gdyby doszło do skandalu, straciłby opinię, podczas gdy Paweł może gwizdać na wszystko, bo jego sprawy nie zawadzają o Polskę, koncentrują

się za granicą...

– Bardzo się mylisz – przerwał Paweł. – Dużo bawełny sprzedają do Łodzi. Poza tym przeprowadzenie tego planu wymagałoby pozostania w kraju na kilka miesięcy, a ja po prostu nie mam czasu. Zresztą uważam, że i tak zrobiłem dla was więcej, niż nakazywałyby mi tak zwany dług wdzięczności. Z jakiej racji miałbym ponosić tyle pracy, ryzyka i wysiłku? Chyba sami rozumiecie, że do poświęceń z powodu uczuć rodzinnych nie jestem zbyt obowiązanym?...

Lecz Jachimowski nie ustępował. Z pomocą przysłała mu Ludwika, nawet Zdzisław wydobył z siebie kilka argumentów: pensję dyrektorską i tantiemę<sup>82</sup>. Paweł bronił się coraz słabiej, gdy zaś Halina zarzuciła mu ręce na szyję, a pani Józefina całkiem na serio rozplakała się – ustąpił.

Ileż trudu kosztowało go, by teraz nie roześmiać się im w nos i nie powiedzieć, że oto zrobił z nimi, co chciał, że tak łatwo wystrychnął ich na dudków, że oto on, „zakąła rodziny” i „zmarnowany człowiek spoza nawiasu towarzyskiego” – jak kiedyś sami o nim mówili – uważany jest za ich opatrzność, niemal za zbawcę.

Zdawał sobie dokładnie sprawę z wagi odniesionego zwycięstwa, z tej generalnej próby własnych sił i z konsekwencji, jakie nastąpić muszą po tym wspaniałym sukcesie, lecz o ileż większą sprawiało mu radość samo wygranie dobrze

---

<sup>82</sup> *tantiema* – tu: udział w zyskach przedsiębiorstwa, wypłacany zarządzającemu jako dodatek do pensji. [przypis edytorski]

przygotowanej partii, partii przeciw ludziom, którzy przecie do niedawna patrzyli na niego z góry.

– Zdaje się – powiedział – że popełniłem duży błąd, ale słowo się rzekło. Zatem nie będziemy już trudzić pań, a was, panowie, poproszę na godzinę szóstą do mieszkania matki. Musimy omówić szczegóły.

– Nie jestem już potrzebna? – zerwała się wesoło Halina. – To świetnie. Muszę telefonować do krawcowej.

– Do widzenia – pocałował Paweł rękę matki. – O której mama każe być na obiedzie? Mnie najwygodniej byłoby o trzeciej. Mam teraz konferencje w dwóch bankach. Do widzenia.

Nie czekając odpowiedzi, pożegnał się z wszystkimi i wyszedł.

W istocie musiał sprawić sobie garderobę. Paradowanie w przyciasnych ubraniach ojca i w jego futrze byłoby ryzykiem niepotrzebnym. Wziął taksówkę i kazał się zawieźć do jednego z najlepszych krawców, później do wielkiego sklepu kuśnierskiego<sup>83</sup>. Stąd polecił odesłać sobie wspaniałe futro za cztery tysiące złotych. Wybrał najdroższe i najokazalsze, umówiwszy się, że odnoszącemu wręczy czek.

Wychodząc od kuśnierza zbadał zawartość kieszeni. Z pieniędzy wziętych od matki zostało jeszcze około trzystu złotych. Wstąpił do jubilera i kupił złoty pierścień z imponującym rozmiarami fałszywym brylantem.

---

<sup>83</sup> *sklep kuśnierski* – sklep z futrami i odzieżą skórzaną. [przypis edytorski]

O trzeciej był już w domu. Matka czekała nań z obiadem. Dwa niezajęte krzesła przy stole świadczyły o nieobecności Haliny i Zdzisława.

– Czy mama ma w jakim banku pieniądze? – zapytał, rozkładając serwetkę.

– Owszem. Nie wiem dokładnie ile, ale musi tam jeszcze być ze dwa tysiące.

– To dobrze. Poproszę mamę, by wypisała mi czek na okaziciela na cztery tysiące złotych.

– Ależ tam na pewno nie ma czterech – przestraszyła się pani Józefina. – A poza tym to... to wszystko, co mi zostało...

– To już moja rzecz, mamó, nie obawiaj się. A na czeku postaw datę o dwa tygodnie późniejszą. Do tego czasu znajdzie się pokrycie. No, cóż tam mówiło moje kochane rodzeństwo?

– Ach, wyobraź sobie, byłam oburzona. Ludwika wystąpiła z podejrzeniami.

– Więc jednak – zmarszczył brwi Paweł.

– Ona jest taka oschła, taka obrzydliwie merkantylna<sup>84</sup>. Najpierw zaczęła powątpiewać o twoich interesach bawelnianych...

– No, tu miała nieco racji – zaśmiał się Paweł.

– Jak to? – nie zorientowała się pani Józefina.

– Mniejsza o to. Niech mama mówi dalej.

– Później radziła mężowi sprawdzić, czy cała historia o pożyczce nie jest twoim wymysłem!

---

<sup>84</sup> *merkantylny* – kupiecki, nastawiony na korzyści materialne. [przypis edytorski]

– A cóż na to Jachimowski?

– Wyśmiał ją. Powiedział, że nie jest naiwnym dzieckiem, że na ludziach się, dzięki Bogu, zna i że dziwi się temu, że ciebie nie doceniali. No widzisz, mój kochany synku!

Patrzyła nań z rozczuleniem.

– I więcej nic nie mówił?

– Więcej?... Aha! Mówił, że nic łatwiejszego, jak sprawdzić twoje wiadomości. Jeżeli w kasie pancерnej znajdują się akty tej pożyczki, rzecz będzie jasna. Co zaś dotyczy udziałów, dowiadywał się u rejenta Skorkiewicza.

– Jednak?...

– Rejent odmówił jakichkolwiek informacji, ale ze sposobu, w jaki z nim rozmawiał, łatwo było można wywnioskować, że rzeczywiście ten stary szaleniec stracił wszystko.

– A cóż mój braciszek?

– Zdziś jest dobrej myśli i powiada, że do całej katastrofy na pewno by nie doszło, gdybyś ty wcześniej przyjechał i wejrzał w gospodarkę ojca. Nie masz pojęcia, co ten stary szaleniec wyprawiał. Po prostu dezorganizował mi cały dom...

Ocierając od czasu do czasu oczy, pani Józefina opowiadała o ostatnich latach swego życia z panem Wilhelmem, odludkiem, dziwakiem, wiecznie milczącym...

Paweł nie słuchał.

Monotonny głos matki nawet mu nie przeszkadzał w jego myślach. Treningu w tym względzie, jakże pożytecznego, nabrał podczas tych długich miesięcy, kiedy w zupełnej apatii leżał

nieruchomo w łóżku i wprost nie zauważał, że do niego mówiono, że zaklinano najczulszymi słowami, że obsypywano obelgami. Liczył wówczas kwadraciki na tapetach, mnożył je, dzielił i tonął w doskonałej bezmyślności.

Wtedy właśnie nauczył się sztuki całkowitego wydzielenia się z otaczającej rzeczywistości i teraz równie dobrze, jak na paryskim poddaszu kwadraciki, jak w swoim folwarku muchy na suficie, mógł liczyć szanse szeroko zakrojonego planu, mnożyć ewentualności, przewidywaniami zapobiegać faktom, precyzyjnie analizować atuty przeciwników.

Zasiadł oto przy stole wielkiej gry. Zasiadł z niczym. Tak zdawałoby się tamtym, gdyby umieli zajrzeć w jego karty, gdyby mogli sprawdzić pustkę jego kieszeni.

Głupcy! Przychodził przecie z nagromadzonym latami pragnieniem wygranej, z potężnym kapitałem woli zwycięstwa, z kolosalnym zapasem niewyżytej energii, z umysłem równie chłodnym, jak żądza gry była w nim płomienna. Przychodził nieobciążony już żadnymi skrupułami, wolny od wszelkich serwitutów<sup>85</sup> moralnych, przychodził ze skarbem stokroć większym niż ten cień dwustu tysięcy dolarów, który wpadł mu w rękę, jak pierwsza szczęśliwa karta...

Po obiedzie zamknął się znowu w pokoju ojca i aż do przyjścia brata i szwagra studiował papiery zmarłego.

Nazajutrz z rana miał być pogrzeb. Umówili się też w ten sposób, że wprost z cmentarza pojedą do fabryki

---

<sup>85</sup> *serwitut* (z łac.) – przen. powinność, zobowiązanie. [przypis edytorski]

i tam Jachimowski oraz Zdzisław sprowadzą do gabinetu ojca wszystkich kierowników biur i inżynierów, którym przedstawiają Pawła jako tymczasowego następcę nieboszczyka naczelnego dyrektora. Stryj Karol zostanie postawiony wobec faktu dokonanego. Niewątpliwie dowie się o uzurpacji natychmiast, lecz, przykuty do łóżka i zdezorientowany samobójstwem brata, nie przedsięwzięmie od razu kroków wrogich. Zresztą tegoż popołudnia Paweł odwiedzi go i resztę już on bierze na siebie.

Pozostała kwestia ustosunkowania się do tych zdarzeń Krzysztofa.

– Jaki to jest człowiek i czego po nim można się spodziewać?  
– zapytał Paweł.

– Smarkacz – wzruszył ramionami Zdzisław.

– Żółtodziób?

– No, tak nie można powiedzieć – zastrzegł się Jachimowski – znam go bardzo mało. Jest jednak pewne, że jako inżynier nie należy do przeciętnych. Wprowadził sporo pożytecznych innowacji. Na przykład w obliczeniach akordu<sup>86</sup> przy obrabiarkach...

– Nie o to mi chodzi – przerwał Paweł. – Jaki człowiek? Mól, snob, zarozumialec, spryciarz czy fujara?

– Mało się udziela – rozłożył ręce Jachimowski. – Zresztą do administracji nigdy się nie wtrącał. No i nic dziwnego. Jest w fabryce dopiero od dwóch miesięcy. Robi wrażenie skrytego,

---

<sup>86</sup> *akord* – tu: norma pracy, od której zależy wysokość wynagrodzenia pracownika.  
[przypis edytorski]

zamkniętego w sobie. Nie pije, nie hula, zdaje się, że nigdzie nie bywa.

– A robotnicy lubią go?

– Raczej nie. On w ogóle jest jakiś dziwny.

– W jakim znaczeniu?

– Czy ja wiem. Trudno określić. Na przykład robi wrażenie mamusinego synka, takiego grzeczniutkiego, rozumiesz, wylizanego, dobrze wychowanego i skromnego, a ma pasję używania najordynarniejszych słów i wymyślania od takich synów na przykład. Przy tym ma głos taki cichy... Nie lubię go.

– To niewiele – skrzywił się Paweł. – A nic nie wiecie o jego prywatnym życiu?

– Jakże! – zawołał Zdzisław. – Jarszówna!

– Co za Jarszówna?

– Ma kochankę. To nawet skandal, rzecz prawie jawna.

– Pomału. Więc nazywa się Jarszówna i co to za typ?

– Stenotypistka. Pracowała u nas od dawna w sekretariacie.

Wziął ją na swoją sekretarkę, no i żyje z nią. Nawet ładna dziewczyna.

– A skąd wiecie, że jest jego kochanką?

– To powszechnie wiadomo. Zresztą on wcale się z tym nie ukrywa. Odwozi ją do domu swoim autem.

– Widzieli ich razem w kinie – dorzucił Jachimowski.

– A przez kogo, jeżeli nie przez nią, wylał ojciec szefa kalkulacji? Ten bąknął jej coś o jej najdroższym i w godzinę nie było go już w fabryce. To pewne. Nawet wywołuje oburzenie,

bo wcale się nie ukrywa ze swymi amatorami. Traktuje ją demonstracyjnie jak wielką damę.

– Więc sentymentalny i „damski kawaler”?... No dobrze. Jutro oczywiście spotkam go na pogrzebie. Wówczas postaram się poznać go lepiej.

– Czy z jego strony spodziewasz się największych trudności?

– Sądzę – odpowiedział krótko Paweł.

Jednak nie stało się tak, jak przypuszczał.

Na pogrzebie wprowadzie Krzysztof był obecny, lecz przez cały czas towarzyszył swojej matce. Ponieważ zaś Paweł prowadził pod rękę swoją, a obie bratowe nie witały się ze sobą, Paweł znalazł tylko krótki moment, w którym podszedł do stryjenki i do Krzysztofa, by się przywitać. Stryjenka była zapłakana i milcząca, Krzysztof zaś zamienił z nim tylko kilka słów zdawkowej uprzejmości, z których oczywiście nic wywnioskować nie było można.

Jednak Paweł zdążył przyjrzeć się stryjecznemu bratu. I na nim ten poważny młodzieniec, niewyglądający na swoje lata, sprawił raczej przykre wrażenie. Gdy podczas mów pogrzebowych stali tak naprzeciw siebie po obu stronach otwartego grobu rodziny Dalczów, Paweł wbił wzrok w oczy swego przeciwnika i starał się z nich wyczytać, jakie w nim tkwią siły, jaki spryt, jaka inteligencja?

Krzysztof nie mógł widocznie znieść tego spojrzenia, gdyż odwrócił głowę, a nawet jakby się zaczerwienił.

„Czyżby już coś przypuszczał?...” – pomyślał Paweł.

Wprost z cmentarza Paweł, Jachimowski i Zdzisław pojechali do fabryki.

Warsztaty były w pełnym ruchu, ale w biurach pozostało zaledwie kilka osób: wszyscy urzędnicy i inżynierowie brali udział w pogrzebie i nie zdążyli jeszcze wrócić tramwajami.

Jachimowski kazał woźnemu otworzyć gabinet nieboszczyka. Weszli.

Panował tu wzorowy porządek. Wszystkie przedmioty na biurku pozostały na tym miejscu, na jakim umieściła je pedantyczna dłoń pana Wilhelma.

W kącie stała niewielka kasa ogniotrwała. Paweł wyjął z kieszeni klucze i otworzył ją.

Wewnątrz, systematycznie poukładane, leżały grube teczki. Nie było ich wiele i trzecia z kolei okazała się tą, której szukali.

Paweł położył ją na biurku i zajmwszy fotel ojca, wskazał szwagrowi i bratu miejsce takim głosem, jakby już był ich zwierzchnikiem. Oni jednak nie zwrócili na to uwagi. Zbyt przejęci byli zawartością teczki i Jachimowski nawet sięgnął po nią.

– Za pozwoleniem – bezceremonialnie odsunął jego rękę Paweł. – Nie mamy powodu wyrywać sobie papierów z rąk.

Wyjął pierwszy arkusz i rzuciwszy nań okiem przekonał się, że jest to umowa pożyczkowa. Uważnie przeglądał każdy arkusz, zanim podał Jachimowskiemu. Obawiał się, że i tu mogą być jakieś ślady dokonanych już spłat. Na szczęście poza kilku listami, mówiącymi ogólnikowo o warunkach regulowania rat,

w teczce nie znajdowało się nic, co by zdradzało tajemnicę pośmiertnej koperty ojca.

– Rzecz nie ulega żadnej wątpliwości – westchnął Jachimowski, odkładając ostatni papier.

– A w czyich rękach są udziały? – zapytał Zdzisław.

Paweł uśmiechnął się z takim wyrazem twarzy, jakby to dobrze wiedział:

– Na to mamy czas – rzucił od niechcenia.

W istocie obiecywał sobie wiele po pozostałych w kasie teczkach. Jeżeli zaś tam nie znajdzie wskazówek, pozostanie jeszcze zwrócić się do którejś z wywiadowni handlowych. W każdym razie wiedział, że odszukanie nabywców jest możliwe.

Z kolei Jachimowski i Zdzisław przystąpili do dalszego punktu ułożonego planu. W przyległej do gabinetu sali posiedzeń rozlegały się przyciszone rozmowy, a później, w miarę przybywania ludzi, głośny gwar: szefowie działów zbierali się na audiencję.

Paweł zamknął kasę i stanął tuż przy drzwiach, starając się z ogólnego hałasu wyłowić poszczególne słowa, jakie zilustrowałyby mu nastrój zebranych, przed którymi zaraz stanie i których musi zdobyć. Widzieli go już na pogrzebie ponurego, skupionego... Teraz należy przedstawić się im, jako człowiek czynu... Tak, tak... Zresztą zobaczy, wyczuje temperaturę i do tego zastosuje swoje słowa i sposób zachowania się.

– Już są! – wpadł drzwiami od korytarza Zdzisław. – Mam

tremę, do licha, przecie to zamach stanu! Co za szczęście, że Krzysztof pojechał do domu!

– Otwórz te drzwi – spokojnie powiedział Paweł.

Zdzisław przekręcił klucz w zamku i szeroko otworzył drzwi niemal lokajskim ruchem. W sali momentalnie zaległa cisza. Paweł wyczekał dobrą chwilę i wszedł energicznym krokiem z głową wysoko podniesioną. Za nim wsunął się Zdzisław i ulokował się tuż obok Jachimowskiego za plecami brata. Stali tak przed zebranymi jak wódz i jego adiutanci przed frontem. Tak właśnie było ułożone.

– Panowie – zaczął Paweł – większość z was nie zna mnie. Jestem Paweł Dalcz. Prosiłem was tu, panowie, by przede wszystkim w imieniu rodziny i firmy złożyć wam serdeczne podziękowanie za cześć oddaną pamięci zmarłego i za wyrazy współczucia, którymi pragnęliście przynieść ulgę naszemu cierpieniu. Cenimy je i oceniamy tak wysoko, jak wysoko oceniał mój zmarły ojciec przyjaźń panów i przywiązanie ich do naszego warsztatu pracy. Warsztat ten ma swoje tradycje uświęcone przez wieloletnie kierownictwo zmarłego. Polegały one zawsze na uczciwym, serdecznym i szczerym stosunku wzajemnym. Wezwany przez ojca niestety nie zdążyłem przybyć w porę z zagranicy, by z jego własnych ust usłyszeć testament jego woli. W każdym razie zapewniam panów, że wykonany zostanie ściśle. W tym względzie gwarantuję panom pełnię mego zaufania i proszę was o takież w stosunku do mnie. Nie na długo obejmuję kierownictwo Zakładów. Moje osobiste

interesy odwołują mnie z powrotem do Anglii. Zgodnie jednak z życzeniem zmarłego zajmuję jego miejsce, by uporządkować niektóre sprawy, jakich świętej pamięci mój ojciec ze względu na swój wiek i na fatalny stan nerwowy nie zdążył uregulować. Do tych należy między innymi sprawa zaległych premii i gratyfikacji<sup>87</sup>. Zaległość ta nie wpływała z winy firmy, lecz z racji całkiem prywatnych interesów mego ojca, co podkreślam na jego wyraźne żądanie. Otóż wszystkie te zaległości zostaną wypłacone w ciągu sześciu tygodni. Panowie! W związku z tragiczną śmiercią mego ojca rozeszła się po mieście pogłoska o rzekomo zachwianych finansach firmy i o rzekomej ruinie rodziny mego ojca. Pogłoska ta jest z gruntu fałszywa, a wielce krzywdząca. Zapewniam panów moim słowem, że nie posiada ona żadnych, bodaj najmniejszych podstaw. Wprost przeciwnie, przygotowane są plany dalszej rozbudowy i rozszerzenia Zakładów, o czym wkrótce już będę z panami mówił. Na razie proszę ich o stanowcze dementowanie<sup>88</sup> kłamliwych plotek, co leży we wspólnym interesie naszym. Wprawdzie zmarły przechodził w ostatnich czasach niejakie trudności płatnicze, lecz te już przestały istnieć, a przyczyną jego tragicznej śmierci nie były. Oto, panowie, wszystko, co miałem do powiedzenia. Na zakończenie jeszcze raz serdecznie was proszę,

---

<sup>87</sup> *gratyfikacja* – dodatkowe, jednorazowe wynagrodzenie okolicznościowe a. nagroda za specjalne zasługi. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *dementować* (z fr. *démentir*) – oficjalnie zaprzeczać prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

jako w większości starych i wypróbowanych współpracowników naszego warsztatu, o ułatwienie mego zadania szczerym i ufnym stosunkiem do mnie, co mi będzie najcenniejszą nagrodą za moje wysiłki.

Skłonił głowę i wyciągnął dłoń do najbliższej stojącego inżyniera Kamińskiego, do sekretarza Holdera, do drugiego, trzeciego, czwartego... Po kolei ścisnął mocno ich ręce, a oni, z szacunkiem odwzajemniając uścisk, wymieniali swoje nazwiska. Przy niektórych, jakie zapamiętał z notatek ojca, odzywał się kilku ciepłymi słowami, świadczącymi, że wie od zmarłego, czym się wyróżniają i jakie mają zasługi dla firmy.

Ze sposobu, w jaki nań patrzyli i w jaki podawali mu rękę, łatwo mógł wywnioskować, że jego przemówienie trafiło im do przekonania, że przyjęli je życzliwie, słowem, że wywarł dodatnie, może więcej niż dodatnie wrażenie.

Już podczas pierwszych słów swej improwizowanej mowy zauważył uchYLENIE SIĘ DRZWI I DOSTRZEĞŁ nieśmiało wsuwającego się Blumkiewicza, totumfackiego<sup>89</sup> pana Karola.

Oczywiście przyszedł tu na przespīgi; nie należało mu pozwolić odejść, zanim w odpowiedni sposób nie urobi się jego relacji. Właśnie teraz uważnie obserwujący go Paweł spostrzegł za plecami innych manewry Blumkiewicza, próbującego dotrzeć niepostrzeżenie do drzwi. Paweł zrobił w bok trzy kroki i zaszedł mu drogę:

---

<sup>89</sup> *totumfacki* – osoba zaufana i wypełniająca bez sprzeciwu wszelkie polecenia. [przypis edytorski]

– A, pan Blumkiewicz – powiedział swobodnie. – Witam pana. Zechce pan chwilę zaczekać. Mam z panem do pomówienia.

– Najmocniej przepraszam – skurczył się Blumkiewicz – wszedłem tu naprawdę przypadkowo, no i zostałem, bo nie chciałem swoim wyjściem przerywać pańskiej mowy... pańskiej pięknej mowy... Ale teraz śpieszę się bardzo, pan prezes mnie oczekuje...

– Bardzo mi było przyjemnie, a co do pośpiechu, nie zatrzymam pana, panie Blumkiewicz, na długo. Proszę – bezapelacyjnym gestem wskazał mu drzwi gabinetu – pan wejdzie.

W ciągu minuty pożegnał się z resztą zebranych, a gdy został w sali sam z bratem i z Jachimowskim, zapytał:

– No i co?

– Nieporównanie! – szepnął Zdzisław.

– Aleś ich wziął – cicho zaśmiał się Jachimowski.

– Nie wyglądało to na bezprawie?

– Cóż znowu. Gadałeś tak, jakbyś był niewątpliwym właścicielem fabryki.

– Tylko, psiakrew, ten Blumkiewicz! – zaklął Zdzisław.

– Co za niedopatrzanie. Wszędzie potrafi się wcisnąć, ale Józefa zwymyślał jak psa, że go wpuścił – irytował się Jachimowski.

– Nic nie szkodzi – wzruszył ramionami Paweł – pogadam z nim. Bądźcie wieczorem u matki. Do widzenia.

Paweł wiedział, że Blumkiewicz jest twardą i sprytną sztuką. Toteż bynajmniej nie lekceważył rozmowy z nim. Miał początkowo inne plany, inaczej zamierzał zabrać się do stryja Karola, teraz jednak, skoro jego szpicel słyszał na własne uszy tę „mowę tronową”, należało zmienić taktykę.

Toteż wszedł do gabinetu z miną posępną i ze skulonymi ramionami. Blumkiewicz wstał z krzesła i dość bezczelnym wzrokiem przyglądał mu się badawczo.

– Jest pan zdziwiony, panie Blumkiewicz? – rzucił Paweł ze smutnym uśmiechem.

– Zdziwiony... nie... Nie spodziewałem się, że pan prezes mianuje pana naczelnym dyrektorem...

– Nie wiedział pan w ogóle, że przyjechałem?

– O, o tym nietrudno wiedzieć. Gdy tylko pan Zdzisław coś wie, to zaraz wiedzą i inni... Nawet tacy, przed którymi ma być zachowana tajemnica.

Paweł zaśmiał się krótko:

– Ma pan rację. Mój braciszek nie odznacza się wstrzeźliwością języka. Ale tu nie było żadnej tajemnicy.

– Jednak pan prezes...

– Tak. Nie zawiadamałem stryja Karola wczoraj, gdyż byłem zmęczony po długiej podróży. Dziś jednak muszę się z nim widzieć i wytłumaczyć ten rodzaj samowoli, jakiej musiałem się dopuścić.

– Rodzaj?! – ironicznie zapytał Blumkiewicz.

Paweł udał, że tego nie słyszy. Oparł głowę na rękę i przetarł

czoło:

– Bóg jeden widzi, jak mnie to męczy... No, ale, panie Blumkiewicz, trudno. Kto raz zgodził się wziąć jakiś ciężar na swoje barki, ten już musi donieść go do końca... Powiedział pan, że mowa moja była piękna... Cha... Cha... Niestety, rzeczy nie tylko nie wyglądają tak pięknie...

– Co pan przez to chce powiedzieć? – ostrożnie zapytał Blumkiewicz.

– To, panie Blumkiewicz, że mój ojciec popełnił pewien... błąd.

– Jak to błąd?

– Omyłkę rachunkową...

– Jaką omyłkę?

– Taką sobie... Na dwieście tysięcy dolarów.

Blumkiewicz otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Paweł, nie śpiesząc się, wstał, otworzył ogniotrwałą szafę i wyjął teczkę. Przejrzał ją i mruknął:

– Nie, nie ta.

– Każdemu wolno we własnych rachunkach zrobić pomyłkę – zahaczająco odezwał się Blumkiewicz.

– Cała bieda w tym, że nie we własnych, a w fabrycznych – z naciskiem podkreślił Paweł i obejrzawszy jeszcze kilka teczek, dodał jakby do siebie: – Gdzież u licha jest ta sprawa?... Przecie ojciec wyraźnie mi pisał, że znajduje się w kasie ogniotrwałej w gabinecie... Aha! Jest...

– Błąd na taką sumę w cudzych rachunkach to kryminał –

zasyczał Blumkiewicz.

Paweł wyprostował się i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Jak pan śmiesz! Zapominasz, panie Blumkiewicz, że mówisz do Dalcza o jego ojcu!

– Ja nic... ja nie mówię!...

– Milczeć! – Uderzył trzymaną teczką w stół. – Zapominasz, że jesteś naszym sługą!

Jego potężny głos napełnił pokój i odbił się echem w korytarzu. Blumkiewicz skurczył się i zbladł.

– Chodź pan tu! – rozkazującym tonem powiedział Paweł i położył mu przed nosem teczkę. – Znalazłem. Oto jest. Czytaj pan.

Blumkiewicz, stojąc pochylony nad biurkiem i nie mając odwagi usiąść, drżącymi palcami przewracał kartki.

Paweł przyglądał mu się z góry – z nikłym uśmiechem na ustach, gdy jednak Blumkiewicz skończył i podniósł spoconą twarz, spotkał surowe spojrzenie szarych oczu Pawła.

– Co to będzie... co to będzie... – zabełkotał. – Pan prezes tego nie przeżyje.

– Właśnie dlatego pana zatrzymałem. Obawiałem się o stan serca stryja. A przecie muszę mu o wszystkim powiedzieć. Nie umiem rozmawiać z chorymi. Mogłoby być nieszczęście. Otóż, panie Blumkiewicz, musisz pan jakoś ostrożnie uprzedzić mego stryja. Przygotować. Kiedy już będzie można, zatelefonujesz pan do mnie. Będę czekał.

– Kiedy z sercem pana prezesa nie jest tak źle – zdziwił się

Blumkiewicz.

– Dzięki Bogu. Nie wiedziałem, ale to tym lepiej. Otóż powiedz pan z góry, że stryj ani fabryka żadnych strat z tego powodu nie poniosą. Ja to... biorę na siebie.

– Dwieście tysięcy dolarów?... – W głosie totumfackiego zabrzmiało wprawdzie niedowierzenie, lecz już bez poprzedniej nutki ironii.

– Tak – gryząc wargi, odpowiedział Paweł – biorę na siebie, ale jak pan widziałeś, termin jest piekielnie krótki...

– Za dwa miesiące.

– Właśnie. A ja w tym czasie nie będę rozporządzał aż taką gotówką. Muszę się ułożyć z bankiem. Na życzenie ojca występowałem u nich jako plenipotent<sup>90</sup> Zakładów i teraz, dla uniknięcia skandalu, muszę przez te dwa miesiące być chociażby tylko tytularnym dyrektorem... Zresztą to już osobiście stryjowi wyjaśnię. Pan sobie mogłeś myśleć chociażby, że to jest uzurpacja, ale mnie jest obojętne, co sobie myśli pan Blumkiewicz, co myśli trzy tuziny panów Blumkiewiczów! Rozumiesz pan! Tu chodzi o honor rodziny! O pamięć mego ojca! I daję panu słowo, że na tej pamięci plamki nie pozwolę zostawić, chociażby za cenę wszystkiego, co posiadam!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły metalowe przedmioty.

– Ja nic nie mówiłem przecież – bezradnie tłumaczył się Blumkiewicz.

---

<sup>90</sup> *plenipotent* – pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu.  
[przypis edytorski]

– Tak... tak... – przetarł skronie Paweł – jestem zdenerwowany... tyle naraz, tyle naraz... Niech pan nie ma do mnie żalu, panie Blumkiewicz, ja przecie wiem, że pan jest starym i dobrym naszym przyjacielem, że ojciec cenił pana wysoko... A i pan dla niego żywił serdeczne uczucia...

– O... rzadki był człowiek... Niech tam spoczywa w spokoju – dorzucił, spojrzawszy na teczkę.

– Przepraszam pana, że się uniosłem – wyciągnął do niego rękę Paweł i mocno potrząsnął jego dłonią.

Widział, że totumfacki stryja jest do reszty zdezorientowany, zaskoczony i zdetonowany<sup>91</sup>. Teraz biegnie z językiem do stryja, lecz język został nakręcony tak, jak nigdy jeszcze u nikogo.

Paweł chodził po pokoju i śmiał się do siebie.

„Najlepszy sposób na wygi tego typu – myślał – jest przedstawienie się im w sposób niezrozumiały dla nich, odsłonięcie przed nimi maszynerii naszej psychiki, skomplikowanej, dziwacznej maszynerii, w jakiej nie umieją się rozeznaczyć, a którą muszą w prostocie ducha uważać za specyfik<sup>92</sup> kategorii ludzi wyższych”.

W oczekiwaniu na telefon Paweł zrewidował pozostałe papiery ojca. Nie mylił się: znalazł w nich dość wyraźny ślad sprzedaży udziałów. Prowadził on przez jeden z banków warszawskich do kancelarii notariusza i dalej do jakiegoś

---

<sup>91</sup> *zdetonować się* (daw.) – zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *specyfik* (z łac. *specificus*: swoisty) – tu: specyficzna, swoista cecha. [przypis edytorski]

Tolewskiego. Ten albo sam był nabywcą, albo pośredniczył tylko w transakcji. W każdym razie można będzie go odszukać i dotrzeć do faktycznych nabywców.

W jakim celu, Paweł jeszcze nie zdawał sobie dokładnie sprawy. Właściwie celem było wykupienie udziałów, lecz jedynym majątkiem Pawła, nie licząc kilkunastu złotych, było wspaniałe futro i pierścionek z fałszywym brylantem.

Przyglądał mu się właśnie z uśmiechem, gdy zadzwonił telefon: Blumkiewicz oznajmił, że pan prezes czeka.

W dziesięć minut później Paweł stanął na progu pokoju stryja. Przypuszczał, że zostanie tu Krzysztofa, pan Karol jednak był sam, gdyż nawet Blumkiewicz, wprowadziwszy gościa, natychmiast wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Zbliź się – odezwał się chory.

W półmroku jego pergaminowa twarz z zamkniętymi powiekami i z siecią nieruchomych zmarszczek zdawała się martwą.

– Witam stryja – powiedział Paweł spokojnie, stając przy łóżku, i nie doczekawszy się odpowiedzi, swobodnie zajął fotel.

– Kim jesteś? – zapytał pan Karol po długim milczeniu.

Paweł nie zrozumiał pytania:

– Jestem Paweł, bratanek stryja.

– Pytam, czym się zajmujesz, z czego żyjesz?

– Z bawełny. Prowadzę handel bawełną.

– I mieszkasz w Anglii?

– Tak, w Londynie.

– Mówiono mi, że dorobiłeś się jakiegoś majątku?... Nic o tobie nie wiedziałem...

– Nie dziwię się. Tu już mnie pochowano za życia. Służba w domu mojej matki, gdy kazałem zameldować siebie jako jej syna, nie chciała mnie wpuścić. Podejrzewali mnie widocznie o mistyfikację, gdyż nigdy ani słowa nie słyszeli o istnieniu Pawła Dalcza. Wykreśliliście mnie z liczby żyjących.

Pan Karol podniósł powieki i obrzucił go baczным spojrzeniem.

– Sam się wykreśliłeś – powiedział zimno.

– Nie będę się o to ze stryjem spierał. Tak czy owak, zostałem przez was uznany za wyrzutka, za zakałę rodziny i darmozjada... I zaszczytna ta opinia otaczała tu moją pamięć, póki nie dowiedziano się, że mam pieniądze, że mam stosunki, że mogę się na coś przydać. Niech stryja nie dziwi moja gorycz. Zbyt długo mnie nią karmiono... Zresztą już nie mam żalu do ojca. On nie mniej cierpiał ode mnie, a wiem, jak mu było ciężko pierwszemu wyciągnąć do mnie rękę... Zwłaszcza wyciągnąć ją po ratunek...

Pan Karol wpił się wzrokiem w jego oczy.

– Niech spoczywa w spokoju – powiedział poważnie Paweł, nie spuszczać źrenic.

– Czemuż nie przyszedł do mnie? – syknął chory.

– O ile wiem z jego listów, stosunki, jakie łączyły ojca ze stryjem, nie były zbyt ciepłe. Były o tyle dalekie, że w chwili utraty nadziei bliżej mu było na cmentarz niż do stryja.

Na twarzy chorego ukazały się czerwone wypieki:

– Jak śmiesz robić mi z tego zarzut! – zacharczał. – Jak śmiesz!

– Myli się stryj, wcale nie robię mu z tego zarzutu. Jedyną winę ponoszą słabe nerwy ojca i jego zupełna samotność we własnym domu... Jestem w nim teraz drugi dopiero dzień, a i to wystarczyło, by zrozumieć tragedię takiego człowieka, jak ojciec, w tym środowisku głupoty, próżności, snobizmu i sobkostwa<sup>93</sup>...

– Masz rację, ta kobieta go zgubiła, ten potwór bezduszny – zakaszłał w pasji chory – ten zły duch jego domu... Ona was tak wychowała, ona zatrąła mu życie, ona rozdzieliła nas, najlepszych, najbardziej kochających się braci! Ona mi zabrała brata! To jej podłość zacisnęła mu stryczek na gardle! To przez nią ten najszlachetniejszy człowiek doprowadzony został do oszustwa. Taka hańba, taka hańba! O Boże! O sprawiedliwy Boże! Ukarz ją strasznie za jego śmierć, za moją krzywdę, za mój wstyd! Ukarz ją strasznie... ukarz... ukarz...

Głos chorego przeszedł w rżenie, po jego białej twarzy spływały gęste łzy.

Paweł wyjął chusteczkę, przyłożył ją do oczu i spoza niej uważnie przyglądał się stryjowi. Zawsze miał go za człowieka zimnego, wyrachowanego, nawet skąpego, a już zupełnie niezdolnego do wszelkich uczuć i namiętności. Nowy rys, odkryty obecnie w jego charakterze, nakazywał ponowną

---

<sup>93</sup> *sobkostwo* – egoizm, samolubstwo. [przypis edytorski]

zmianę taktyki. Cóż będzie, jeżeli stryj oświadczy gotowość pokrycia długu z własnej kieszeni?... To pokrzyżowałoby wszystkie plany. Myśl Pawła pracowała jednak szybko i sprawnie. Wiedział, że rozgrywa teraz najważniejszą grę, i wiedział, że jej przegrać nie wolno.

Pan Karol z wolna uspokajał się i zapytał:

– Kiedy ojciec zwracał się do ciebie?

– Zbyt późno, niestety. Przed miesiącem. Gdyby...

– Jakże cię odnalazł? – przerwał chory.

– Sprzedaję sporo bawełny do Łodzi, a wpłaty kierowane są na mój rachunek w tym właśnie banku „Lloyd and Bower”, w którym ojciec zaciągnął tę nieszczęsną pożyczkę. Dowiedział się o mnie tedy z przypadku albo też od kogoś z przemysłowców łódzkich. Dość że napisał do mnie rozpaczliwy list z prośbą o pośrednictwo.

– A ty?...

– Oczywiście obiecałem zrobić, co mogłem. Wywiązała się korespondencja i bank wreszcie zgodził się na pewne ustępstwa. Zanim jednak zdążyłem to ojcu donieść, ten otrzymał list, wysłany z banku przed samą konferencją ze mną, a grożący oddaniem sprawy do prokuratora.

– Dlaczego do prokuratora?

– Bo te dwieście tysięcy dolarów zaciągnięte były w imieniu firmy, a w jej księgowości nie było o tym żadnej wzmianki.

– No tak – zniecierpliwiał się chory – ale skąd oni o tym wiedzieli?

– Pierwszy termin minął. Zwrócili się do jakiejś wywiadowni handlowej i ta ich szczegółowo poinformowała.

– Zatem w naszej buchalterii jest jakiś szpieg!

– Na pewno.

– I cóż dalej?

– Ojciec po przeczytaniu listu powiesił się – rozłożył ręce Paweł.

Zaległo milczenie.

Pan Karol żuł wargi, nie spuszczać wzroku z bratanka:

– Czy przyniosłeś ze sobą akty tej pożyczki?

– Ma się rozumieć. Nie byłoby celu ukrywania ich dłużej przed stryjem.

Wstał i wzięwszy teczkę z sąsiedniego stołu, wydobył z niej plik papierów.

– Stryj zechce zaraz to przejrzeć?

– Zaraz. Zapal górne światło. Kontakt jest przy drzwiach.

Paweł wykonał polecenie i siadając z powrotem przed łóżkiem, ofiarował się:

– Może stryjowi przeczytać?

– Nie. Sam przeczytam. Podaj mi tylko okulary.

Duże arkusze niewygodnie się trzyma jedną ręką, pomimo to pan Karol nie przerywał czytania, chociaż go widocznie męczyło. Od czasu do czasu zdejmował okulary, przecierał oczy i bez słowa dalej czytał.

Paweł przyglądał się mu spod oka, a gdy wreszcie chory skończył, zapytał:

– Cóż stryj o tym sądzi?

– Co sądzę? Sądzę, że spadkobiercy Wilhelma, to jest wy, powinni zapłacić dług ojca.

Powiedział to takim tonem, jakby się tego wcale nie spodziewał.

– Ma stryj rację – chłodno odpowiedział Paweł.

– Co przez to rozumiesz?

– To samo, co i stryj: dług powinny zapłacić dzieci zmarłego.

– Gadasz głupstwa – wykrzywił się chory. – Po pierwsze wszystkie ich udziały nie starczą na to, a po drugie termin za dwa miesiące. W tym czasie niepodobna sprzedać udziałów inaczej, jak za psie pieniądze. Zresztą na pewno nie zechcą. Znam ich dość dobrze.

– Za pozwoleniem – zmarszczył Paweł brwi. – Stryj mnie nie zna zbyt dobrze, skoro sądzi, że będę znosił tego rodzaju odezwanie się jak „gadasz głupstwa”. Wiek stryja nakazuje mi dla niego szacunek, ale i ja nie jestem smarkaczem i proszę stryja o unikanie podobnych słów. Na moje „głupie gadanie” wielki bank mógł zawierzyć dwieście tysięcy dolarów, na takież „gadanie” przeprowadzam większe interesy, niż się stryjowi zdaje, i to mi daje prawo żądania, by miało ono pewien respekt.

– To nic nie ma do rzeczy – nie bez zmieszania powiedział chory.

– Ma o tyle, że ja w takim tonie nie będę z nikim, nawet ze stryjem pertraktował. A tu chodzi przecie o grubą sumę, którą stryj musiałby zapłacić, gdyż nie myli się stryj, że moje

rodzeństwo ani myśli płacić bez procesu, a proces ze względów formalnych może być wygrany.

– Zatem w ogóle nie ma o czym mówić.

– Otóż jest! Dlatego przyjechałem, dlatego przyszedłem do stryja. Ja zmuszę ich do zapłacenia przynajmniej połowy długu, a resztę sam zapłacę. Stryja nie będzie honor mego ojca kosztował ani jednego grosza.

– Jakże ich zmusisz? – niedowierzająco bąknął pan Karol.

– Jak zmuszę, to już moja sprawa. Nie chcę bynajmniej robić z tego przed stryjem tajemnicy, tylko nie uważam tego za istotną kwestię. Przede wszystkim muszę stryjowi wytłumaczyć się z mego postępowania, które może wyglądać na nadużycie. Otóż najpierw zaznaczam, że nie zależy mi wcale na faktycznym dyrektorstwie. Potrzebna mi jest tylko strona nominalna. Poza tym nie zamierzam wcale zbyt długo zajmować tego stanowiska.

– I ja tak sądzę – zimno powiedział chory. – Twoje urzędowanie zaczęło się dzisiaj i dzisiaj się skończyło. Jednak myślę, że wypadałoby ci być tak uprzejmym i łaskawie wyjaśnić motywy twego postępowania, które byłoby nadużyciem, gdyby nie przypominało operetki.

– Wesołe usposobienie – odpowiedział Paweł – jak widzę, nie opuszcza stryja. Ja jednak mam powody, by w tragedii mego rodzzonego ojca nie doszukiwać się operetki.

– Nie przekreślaj moich intencji. Mówiłem o tej szopce intronizacyjnej<sup>94</sup>!

---

<sup>94</sup> *intronizacja* – uroczyste wprowadzenie na tron. [przypis edytorski]

– Zaraz, stryju, czy stryj uważa, że moje przemówienie do kierowników było szopką? Może zaszkodziło firmie?

– Nie słyszałem go.

– Stryj miał relację. Więc?...

– Jakim prawem to zrobiłeś?... Mniejsza o sens tego przemówienia. Było to bezprzykładne wdzieranie się w moje prawa! A w dodatku skompromitowałeś się, gdyż chyba ani na chwilę nie mogłeś przypuszczać, że ja zatwierdzę ten operetkowy zamach stanu! Postąpiłeś nie tylko awanturniczo, lecz niemądrze i lekkomyślnie!

Paweł nic nie odpowiedział i tylko patrzył na drgające zmarszczki twarzy pana Karola.

– Milczysz?...

– Niech stryj spojrzy na mnie – spokojnie odezwał się Paweł. – Czy wyglądam na człowieka lekkomyślnego?... Czy wyglądam na człowieka, który pozwoliłby sobie na objęcie dyrekcji bez pewności, że to objęcie będzie zatwierdzone?... Czy u licha robię wrażenie smarkacza czy wariata?!...

– Więc jakim prawem?! Jak mogłeś, jeżeli nawet masz jakieś ważne powody, zrobić to bez uprzedniego uzyskania mojej zgody?... Nie wyobrażam sobie, bym ci jej udzielił, ale przypuśćmy, że tak, że w chwili zamroczenia umysłu przystałbym na powierzenie kierownictwa fabryki człowiekowi młodemu, niedoświadczonemu, niemającemu dobrej opinii z dawnych przynajmniej czasów, a w dodatku zupełnie nieobznajmionemu z firmą i jej skomplikowanymi sprawami!

Ale dlaczego...

– Przepraszam stryja. Właśnie o tym chciałem mówić. Proszę tylko zechcieć mnie wysłuchać. Zacznę właśnie od tych skomplikowanych spraw firmy, od spraw, z którymi jestem na szczęście tej firmy znacznie lepiej obeznany niż ktokolwiek, nie wyłączając osoby stryja.

– Mów.

I Paweł zaczął mówić. Jakże teraz wdzięczny był w duchu swemu ojcu za jego despotyzm, za zazdrosne strzeżenie władzy, za chciwe koncentrowanie w rękę wszelkich danych dotyczących kierownictwa Zakładów. Za to samo kiedyś go znienawidził, a dziś dzięki temu trzymał w swej dłoni potężny atut. Dobrze pamiętał każde słowo z pośmiertnego memoriału<sup>95</sup> ojca i każdego z nich umiał odpowiednio użyć, a opatrując wiadomości logicznymi komentarzami wywarł na słuchaczu spodziewane wrażenie.

Ponieważ zaś pan Karol nie odezwał się wcale, Paweł przeszedł do omówienia kwestii długu w manchesterskim banku. Ułożył się z tym bankiem tak, że będzie mógł dokonać spłat w ratach. Pierwszą ratę w kwocie dwudziestu tysięcy dolarów polecił ściągnąć ze swego rachunku z dniem swego przyjazdu do Warszawy. Jutro, najdalej pojutrze nadejdzie pokwitowanie, które stryjowi przedstawi. Nie zamierza jednak spłacać wszystkiego z własnej kieszeni. Wpływ zaś na rodzeństwo może

---

<sup>95</sup> *memoriał* (przest., z późn. łac. *memoriale*: pamiętnik, od *memoria*: pamięć) – tu: tekst zapisany dla pamięci; pamiętnik. [przypis edytorski]

mieć jedynie w wypadku utrzymania się przez pewien czas na stanowisku dyrektora, i to wówczas jedynie, jeżeli uzyska na to całkowitą zgodę stryja. Stanowisko to jednak jest mu niezbędne i z tego powodu, że bank inaczej nie zgodzi się na utrzymanie polubownego układu i zażąda przez swego adwokata natychmiastowej spłaty całości długu. Ponieważ zaś Zakłady absolutnie nie są w stanie wypłacić takiej sumy w przeciągu dwóch miesięcy, a o zaciągnięciu takiej pożyczki teraz, po samobójstwie ojca, byłoby niemożliwe nawet marzyć, trzeba zastosować się do warunków banku. Bank w przeciwnym razie zażąda zabezpieczenia długu na majątku firmy, a wówczas wyjdzie na jaw nadużycie ojca. Doprowadzi to do skandalu i nie tylko kompromitacji, lecz także do podcięcia kredytu, a zatem do zachwiania przedsiębiorstwa. Zatem nie pozostaje nic innego, jak dać bankowi jedyną gwarancję, jaką on gotów jest uznać, to jest gwarancję opartą na osobistym zaufaniu do Pawła.

Mówił spokojnie, rzeczowo, rozwijał perspektywy dalszego ułożenia się stosunków. Zapewnił, że nawet nie mógłby ze względu na swoje własne interesy siedzieć w kraju dłużej niż dwa, najwyżej trzy miesiące, że zgodnie z życzeniem zmarłego nie przedsięwzięmie żadnych kroków samodzielnych bez ścisłego porozumienia ze stryjem, że faktyczną władzę chętnie przekaze Krzysztofowi lub komukolwiek, kogo stryj wyznaczy. Prosiłby tylko, by tym kimś nie był Jachimowski, któremu niepodobna zaufać.

Swoje prawie półgodzinne referowanie sprawy uznał za tak

przekonywające, że nie spodziewał się już zastrzeżeń stryja. Stary człowiek należał jednak do twardych sztuk. Zanim zgodził się z bratankiem, badał go całym szeregiem pytań, upewniał się co do już powiedzianych rzeczy i wreszcie swoją zgodę obwarował wieloma warunkami. Głównym i zasadniczym był ten, że Pawłowi nie wolno było wydać jakiegokolwiek zarządzenia, jakiegokolwiek dyspozycji, czy przedsięwzięć cokolwiek w fabryce bez zgody Krzysztofa. Nadto Paweł zobowiązał się przedstawić stryjowi do trzech tygodni pisemną zgodę swego rodzeństwa na pokrycie połowy długu.

– Przyznam ci się – powiedział pan Karol na zakończenie – że sprawiłeś mi dość dużą niespodziankę. Gorzej cię sądziłem, niż na to zasługiwałeś. Widocznie mniej uległeś wpływom i wychowaniu twojej matki niż reszta jej dzieci. Nie umiem darować ci tylko tego, że w samowolny sposób, bez uprzedniego porozumienia ze mną postąpiłeś tak sobie.

– Nikt o tym nie wie, stryju, oprócz ciebie i Blumkiewicza. Przyznaję zresztą, że w ten sposób chciałem stryja postawić przed faktem dokonanym. Chodziło mi o osiągnięcie celu, a nie o uznanie stryja. Ludzie chętniej godzą się z czymś, co już istnieje. A ja nie przypuszczałem, że stryj jest tak trzeźwym i uczciwym człowiekiem, że jednak żywi uczucia braterskie dla mego nieboszczyka ojca. Niech mi stryj tych wątpliwości za złe nie bierze, ale prawie nie znaliśmy się.

– Nie mnie z tego możesz robić zarzut – z naciskiem powiedział pan Karol.

– Wiem to dobrze, stryju, lecz teraz mam nadzieję, że przez ten krótki czas współpracy, jaki nas czeka, zdołam pozyskać tyle twego szacunku i sympatii, ile już dzisiaj po tej rozmowie ja żywię dla ciebie.

Na pożegnanie pan Karol wyciągnął do bratanka zdrową rękę.

– Jutro porozumiesz się z Krzysztofem. Do widzenia.

– Nie wątpię, stryju, że będzie to naprawdę porozumienie.

Paweł wyszedł i pojechał na Ujazdowską. Wizyta u stryja zakończona została pełnym sukcesem. Nie tylko uzyskał aprobatę swej dyrektury, nie tylko zdołał zdobyć zaufanie i wiarę, lecz doprowadził do wytworzenia atmosfery nad wyraz dla siebie korzystnej.

Pierwsza partia została rozegrana.

## Rozdział IV

– Gdzie jest gabinet dyrektora Krzysztofa Dalcza? – zapytał z rana woźnego.

– Ostatnie drzwi, panie dyrektorze.

Zapukał mocno i nie czekając na odpowiedź, wszedł. Przy maszynie siedziała ładna blondynka i z namaszczeniem jadła śniadanie. Jej różowa buzia pełna była bułki.

– Nie ma dyrektora? – zapytał.

Starła się przełknąć czym prędzej i w tym wysiłku brały udział jej brwi, robiąc kilka tak komicznych ruchów, że Paweł się roześmiał.

– Niech pani się nie śpieszy, to niebezpieczne.

Zmierzyła go karcącym wzrokiem:

– Pan dyrektor jest na warsztacie. Czego pan sobie życzy?

– Przede wszystkim chciałem się pani przedstawić, bo jeszcze się nie znamy.

Wyciągnął rękę i powiedział:

– Jestem Dalcz, a na imię mi Paweł.

Dziewczyna zerwała się z miejsca czerwona aż po białka oczu:

– O, pan wybacz, panie dyrektorze, bardzo przepraszam, ale nie wiedziałam, że to pan.

– Niechże pani sobie nie przeszkadza. – Zatrzymał jej rękę, starając się zsunąć napoczętą bułkę do szuflady. – Czy mój stryjeczny brat prędko wróci?

– Lada chwila, panie dyrektorze.

– Jeżeli pani pozwoli, zaczekam tu na niego.

– Ależ proszę – zażenowała się, zaskoczona jego uprzejmością.

– Pod tym wszakże warunkiem, że pani będzie dalej spożywała swoje śniadanie.

Zaśmiała się:

– Mam na to czas później.

Usiadł i dość bezceremonialnie przyglądał się jej. Wiedział, że jest kochanką Krzysztofa, i przyszło mu na myśl, że może mu się przydać, chociażby do wysondowania opinii stryjecznego brata o nim. Dlatego został.

– Nie dziwię się pani, że nie domyśliła się, kim jestem. Nie mam wiele podobieństwa do innych Dalczów.

– O tak – powiedziała ze specjalną intonacją.

– Czy wykrzyknik pani – zaśmiał się – mam uważać za wyraz uznania, czy też za współczucie?

– Pan dyrektor żartuje. – Spuściła oczy.

– A pani nie jest do tego przyzwyczajona przez innych Dalczów?... Mój brat stryjeczny jest, zdaje się, bardzo poważny i wszystko traktuje serio?

– Wszystko... No nie, pan Krzysztof jest czasami wesoły.

– Nie widziałem go od wielu lat...

Drzwi się otworzyły i wszedł Krzysztof. Paweł wstał:

– Czekałem na ciebie, Krzysiu. Dzień dobry.

– Dzień dobry. Służę ci. – Podał mu rękę bardzo grzecznie

i bardzo oficjalnie.

– Mielibyśmy do pomówienia. Czy masz teraz czas?

– Za chwilę ci służę. Sądzę, że najwygodniej nam będzie u ciebie.

– Zatem czekam – skinął głową Paweł i wyszedł.

Doskonale odczuł w tonie Krzysztofa niechęć i niezadowolenie, że czekał nań i oczywiście rozmawiał z tą stenotypistką. Musi być o nią zazdrosny. Przecie go niemal wyprosił.

Znowu wywarł na Pawle wysoce przykre wrażenie. W jego zachowaniu się była jakaś sztuczność, jakaś nieszczerłość, jakaś poza. Paweł nie spodziewał się po nim życzliwości, nie oczekiwał demonstracji uczuć kuzynowskich. Przeciwnie, przygotowany był z góry na chłód i na pozycję wrogą. Jednak w sposobie bycia Krzysztofa było jeszcze coś ponadto, coś odpychającego i niezrozumiałego zarazem. I do tego ten nieznośnie wysoki głos i te maniery wyzywająco kanciaste, maniery przypominające sztubaka<sup>96</sup> udającego dorosłego człowieka.

„Smarkacz jeszcze – myślał Paweł. – Nie ja tym będę się martwił”.

Uplłynęło dobrych dziesięć minut, zanim Krzysztof przyszedł.

– Siądźmy tu – powiedział Paweł, wskazując mu fotel przy okrągłym stoliku. – Czy stryj Karol poinformował cię o powodach, dla których zostanę tu przez pewien czas?

– Owszem.

---

<sup>96</sup> *sztubak* – uczeń. [przypis edytorski]

– Uważam za swój obowiązek zaznaczyć, Kochany Krzysztofie, że zrobię wszystko, by nasza współpraca dała jak najlepsze wyniki. Ja, niestety, nie jestem inżynierem i na technice się nie znam, zatem w tym dziale wszystko spoczywać nadal będzie w twojej kompetencji.

– Bardzo ci dziękuję za zaufanie – powiedział Krzysztof z odcieniem ironii, lecz z tak nikłym, że Paweł mógł udawać, że nie dostrzega drwiny i bierze ją za dobrą monetę.

– Ojciec twój był zdania, że powinniśmy wszystkie sprawy załatwiać wspólnie.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zastosować się do tego.

– Powiedziałeś to w taki sposób, jakbyś nie zgadzał się ze stanowiskiem swego ojca?

Krzysztof wzruszył ramionami:

– Gdyby nawet tak było, nie ma o czym mówić. Na razie jest to bezprzedmiotowe.

– Słuchaj, Krzychu – pojednawczo odezwał się Paweł – wiesz, na czym mi zależy, wiesz, że nie zamierzam stawać ci na drodze, że wkrótce zostawię ci całe przedsiębiorstwo. Powiedz zatem, dlaczego zajmujesz wobec mnie pozycję jakby obronną?

– Z czego wyprowadzasz taki wniosek? – obojętnie odpowiedział Krzysztof. – Nie zajmuję żadnej pozycji. Powiedziałem już, że podporządkuję się życzeniu ojca.

– Zatem w porządku – z udawaną prostodusznością odrzekł Paweł i pomyślał, że kiedyś ta malowana lala pożałuje gorzko lekceważącego tonu.

Przystąpili do omawiania spraw fabrycznych. Tu Paweł miał możliwość stwierdzić, że jego brat stryjeczny doskonale orientuje się w kwestiach produkcji. Natomiast w rzeczach ogólnohandlowych nie czuje pewnego gruntu pod nogami. Zresztą Paweł postanowił z góry zrobić wszystko, by wyeliminować wtrącanie się Krzysztofa w tę dziedzinę, przede wszystkim przez nieinformowanie go, co przy pomocy Jachimowskiego da się przeprowadzić.

Naturalnie, jeżeliby Krzysztof domyślił się sprawdzać dziennik główny, odkryłby egzystencję wielu listów, które były wysyłane z podpisem Pawła, a bez cyferki<sup>97</sup> jego własnej. Na to jednak za mało miał praktyki.

Jedyną osobą, która mogłaby go tu uświadomić, był sekretarz Holder. Ten jednak nic nie wiedział o warunkach, na jakich Paweł Dalcz był naczelnym dyrektorem, a z wieloletniej pracy pod ręką zmarłego naczelnego dyrektora wyniósł przeświadczenie, że naczelnny dyrektor jest władcą absolutnym i wszelkie jego działania nie tylko nie podlegają niczyjej kontroli, lecz nie mogą dostać się do czyjejkolwiek wiadomości pod grozą niemal świętokradztwa. Zresztą osoba Pawła Dalcza bardzo mu przypadła do gustu, a stało się to ze zrozumiałego powodu.

Już pierwsze dni urzędowania nowego dyrektora dowiodły, że jest to człowiek niełubiący wchodzenia w długie rozmowy

---

<sup>97</sup> cyferka (daw.) – parafka, skrócony podpis zatwierdzającego dokument. [przypis edytorski]

i pospolitowania<sup>98</sup> się z pierwszym lepszym pracownikiem. Pod tym względem przewyższał znacznie zmarłego ojca. Skończył się obyczaj posłuchań, natomiast każdy interesant musiał przedstawić najpierw Holderowi swoją sprawę, a dopiero gdy ten uznał jej pilność, meldował dyrektorowi. W przeciwnym razie odkładał powiadomienie szefa do wieczornego raportu. Zarządzenie to jeszcze wyżej podnosiło nieprzystępność wielkiego ołtarza, a tym samym opromieniało większą władzą stanowisko pana sekretarza.

W krótkim też czasie przekonał się Holder, że i politykę w stosunku do robotników odziedziczył syn po ojcu w podobnych formach. Wprawdzie mniej zwracał uwagi na delegatów, za to jednak często odwiedzał warsztaty i wdawał się w rozmowę z wielu robotnikami, traktując ich znacznie uprzejmiej niż urzędników i inżynierów. Dla tych zresztą był również uprzedzająco miły, ilekroć którego przyjmował w swoim gabinecie. Cały jednak sekret polegał na tym, że przyjmował niezmiernie rzadko, zaś poza gabinetem nigdy nie wdawał się w rozmowy.

Sekretarz tłumaczył niezadowolonym, że przecie naczelny dyrektor jest teraz, świeżo po objęciu fabryki, niezmiernie zajęty. Nie było w tym zresztą ani cienia przesady.

Paweł zabrał się do roboty z całą furią nagromadzonej energii. Poza sprawami wewnętrznymi, organizacyjnymi, bieżącymi,

---

<sup>98</sup> *pospolitować się* – przestawać z kimś o niższej pozycji od siebie, kogo uważa się za mniej godnego. [przypis edytorski]

poza szczegółową lustracją zakładów, rozpoczął akcję na szeroką skalę. Chodziło o wyrobienie w bankach wyższego kredytu i o uzyskanie większych zamówień. Za wszelką cenę musiał dopiąć jednego: dowieść stryjowi, że jego kierownictwo zbawiennie wpływa na stan przedsiębiorstwa. Stryjowi i nie tylko stryjowi. Cały warszawski świat przemysłowy musi poczuć jego obecność.

Rozpoczął od wizyt u dyrektorów kilku banków i kilku większych fabryk, pozostających w interesach z Zakładami Dalczów. Odbywało się to w ten sposób, że Holder telefonicznie zamawiał wizytę na dzień lub nawet na dwa dni naprzód na ściśle umówioną godzinę i minutę. Robiło to bardzo dobre wrażenie.

Oczywiście, przeprowadzając rozmowy z tymi grubymi rybami, Paweł nie wspominał ani jednym słowem o rzekomym zamiarze swego „powrotu” do Anglii. Przeciwnie. Jakby mimochodem wyjaśniał, że ma bardzo rozległe plany rozszerzenia fabryki, że przewiduje ściągnięcie do kraju poważniejszych kapitałów swoich przyjaciół z City, że sam nie przypuszczał, by w Polsce tyle można było jeszcze zrobić, że finansiści zagraniczni dlatego unikają polskiego rynku, że go nie znają, jak na przykład on sam dotychczas, lecz teraz to i owo w różnych gałęziach przemysłu krajowego da się naprawić drogą zaufania.

Skutkiem tych odwiedzin i rozmów patera<sup>99</sup> w mieszkaniu na Ujazdowskiej szybko zapełniała się biletami wizytowymi,

---

<sup>99</sup> *patera* – rodzaj płaskiego naczynia na nóżce. [przypis edytorski]

na których widniały nazwiska osób bardzo znanych, bardzo wpływowych i bardzo bogatych.

Zdzisław otwierał na to szeroko usta, a Jachimowski zacierał ręce i przeplatając słowa swoim charakterystycznym „chi-chi-chi”, przypominał wszystkim, że on pierwszy poznał się na Pawle i że jeszcze wszystko będzie jak najlepiej.

Zdawały się to potwierdzać i inne, te już całkiem namacalne skutki. Mianowicie zamówienia. W ciągu dwóch tygodni Zakłady otrzymały cały szereg nowych zamówień na poważne kwoty od obcej dotychczas klienteli.

Paweł pokazywał, co umiał.

Na sen tracił bardzo mało czasu. Do późnej nocy w dawnym salonie pani Józefiny, zamienionym obecnie na jego gabinet, paliło się światło. Drzwi były pozamykane na klucz, a dziurki od klucza zasłonięte. Domownikom nie wolno było znajdować się w sąsiednim pokoju, dokąd dobiegały dźwięki maszyny do pisania lub głośniejsze słowa telefonicznej rozmowy.

O godzinie dziewiątej zanoszono do gabinetu maszynkę czarnej kawy, którą przy drzwiach odbierał sam Paweł, nie pozwalając wejść lokajowi do środka. Na biurku i stoliku obok leżały porozrzucane papiery i stały jakieś flaszeczki. Z rana jednak, gdy pan wyjeżdżał do fabryki, wszystko było pochowane, a zaspokojenie ciekawości uniemożliwiały nowe, świeżo wprawione zamki, do których stary komplet kluczy nie pasował.

Paweł Dalcz pracował.

Władał wprawdzie niezłe językiem angielskim, lecz nie był zbyt oboznany z jego narzeczem handlowym. Dlatego pisanie listów w imieniu banku „Lloyd and Bower” sprawiało mu sporo trudności. Znacznie łatwiej było naśladować podpisy, co wkrótce doprowadził do perfekcji. Natomiast sporządzanie gumowych stempli należało do rzeczy najtrudniejszych. Dla nabrania praktyki w tym względzie Paweł odwiedził kilka pracowni grawerskich<sup>100</sup> i wysiadywał tam z miną człowieka niemającego nic lepszego do roboty, godzinami czekając na wykonanie obstalunku<sup>101</sup> i przyglądając się sposobom majstra. Zaopatrzył się też we wszystkie niezbędne przybory.

Najwięcej kłopotu było z blankietami banku. Najprościej byłoby zamówić je w jakiejś mniejszej drukarence. Nie chciał jednak ryzykować, licząc się z tym, że w każdej zapewne jest konfident policji polujący na druki komunistyczne. Taki jegomość mógłby jednak zainteresować się i tego rodzaju sprawą.

Kupił wreszcie drukarnię biurową. Wprawdzie czcionki jej różniły się znacznie od tych, jakimi wykonany był napis na blankietach, ale nie należało się obawiać aż takiej przenikliwości stryja, który nie ma najlepszego wzroku.

O tym przekonał się Paweł przy sposobności pokazywania mu pokwitowania bankowego za pierwszą ratę. Podskrobanie

---

<sup>100</sup> *grawerska pracownia* – w której graweruje się, tj. wyrzyna się rysunki na twardych, najczęściej metalowych przedmiotach, np. pieczęciach. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *obstalunek* – zamówienie, zlecenie wykonania czegoś. [przypis edytorski]

na nim daty i wstawienie na jej miejsce świeżej wykonane było tak dalece niżej wszelkiej krytyki, że dziecko domyśliłoby się fałszerstwa. Toteż Paweł zanosił pokwitowanie z całą świadomością ryzyka, które mogło zaważyć decydująco na całym przedsięwzięciu.

Na szczęście pan Karol czuł się tego dnia gorzej i pobieżnie tylko spojrzął na pokazywany mu arkusik. Zresztą widocznie ani przez myśl mu nie przeszło jakiegokolwiek podejrzenie.

Rodzeństwu jednak Paweł pokwitowania nie pokazał. Wyjaśnił, że musiał je oddać stryjowi. W ogóle lekceważył Halinę, która wcale nie wchodziła w rachubę, unikał Ludki, nie chcąc wystawiać się na jej podejrzliwy wzrok, a Zdzisława i Jachimowskiego nie miał powodu obawiać się. Przybrał wobec nich ton życzliwie protekcyjnalny, niepozbawiony nutki konspiracyjnego porozumienia, lecz obecność ich sprawiała mu rzetelną przykrość. Stanowili rodzaj balastu, z którym jeszcze należało się liczyć nie ze względu na jego wartość, lecz z racji ostrożności.

Matkę postanowił wyprawić z domu, by mu przez swoją zbytnią gadatliwość i brak poczucia ważności sytuacji nie mogła zaszkodzić.

W tym celu wytłumaczył jej, że wygląda źle, że czuje się przemęczona i że w ogóle jej zdrowie po ostatnich przejściach wymaga odpoczynku. Ponieważ zaś brak pieniędzy nie pozwala na wysłanie jej za granicę, najlepiej zrobi jadąc do swojej ciotecznej siostry na Podole.

Jeszcze przed wyjazdem pani Józefiny wiele rzeczy w mieszkaniu uległo zmianie. Po prostu wszystko zostało urządzone w ten sposób, by Paweł najwygodniej mógł pracować, by mógł bez skrupowania przyjmować swoich gości i swoich interesantów. Halinie i Zdzisławowi zostały tylko trzy pokoje.

Jednocześnie Paweł rozpoczął poszukiwanie Tolewskiego. Wkrótce wszakże dowiedział się, że Tolewski wyjechał do Krakowa, a wróci dopiero po świętach.

W fabryce wszystko szło względnie gładko. Wyjaśniwszy Jachimowskiemu, że potrzebuje pieniędzy na wysłanie matki i na uregulowanie niektórych jej drobnych długów, kazał sobie z kasy wypłacić z góry dwumiesięczne pobory. W razie gdyby wiadomość o tym dotarła do Krzysztofa, przygotowany był na wyjaśnienie, że musiał tych pieniędzy użyć na łapówkę i dlatego w pośpiechu sam wydał to zarządzenie.

Obawy były jednak zbędne, gdyż. Krzysztof tak był pochłonięty pracą swego działu, że sygnował wszystkie papiery dyrekcyjne jakby z roztargnieniem.

Paweł samo to podpisywanie zorganizował w ten sposób, że teki z korespondencją podpisywali jednocześnie w gabinecie Pawła, dokąd je przynosił Holder. Dzięki temu Paweł miał zawsze możliwość obserwowania kuzyna i ewentualnego przekonania go w razie sprzeciwu na miejscu, wskutek czego nikt nie mógł się dowiedzieć, że władza naczelnego dyrektora ulega obecnie jakimkolwiek ograniczeniom.

Sam Krzysztof wydawał się Pawłowi coraz dziwniejszy.

Sprawił wrażenie czasami takie, jakie by nazwał niesamowitym, gdyby mówił o kimś starszym i mającym ciężkie osobiste przeżycia czy tajemnice.

Tu jednak nie mogło być mowy o czymkolwiek takim. Wiedział przecie, że życie Krzysztofa od dzieciństwa układało się spokojnie i przesunęło się łagodną falą między dobrze ocembrowanymi<sup>102</sup> brzegami, wytworzonymi przez dostatek, miłość rodziców i opiekę.

Zwłaszcza o tej opiece dziwaczne już dawniej kursowały pogłoski. Opowiadano, że pani Teresa Dalczowa wychowuje syna pod kloszem. Podczas jego studiów miała mu towarzyszyć przez cały czas za granicą i pilnować, by nie wdawał się w nieodpowiednie towarzystwo. Zapewne przesadzano, mówiąc, że odprowadzała go na wykłady i z wykładów do domu, że nie pozwalała utrzymywać koleżeńskich stosunków i w ogóle nie puszczała na krok bez siebie.

Krzysztof wprawdzie sprawiał wrażenie „mamusinego synka”, jak go w fabryce po cichu przezywano, nie wyglądał on jednak aż na tak ślamazarnego. Najlepszym tego dowodem było to, że tak prędko po wyemancypowaniu się wynalazł sobie kochankę, i to jedną z najładniejszych dziewcząt w fabryce.

Paweł wyraźnie nie lubił Krzysztofa, zdawał sobie sprawę, że ten działał mu na nerwy. Pomimo to jednak starał się do niego możliwie zbliżyć, przede wszystkim poznać go dobrze

---

<sup>102</sup> *ocembrować* – umocnić, obudowując ceglami lub betonem, ściany studni, zbiornika wodnego, brzegi rzeki itp. [przypis edytorski]

ze względu na swoje plany, a po wtóre dlatego, że nie umiał przewyciężyć zaciekawienia, jakie w nim Krzysztof wzbudzał. Chłód jego i coraz wyraźniejsze unikanie styczności z Pawłem jeszcze mocniej utwierdzały Pawła w postanowieniu. W jego naturze leżała rezygnacja tylko wówczas, gdy znalazł się poza kołem graczy, teraz jednak z dniem każdym bardziej czuł się w jego środku.

List banku „Lloyd and Bower”, zawierający zgodę na rozłożenie długu na raty, a adresowany do Zakładów Braci Dalcz i Spółki z powołaniem się na osobistą rozmowę z naczelnym dyrektorem p. Pawłem Dalczem, został wciągnięty do ksiąg firmy i wręczony przez Pawła Krzysztofowi:

– Bądź, Krzysiu, tak dobry i oddaj to twemu ojcu. Chciałem z tym być u niego sam, lecz dzisiaj, niestety, nie będę miał czasu, a sprawa jest pilna.

Krzysztof przeczytał list i powiedział:

– Żądają od nas wpłacenia w lutym sześćdziesięciu tysięcy dolarów, a resztę zgadzają się rozłożyć. Nie rozumiem. O ile wiem, zapewniałeś ojca, że sam pokryjesz dług. Ty i twoje rodzeństwo.

– Tak jest w istocie.

– Więc cóż znaczy ten list?

– Jest dowodem, że i tak zdołałem uzyskać w banku warunki, o jakich stryj nie mógłby nawet marzyć, gdybym ja się tym nie zajął. W lutym trzeba byłoby zapłacić dwieście tysięcy, a ponieważ firma nie mogłaby znikąd wydobyć tak

wielkiej sumy, doszłoby do skandalu. Nie rozumiem cię, Krzychu, dlaczego moje maksimum dobrej woli, naprawdę niewymuszonej, do licha, woli, traktujesz w taki sposób?... Powiedziałem raz, że zapłacę, i nie ma wątpliwości, że tego dotrzymam.

– Więc cóż to obchodzi mnie lub też mego ojca? Wierzymy ci i czekamy.

– Wyborny jesteś! – zaśmiał się szyderczo Paweł. – Zapominasz, że pomimo wszystko nie zaliczam się do zwierząt pociągowych, na które zwala się ciężary i wzrusza się ramionami, jeżeli pod nimi zdychają. Owszem, dodźwigam do końca, ale chyba mam prawo wymagać ludzkiego do siebie stosunku. Mniejsza o motywy, dla których wziąłem je na siebie. Pozostaje faktem, że uwolniłem od nich właśnie stryja i ciebie.

– Nikt temu nie zaprzecza – obojętnie zauważył Krzysztof.

– Trudno zaprzeczać oczywistości. Zapłaciłem już dwadzieścia tysięcy dolarów i zapłacę resztę. Ale w lutym nie mogę uruchomić takiej kwoty, jakiej oni żądają. Mam wprawdzie w Liverpoolu... Zresztą nie lubię być gołosłownym. Zechciej to przejrzeć.

Wydobył z szuflady kilka listów i kwitów. Były to dokumenty, stwierdzające, iż w składach portowych złożone zostały wielkie partie bawełny, stanowiącej własność Pawła Dalcza, a ubezpieczone na wysokie sumy.

Kogoś obdarzonego szczególnym zmysłem spostrzegawczości mógłby uderzyć dziwny zbieg okoliczności, że blankiety

banku w Manchester, składów w Liverpoolu i towarzystwa asekuracyjnego<sup>103</sup> w Londynie są drukowane czcionkami identycznego kroju. Krzysztof zauważył tylko, że każda z tych instytucji używała innego papieru i innej taśmy w maszynie.

– Widzisz więc, że w ostatecznym razie mógłbym sprzedać kilka tysięcy bel bawełny. Ale teraz jest najgorszy sezon, najniższe ceny. Straciłbym na tym bardzo wiele, a tego chyba ode mnie już nie żądacie? Przejrzyj cedułę<sup>104</sup> bawełnianą, a sam się przekonasz.

– O co ci tedy<sup>105</sup> chodzi? – zapytał Krzysztof, składając papiery i oddając je Pawłowi.

– Jutro rano muszę wysłać odpowiedź. Zatem chcę, by stryj wypowiedział się, czy zgodzi się dodać do lutowej raty czterdzieści tysięcy dolarów, oczywiście z tym, że w ciągu sześciu miesięcy ja je zwrócę.

– A jeżeli ojciec się nie zgodzi?

– Jeżeli nie zgodzi się?... Hm... wówczas odpiszę, że nie możemy skorzystać z warunków banku i pozostawiamy mu wolną rękę.

Paweł rozłożył ręce i dodał:

– Robię tylko to, co mogę.

– Więc to jednak przymus! Dlaczego nie udasz się do swego rodzeństwa!

---

<sup>103</sup> *towarzystwo asekuracyjne* – instytucja ubezpieczeniowa. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *ceduła* (daw.) – zapis, kwit; wykaz. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *tedy* (daw.) – zatem, więc. [przypis edytorski]

– Stryj, mój drogi Krzysztofie, wie równie dobrze, jak i ja, że oni nic nie mają. Zaś sprzedaż ich udziałów w obecnej sytuacji, sam to rozumiesz, byłaby marnotrawstwem.

Krzysztof nic nie odpowiedział i schował list do kieszeni.

Stał odwrócony profilem i jego długie rzęsy rzucały na policzek gęsty wygięty cień. Wydawał się teraz Pawłowi niezwykle ładnym chłopcem i pomimo swego obejścia bardzo sympatycznym. Nagle poczuł w sobie jakąś niezrozumiałą złość, że ten młody człowiek, o którego życzliwość zabiega, szczerze czy nieszczerze – to obojętne, że ten kuzyn, młodszy o dziesięć lat, traktuje go tak obco i z daleka.

Niespodziewanie dla siebie samego Paweł powiedział:

– Posądzasz mnie o specjalną względność<sup>106</sup> familijną dla mego rodzeństwa. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak dalekie to jest od prawdy. Rodzeństwo... Puste słowo. Nigdy nie miałem rodzeństwa, nigdy nie miałem rodziny... Nie nauczyłem się tak zwanej wspólnoty domowego ogniska, nie miałem zeń ani odrobiny ciepła... A w życiu nieraz człowiek zziębnięty chciałby ogrzać ręce. Najsilniejsze ręce przecie ziębną. Stają się jak lód. Nie rozgrzeje się ich przy cudzym ognisku, choćby to było ognisko, przypuścimy, twego domu, bliższego mi niż inne z powodu związków krwi. Związki krwi są takim samym umownym frazesem, jak uczucia rodzinne. Dlatego niepotrzebnie, Krzysztofie, odpędzasz mnie kijem od swego ogniska... Nie wyciągam do niego rąk, Krzysztofie...

---

<sup>106</sup> względność (tu daw.) – okazywanie względów, przychylności. [przypis edytorski]

Nie oczekuję od ciebie ani odrobiny ciepła, ale niepotrzebnie przypominasz mi to każdym słowem i każdym gestem. Niepotrzebnie...

Mówił, patrząc w okno. Gdy odwrócił głowę, ujrzał wpatrzony w siebie oczy Krzysztofa, ogromne czarne oczy, w których był jakby ból, jakby przerażenie, jakby cierpienie. Smągła twarz zdawała się bledszą, a usta zdawały się drżeć, hamować jakieś słowa...

Lecz wszystko to było tylko złudzeniem. Krzysztof odwrócił się i szedł do drzwi. Dopiero na progu stanął i z ręką na klamce powiedział:

– Masz przywidzenia i jakieś mgliste pretensje. Za dużo pracujesz i to odbija się źle na stanie twoich nerwów.

Drzwi lekko trzasnęły, na korytarzu oddalały się szybkie elastyczne kroki.

Paweł zaśmiał się krótko i nieszczerze. Pierwszy raz od przyjazdu do Warszawy nie był z siebie zadowolony. Po co mówił temu głupiemu smarkaczowi te jakieś niedorzeczne sentymentalności, po co, u licha, wyskoczył z niemal zwierzeniami?... Zły stan nerwów! Bałwan! Nigdy jeszcze Paweł nie miał nerwów w tak idealnym porządku, nigdy w tak spokojnym nie były napięciu. Pewny był każdego kroku, odmierzony miał każdy uśmiech, zważone z apteczną precyzją każde słowo.

A jednak przed chwilą zachował się bez sensu. To wina tego smarkacza. Jego obrażający chłód doprowadził Pawła do

najwyższej irytacji. Z jakąż przyjemnością wykręciłby mu ręce aż do bólu, zgniótłby to chuchro, zmiażdżył siłą swoich mięśni...

– Pożałuje jeszcze tego, pożałuje. Mgliste pretensje... No, oczywiście, że mgliste, idiotyczne pretensje!

We wzroku Krzysztofa widział coś innego, coś dziwnego, niezrozumiałego, ale to było przywidzenie.

– Czyżbym zaczął cierpieć na halucynacje? – zaśmiał się i nacisnął guzik dzwonka.

Na progu stanął sekretarz:

– Panie Holder, niech pan każe szoferowi, żeby zaraz zajeżdżał.

– Słucham pana dyrektora.

W pół godziny później Paweł wchodził na odrapane i skrzypiące schody brudnej kamienicy przy ulicy Chmielnej. Na trzecim piętrze zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili usłyszał człapanie pantofli i rozległ się ochryply głos kobiety:

– A kto tam?

– Ja do pana Tolewskiego – odpowiedział Paweł.

– Nie ma.

– Ale wrócił już?

– A jeżeli i wrócił, to co?

– Mam interes.

– To niech pan idzie do „Italii”.

– Tam go znają?

– Jeszcze by nie znali. Całymi dniami wysiaduje.

W kawiarni portier rozejrzał się po wieszakach i oświadczył:

– A jakże, proszę szanownego pana, jest. Musi siedzieć w drugiej sali.

Paweł usiadł i kazał podać sobie kawy. Widział, jak kelner podszedł do stolika zajętego przez kilku mężczyzn, prowadzących ożywioną rozmowę. Po chwili jeden z nich wstał i zbliżył się do stolika Pawła z pytającym wyrazem twarzy.

– Pan Tolewski, nieprawdaż? Jestem Dalcz. – Paweł podał rękę, którą Tolewski z manifestowanym szacunkiem uściśnił.

– Do usług szanownego pana dyrektora.

– Proszę. Niech pan siada.

Był to średniego wzrostu, dobrze odpasiony jegomość około pięćdziesiątki, ubrany dość niechlujnie, lecz starannie wygolony i z mocno przyczernionymi wąsami. Usiadł z nonszalancją światowca i swobodnie podciągnął nogawkę spodni w paski, przyglądając się nieznacznie wielkiemu brylantowi na palcu Pawła.

Było to oczywiste, że Tolewski spełnił wyłącznie rolę pośrednika w sprzedaży udziałów, i Paweł od pierwszego rzutu oka ocenił jego sytuację, która nie musiała należeć do najpomyślniejszych.

– Miałbym do pana pewien interes w związku z transakcją, jaką przeprowadził pan z moim ojcem – powiedział. – Słyszał pan prawdopodobnie, że po jego śmierci ja objąłem kierownictwo naszej fabryki?

– Naturalnie, że słyszałem, panie dyrektorze. W kawiarni słyszy się o wszystkim.

– Czy nie powie mi pan zatem, z kim należałoby mówić o udziałach sprzedanych przez mego ojca?

Tolewski zaśmiał się dyskretnie:

– Ja zawsze jestem do dyspozycji pana dyrektora.

– Zatem znajdują się one w posiadaniu...

– O, nie w moim, nie w moim, niestety. Gdzie tam.

– Ale pan wie, w czyim?

– Niewiele z tego przyjdzie panu dyrektorowi, gdyż obie strony, to jest nabywca i sprzedający, zastrzegły sobie zupełną dyskrecję. Tedy... sam pan widzi...

Rozłożył ręce takim ruchem, jakby wyjaśnił, że nic zrobić nie może, lecz i takim jednocześnie, jakby zawsze był gotów przytrzymać kontrahenta<sup>107</sup>, gdyby ten w naiwności swojej uwierzył.

Paweł poczęstował go papierosem i milcząc przyglądał się grze jego rysów.

– Panie Tolewski – odezwał się po dłuższej pauzie – czym się właściwie pan trudni?

– Ja?... Hm... tym i owym, co się zdarzy. Różne interesy.

– Pośrednictwem? I co ono panu daje?

– Grosze – westchnął Tolewski. – Teraz taki zastój. Ledwie się koniec z końcem wiąże.

– No, a jak się panu powiodło w Krakowie?

Tolewski niespokojnie poruszył się na krześle i obejrzawszy się dokoła, zapytał drżącym głosem:

---

<sup>107</sup> *kontrahent* – jedna ze stron umowy handlowej. [przypis edytorski]

– Skąd pan wie, że byłem w Krakowie?

Paweł w sam czas powstrzymał się od zapewnienia, że właściwie nic nie wie, i zrobiwszy pauzę, uśmiechnął się:

– Słyszysz się to i owo. Ale proszę wierzyć mi, panie Tolewski, że mnie to nic na razie nie obchodzi.

– Jak mam rozumieć to „na razie”?

– Nie obchodzi – mówił dalej Paweł – gdyż zajęty jestem inną sprawą, w której pan może mi dużo rzeczy ułatwić i dużo na tym zarobić. Nieściśle mówię „zarobić”. Zdobyć pozycję i majątek.

Tolewski uspokoił się i przysunął się wraz z krzesłem:

– Do usług, panie dyrektorze.

– Kto kupił udziały? Jeżeli pan nie masz do mnie zaufania, możesz pan nie wymieniać nazwiska. Chodzi mi na razie o jego stanowisko, zawód, majątek?

– Majątek?... – podniósł brwi Tolewski. – To milionerka!

– Więc kobieta?

– No tak, co ja będę z panem dyrektorem bawić się w ciuciubabkę: Wenzlowa, sama stara Wenzlowa!

Wymówił to nazwisko jako powszechnie znane, lecz widząc, że Dalczowi nic ono nie wyjaśnia, dodał:

– To wdowa po tym Wenzlu, co jeszcze na modlińskich dostawach się dorobił. Za młodu była, jak teraz opowiada, aktorką. Ale tak naprawdę, to po prostu puszczała się na wielką skalę. Miała dwóch mężów, Wenzel był trzeci. W Warszawie każdy ją zna. Brylanty w uszach nosi większe niż u pana dyrektora w pierścionku.

– Dziwne. Dlaczego ona właśnie kupiła? Dlaczego mój ojciec jej sprzedał udziały?

Tolewski zrobił filuterne oko:

– Ma baba pieniądze, a ludzie opowiadają, że dla świętej pamięci pana Dalcza żywiła jeszcze z dawnych czasów... Kto to może wiedzieć... Kiedyś piekielnie ładna była... Dość że jak się tylko dowiedziała, że pan Dalcz, znaczy się ojciec pański, szuka kupca na swoją część fabryki, to zatelefonowała do mnie i kazała mi iść do niego.

– Czy utrzymuje pan z nią jakikolwiek kontakt?

– Owszem.

– Nie wie pan, jak przyjęła wiadomość o samobójstwie?

– Pańskiego ojca? Ależ! Słowo honoru daję, że baba prawie oszalała. Była pewna, że to bankructwo fabryki i że ze swoich stu dziesięciu tysięcy dolarów nie zobaczy ani gronia.

– Tyle zapłaciła za udziały?

– Tak – z poufną miną zapewnił Tolewski i nagle odsunął się. – Ale ja panu dyrektorowi różne rzeczy takie opowiadam... Właściwie to mnie nie wolno...

Paweł roześmiał się:

– Tyle już mi pan opowiedział, że gdybym chciał zrobić coś za pańskimi plecami, to i tak mógłbym. Powtarzam jednak, panie Tolewski, że nie jestem z tych, i ręcę panu za dobry interes.

To przekonało Tolewskiego. Oświadczył, że nie żywi żadnych obaw, że na ludziach się zna, że widzi, z kim ma do czynienia, i zaczął opowiadać szczegółowo o przebiegu

transakcji i o obecnych niepokojach Wenzlowej.

W umyśle Pawła coraz wyraźniej krystalizował się plan działania. Rzecz była do zrobienia. Czasu wprawdzie zostawało niewiele, ale przy pewnym wysiłku można ułożyć.

Ze słów Tolewskiego wynikało, że Wenzlowa już jest nastraszone. Pozostawało zatem doprowadzić niepokój jej do takiego stanu, w jakim byłaby gotowa sprzedać udziały za najmniejszą kwotę. Dążyć do tego trzeba dwiema drogami: przedstawić jej w najgorszym świetle stan interesów fabryki i zademonstrować przed nią panikę udziałowców, usiłujących wyzbyć się udziałów.

Naturalnie na to wszystko trzeba jednak mieć pieniądze. Jeżeli stryj Karol nie da się naciągnąć na owe czterdzieści tysięcy – cała kombinacja okaże się nierealna. Nierealna to jeszcze nie znaczy przegrana. Należy wówczas znaleźć inną. Tymczasem jednak, zważywszy wszystkie szanse, wolno było mieć nadzieję. Jeżeli nawet Krzysztof źle usposobi stryja, jeszcze nie będzie to powodem do rezygnacji. Paweł wypróbował już na stryju siłę argumentacji. Właściwie zupełnie niepotrzebnie zwrócił się tym razem do Krzysztofa. Zrobił to raczej dlatego, że kociła go ta oziębłość stryjecznego brata, że niejako chciał go wciągnąć w swoje sprawy bliżej.

Tolewski mieszał głośno cukier w kawie i od czasu do czasu spoglądał na zamyślonego Pawła.

– Nie jest tak źle, panie Tolewski – odezwał się ten wreszcie –

będzie to lepszy i znacznie intratniejszy<sup>108</sup> interes dla pana niż...  
krakowski.

Ostatnie słowo wymówił z takim naciskiem, jakby najlepiej był poinformowany o tym interesie, a widząc zmieszanie pośrednika, łagodząco dodał:

– Nie będziemy na siebie narzekali. Obiecuję to panu.

– Jestem tego pewien, panie dyrektorze.

– Ja jeszcze bardziej. No, niech pan zajrzy do mnie jutro wieczorem około ósmej. Zna pan mój adres?

– To jest mieszkanie świętej pamięci ojca pana dyrektora?

– Tak. I niech pan służbie nie mówi swego nazwiska. Do widzenia panu.

– Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

Paweł Dalcz wcale nie spał tej nocy. Do świtu siedział przy biurku. O świcie z jego pokoju rozległ się hałaśliwy wrzask gramofonu, bardzo hałaśliwy, gdyż swym hałasem musiał pokryć terkotanie maszynki drukarskiej.

O ósmej wszystko było gotowe.

Wziął prawie zimną kąpiel, ubrał się i pojechał do fabryki. W ciągu pół godziny przejrzał korespondencję, wydał Holderowi dyspozycje i wewnętrznym telefonem połączył się z gabinetem Krzysztofa. Odezwał się głos jego sekretarki: „Jest chory, nie będzie dziś w fabryce”.

Paweł położył słuchawkę i poszedł rozmówić się z Jarszówną.

– Dzień dobry pani. Mój brat jest chory?

---

<sup>108</sup> *intratny* – dochodowy, przynoszący zyski. [przypis edytorski]

– Telefonowano z domu, panie dyrektorze, że nie przyjdzie, bo czuje się niezdrów.

– Nie wie pani, co mu jest? Może się zaziębił?

– Nie wiem, panie dyrektorze.

– Proszę, niechże pani siada. Nie widziała go pani od wczoraj?

Jarszówna zarumieniła się:

– Dlaczego pan dyrektor myśli, że mogłam się widzieć.

Wczoraj nie miałam żadnej popołudniówki...

– O! To pani tyle pracuje, że miewa czasem i zajęcia wieczorne? – udał zdziwienie.

– Zdarza się, panie dyrektorze.

– Mój kuzyn zamęcza panią. Gdybym nie obawiał się, że jest o panią zazdrosny, powiedziałbym mu, że trzeba nie mieć serca, by zmuszać do tylu godzin pracy tak uroczą istotkę, jak pani.

Dziewczyna zrobiła się purpurowa i spuściła oczy.

Paweł pochylił się nad nią i dodał prawie półgłosem:

– Nie dziwię się Krzysztofowi, że jest zazdrosny. Ile razy tu wchodzę, nie umie ukryć swego niezadowolenia. Czy pani moje odwiedziny też sprawiają przykrość?

– O, pan dyrektor żartuje...

– Nie, nie, proszę odpowiedzieć szczerze! Może mi na tym zależy. No? Sprawiają przykrość?

W milczeniu potrząsnęła głową przecząco.

– Eee, ukrywa pani wzrok – skrzywił się. – Proszę spojrzeć na mnie. Po oczach pani poznam, czy to prawda.

Podniosła nań roziskrzony bardzo niebieskie oczy.

Pomyślał, że jest ładna i że albo należy do gatunku urodzonych kokietek, albo już tak za bardzo nie kocha się w Krzysztofie. Dla próby dodał:

– A nie powie mu pani, żeśmy sobie gawędzili tu na tematy nie całkiem biurowe?

– Pan Krzysztof nie będzie wcale pytać...

– Gdyby jednak?... On tyle ma z panią wspólnych tajemnic, tak mi się przynajmniej zdaje, chciałbym i ja mieć z panią jedną małą tajemnicę. Przy tym przez zazdrość gotów mnie znienawidzić. A chyba pani nie zależy na tym, by między stryjecznymi braćmi doszło do nieprzyjaznych uczuć?

– Ja nic nie powiem! – żarliwie zapewniła z taką intonacją, jakby to było od początku oczywiste.

– To dobrze – uśmiechnął się. – Krzysztof i tak nie bardzo mnie lubi. Wie to pani lepiej ode mnie. Prawda?

– Cóż znowu, panie dyrektorze – zdetonowała się<sup>109</sup>. – Ja nic o tym nie wiem...

Paweł pomyślał, że jest inaczej i że trzeba się będzie zabrać do spenetrowania tej sprawy. Nie przewidywał specjalnych trudności. Dziewczyna była dość naiwna, no i dostatecznie ładna, by wywiad tego rodzaju nie należał do zabiegów przykrych.

– Zatem do widzenia – spojrzał na nią znacząco.

– Do widzenia, panie dyrektorze.

Wyszedł i mruknął do siebie:

– Zabawna gęś.

---

<sup>109</sup> zdetonować się (daw.) – zmieszać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

Do telefonu podszedł, jak zwykle w tym domu, Blumkiewicz. Potwierdził, że pan Krzysztof jest chory, nic poważnego, ale leży w łóżku, natomiast pan prezes prosi pana dyrektora do siebie.

Za furką w sztachetach zaczynał się ogród zasypany niemal do wierzchołków agrestu śniegiem. Ścieżka prowadząca do willi była rozcyszczona<sup>110</sup>, jak co dzień dla Krzysztofa, dziś jednak Paweł na niej pierwsze stawiał ślady.

W przedpokoju spotkała go pani Teresa.

– Jestem zaniepokojony, stryjenko, chorobą Krzysia. Blumkiewicz twierdzi, że to nic poważnego?...

– Zdaje się, że zwykle zaziębienie. Dziękuję ci, Pawle. To prawdziwe szaleństwo z jego strony jeździć przy takiej pogodzie otwartym autem.

– Na miły Bóg, czemuż nie bierze dyrekcyjnego<sup>111</sup>! Ja go prawie nie używam. Czy mogę Krzysia odwiedzić?

– Nie, nie – jakby zaniepokoiła się pani Teresa. – Może to coś zaraźliwego...

– To drobiazg, stryjenko, nie boję się.

– Zresztą Krzyś teraz śpi, a nie chciałabym go budzić.

– No, oczywiście – zrezygnował Paweł. – A do stryja można?

– Czeka na ciebie.

Pan Karol wyciągnął na powitanie rękę. Wyraz twarzy miał spokojny, prawie przyjemny. Obok na nocnym stoliku Paweł

---

<sup>110</sup> *rozcyszczony* – oczyszczony. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *dyrekcyjny* – związany z dyрекcją; tu: o samochodzie służbowym do dyspozycji dyrekcji. [przypis edytorski]

zauważył list, wręczony wczoraj Krzysztofowi.

– Stryj dziś nieźle się czuje, prawda? – zapytał troskliwie.

Chory skinął głową. W jego spojrzeniu Paweł nie dostrzegał już dawnej niechęci i podejrzliwości. Przeciwnie, zdawał się obserwować bratanka z rodzajem życzliwego zaciekawienia. I w jego głosie, gdy zaczął mówić, nie było już tej lekceważącej nuty. Mówił o fabryce, o nowych zamówieniach, o odgłosach z miasta, które dotarły do jego łóżka, przynosząc echa ruchliwej działalności Pawła.

Nie pochwalił ani jednym słowem, lecz w jego ostrzeżeniach przed zbytnią przedsiębiorczością, w jego uwagach i komentarzach brzmiała nuta uznania.

Paweł odpowiedział skromnym stwierdzeniem, że jest jeszcze wiele do zrobienia, że na razie brak mu jeszcze dostatecznej znajomości terenu, lecz że w każdym razie trzeba skonstatować uspokojenie opinii sfer gospodarczych co do trwałych podstaw egzystencji firmy.

Uśmiechnął się przy tym, gdyż forma, w jakiej to wypowiedział, przypominała mu żywo stereotypowy komunikat z każdego rokowań międzynarodowych.

„Dyplomacja jednak ma swoje zalety” – pomyślał.

Pan Karol wziął do ręki list banku i przebiegając oczyma wiersze maszynowego pisma zapytał o kilka szczegółów, po czym oświadczył, że w zasadzie nie podziela zdania Krzysztofa i że pod pewnymi gwarancjami gotów jest przyjść Pawłowi z pomocą w regulowaniu długu.

– Więc Krzysztof był przeciwny temu? – niedbale zapytał Paweł.

– Mniejsza o to. Przekonałem go. Krzysztof, widzisz, niewiele ma jeszcze doświadczenia i wszystko wyobraża sobie zbyt symplistycznie<sup>112</sup>.

– Mam wrażenie, że raczej czuje do mnie jakąś niezrozumiałą niechęć.

Chory pominął tę uwagę i powrócił do omawiania lutowej raty.

Po przeszło godzinnej rozmowie Paweł, wychodząc, natknął się na Blumkiewicza.

– Dobrze, że pana spotykam – powiedział. – Niech no pan się dowie, czy pan Krzysztof nie śpi, bo chciałbym z nim się zobaczyć.

– Jest chory, panie dyrektorze. A jak jest chory, to nikogo nie przyjmuje.

– Jednak będę musiał z nim się rozmówić. Niech pan mu powie, że chodzi o podanie terminu wiertarki dla Częstochowy i o urlop dla inżyniera Jasińskiego. Jego żona...

– Przepraszam, panie dyrektorze, ale ja też nie mam wstępu. Najlepiej będzie powiedzieć pani prezesowej. Jeżeli pan zechce zaczekać, zaraz poproszę.

Paweł kiwnął głową i usiadł na kanapie, obciążonej białym pokrowcem. Wszystkie meble w salonie zasłonięte były

---

<sup>112</sup> *symplistyczny* (z łac. *simplex, simplicis*: prosty) – prosty, nieskomplikowany; prostacki. [przypis edytorski]

pokrowcami, co sprawiało zimne niemieszkalne wrażenie. Od wielu lat nic się tu nie zmieniło. Po dawnemu stryjostwo żyli całkowicie oddzieleni od świata i od ludzi. Może właśnie w oschłej atmosferze tego domu należało szukać przyczyn dziwnego charakteru Krzysztofa?... Odradzał ojcu wpłacanie lutowej raty. Czy to przebiegłość, czy po prostu jakaś zawzięta niechęć?... Lojalnie opowiedział o bawelnie, zatem wierzył, przynajmniej pan Karol mówił o tym tak, jakby mu Krzysztof żadnych wątpliwości w ogóle nie poddawał. Zatem nie podejrzania, lecz zwykła niechęć...

– Głupi smarkacz. Udaje teraz chorobę, bo mu przez gardło nie chciało przejść zakomunikowanie zgody ojca. Czekaj no, gagatku, nauczę cię jeszcze chodzić po nitce!...

Zjawiła się pani Teresa, cicha w swoich bezszelestnych pantoflach, z niezmiennym półuśmiechem na świeżej i strapionej twarzy.

– Chciałeś, Pawle, bym o coś zapytała Krzysia?

Paweł wyszczególnił jej obie sprawy, co do których bez Krzysztofa nie mógł powziąć decyzji, gdyż obie należały do wyłącznej kompetencji dyrektora technicznego. Po kilku minutach wróciła z odpowiedzią: wiertarka dla Częstochowy będzie wykonana z najdalej dziesięciodniowym opóźnieniem, Jasińskiemu zaś można udzielić urlopu najwyżej na trzy dni.

– Byłoby wskazane, stryjenko – zauważył, żegnając się, Paweł – założenie w pokoju Krzysztofa aparatu telefonicznego. Jeżeli stryjenka pozwoli, przyślę montera.

– Nie, nie, nie tym razem – stanowczo zaproponowała staruszka.

– Można to będzie zrobić, gdy Krzyś wyzdrowieje.

– Wtedy już nie będzie potrzeby, zresztą, jak stryjenka chce.

Na dworze zaczął padać śnieg. Wielkie wilgotne płaty łaskotały nos i policzki, gęsto pokrywały futro kołnierza. Ścieżka znowu była gładka, bez jednego śladu.

„Pustkowie” – myślał Paweł. „Zamknęli się w zupełnym odludziu. Jednak tego nie robi się bez ważnych powodów! Musi w tym tkwić jakaś tajemnica!”

Myśl ta z biegiem dni przerodziła się w pewność i nie dawała mu spokoju. Postanowił sobie dotrzeć do tajemnicy za wszelką cenę już nie tylko ze względu na atut, jakim zawsze jest posiadanie każdej tajemnicy przeciwnika, lecz i ze sportowej pasji gracza. Gdyby nie nawał zajęć, pochłaniających dobę prawie bez reszty, mógłby do tego zabrać się energiczniej. Na razie wszakże znacznie ważniejsze było uporanie się z Wenzlową...

Prywatne biuro detektywów w ciągu tygodnia dostarczyło Pawłowi wyczerpujących informacji o Tolewskim. Z zawodu geometra<sup>113</sup>, wykluczony ze związku za nadużycia, dwukrotnie zamieszany w sprawy szantażowe, pozostaje na utrzymaniu żony, wdowy po zubożonym sklepikarzu, prowadzi różne niezbyt czyste interesy. Trudni się pośrednictwem w lichwiarskich pożyczkach. Co robił niedawno w Krakowie, trudno było

---

<sup>113</sup> *geometra* – tu daw.: geodeta, specjalista od pomiarów terenu i sporządzania planów. [przypis edytorski]

ustalić. W każdym razie zamieszkiwał tam u znanej paserki<sup>114</sup> Kiermanowej, a w „Esplanadzie” widziano go z podejrzanym o przemytnictwo właścicielem zakładu fryzjerskiego Lipanikiem.

– Słowem – zakończył swe sprawozdanie agent – jeżeli szanowny pan chce mu zaufać więcej niż na pięć złotych, stanowczo odradzamy.

Paweł był kontent<sup>115</sup>. Przy najbliższej rozmowie z Tolewskim z lekka i mimochodem dał mu do zrozumienia, że świetnie się orientuje w jego sprawach intymnych, a gdy spryciarz chciał odłożyć swoją wizytę u Wenzlowej i tłumaczył się tym, że nie jest ogolony, Paweł rzucił od niechcienia:

– No, ogolenie nie zajmie panu tyle czasu. Fryzjerzy warszawscy nie gorzej gołą niż zacny mistrz Lipanik w Krakowie.

Tolewski zbladł i przełknął ślinę.

– My musimy być w zgodzie i iść sobie na rękę, mój drogi panie Tolewski – ciągnął Paweł. – Panu się zdaje, że zyskasz więcej na przeciąganiu sprawy. Wierzaj pan, że ja lepiej wiem, jak co należy zrobić. I pan na tym lepiej wyjdiesz. Nie chcę pana okpić i nie mam po temu możliwości. Ale i mnie pan nie nabierzesz. Nie należę chyba do takich, którzy pozwolą się wystrychnąć na dudka, co?

Tolewski spojrział na szerokie bary, na szare przenikliwe oczy

---

<sup>114</sup> *paser* – osoba handlująca skradzionymi przedmiotami. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *kontent* (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

i wąską linię ust Pawła i rozłożył ręce:

– Panie dyrektorze, jak Boga kocham, czyż ja coś takiego?...

– No, więc rób pan swoje.

I Tolewski robił. Robota zaś zaczęła się od podniecenia niepokoju Wenzlowej. Stara aktorka dobrze знаła się na ludziach, a na Tolewskim w szczególności, toteż nie dałaby się lada czym wziąć. Ponieważ jednak nieraz przez niego udzielała pożyczek na lichwiarski procent, nie zdziwiła się, gdy pośrednik zjawił się u niej w imieniu pana Karola Dalcza z propozycją zaciągnięcia pożyczki na kilkanaście tysięcy, na każdy procent, byle prędko.

Ten pośpiech i małość kwoty zdziwiły Wenzlową. Przypuszczała wprawdzie, że samobójstwo Wilhelma Dalcza nie było bez kozery<sup>116</sup>, ale nie myślała, by było tam aż tak źle. Zapowiedziała tedy Tolewskiemu, że chętnie pożyczycy, że prosi go jednak o wybadanie sytuacji. A że Tolewski nie miał pieniędzy, otrzymał dwieście złotych na koszty i wówczas dopiero przypomniał sobie, że jest w serdecznej przyjaźni z panem Zdzisławem Dalczem i że od niego można się wielu rzeczy dowiedzieć. Na rzeczy te nie czekała Wenzlowa długo. Już nazajutrz Tolewski przyniósł oryginał umowy pożyczkowej z bankiem manchesterskim oraz kilka listów adresowanych do Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, a grożących bardzo przykrymi konsekwencjami. Do przeczytania angielskiej umowy został natychmiast sprowadzony pewien jegomość,

---

<sup>116</sup> *kozera* (daw.) – powód, przyczyna; dziś zwykle w wyrażeniu: nie bez kozery. [przypis edytorski]

reemigrant z Ameryki, resztę zaś Wenzłowa szybko zrozumiała sama.

Oczywiście, o kilkunastu tysiącach nie było już mowy. Natomiast wręcz do furii doprowadziła Wenzłową naiwność Tolewskiego, który zaproponował jej inny interes: mianowicie jeden ze współników firmy, pan Jachimowski, chciałby sprzedać swoje udziały. Ponieważ ma inne rzeczy na widoku – sam o tym zapewniał Tolewskiego – zależy mu na pośpiechu. Dlatego gotów jest sprzedać swoje udziały za trzy czwarte wartości.

Nazajutrz Tolewski oświadczył, że pan Jachimowski rozumie, że pośpiech musi go kosztować, i gotów jest do dalszych ustępstw. Na oburzenie Wenzłowej Tolewski skromnie zauważył, że jego zdaniem Wenzłowa zrobiłaby dobry interes. Cenę Jachimowskiego można bowiem zbić bardzo nisko, bo wszyscy mówią, że tam grozi plajta.

Bezpośrednim następstwem tej uwagi był długi atak spazmów<sup>117</sup>. Tolewski dowiedział się, że jest ostatnim idiotą, kretynek, cymbałem, że ją zrujnował, że przez takiego głupca, jak on, przyjdzie się jej z torbami pójść, że gdyby nie Tolewski, ona nigdy by nie kupiła udziałów od starego Dalcza itd.

W jednym tylko przyznała Tolewskiemu rację: że nie należy o zbliżającej się plajcie nikomu mówić, bo jeszcze może znaleźć się ktoś, kto nabierze się i udziały odkupi, ktoś, komu będzie je można wkręcić bodaj z dużą stratą.

---

<sup>117</sup> *spazmy* – gwałtowny płacz połączony z zachłystywaniem się, łkaniem. [przypis edytorski]

– Więc będzie baba milczała? – zapytał Paweł, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania.

– To murowane, panie dyrektorze. Jak pan widzi, robię wszystko według, che... che... zasad sztuki.

– Nie pożaluje pan tego.

– Jeżeli się uda...

– Musi się udać i zostanie pan posiadaczem ładnego pakietu udziałów. Jeszcze jedno. Czy Wenzlowa czytuje dzienniki?

– Naturalnie, panie dyrektorze, bo co?

– No, ale biuletynów różnych agencji na pewno nie czyta?

– Niby takich, jak na przykład gospodarczy biuletyn Agencji Wschodniej?

Paweł skinął głową, otworzył biurko i wydobył z szuflady kilkanaście kartek zadrukowanych na ręcznej maszynie.

– „Komunikat Polskiej Agencji Ekonomicznej” – przeczytał nagłówek Tolewski. – Nie wiedziałem, że taka istnieje...

– Bo też nie bardzo istnieje – zaśmiał się Paweł. – Zobacz pan ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem.

Była to wiadomość o zachwianiu się jednej z najstarszych firm przemysłowych, Zakładów Braci Dalcz. Kryzys i nieogłędna gospodarka doprowadziły do ruiny to niegdyś świetne przedsiębiorstwo. Prowadzone ostatnio rokowania z kapitalistami zagranicznymi znowu uległy rozbiciu. Zwrócenie się firmy o nadzór sądowy oczekiwane jest lada dzień.

Tolewski wyszczerzył żółte zęby:

– Mam to babie jutro pokazać?

– Jutro. Ale przedtem zatelefonuj pan do mnie. No, a teraz zmiataj pan tędy, przez kuchnię, bo tam już czekają na mnie. Zaraz. Przeprowadziłeś się pan do „Bristolu”?

– Od wczoraj, panie dyrektorze.

– Do licha, sprawżę pan sobie wreszcie porządniejsze ubranie. Za kilka dni musisz pan wyglądać na burżuja.

Zatrzasnął drzwi i przeszedł do salonu Haliny, gdzie oczekiwał już od dłuższego czasu Jachimowski.

Paweł położył przed nim dwa arkusiki papieru, zapisane równym czytelnym pismem śp. Wilhelma Dalcza.

– Znalazłeś? – zapytał po chwili.

– Tak. Jakiś Tolewski. Więc co?

– Odszukałem go. Ma się rozumieć nie osobiście. Podobno sprytna sztuka.

– Przemysłowiec?

– I tak, i nie. Przeważnie kapitalista. Tu sprzeda, tam kupi. Rozumiesz? Zapewniają, że ma nos do interesów, wie, co gdzie się dzieje. Mieszka w Katowicach, ale w tych dniach ma być w Warszawie.

Jachimowski pstryknął palcami:

– Sam, Pawle kochany, wybac mi szczerłość, skomplikowałeś i utrudniłeś naszą sprawę. Fabryka ma dzięki tobie znowu świetną opinię i ten... no, Tolewski, nie jest chyba takim idiotą, żeby pozwolić sobie zbić cenę.

– Na wszystko są sposoby – ostrożnie powiedział Paweł.

– Nie widzę ich.

Paweł zmarszczył brwi i przeszedł się po pokoju:

– Mamy jedną przewagę – mówił jakby do siebie – o tym, jak jest naprawdę w firmie, wiemy tylko my. Jeżeli temu Tolewskiemu nie brakuje sprytu, nie będzie on wierzył opinii, póki nie zajrzy do faktycznych danych. A nic łatwiejszego, jak właśnie takie dane mu zaprezentować jednym małym trickiem.

– Nie rozumiem – niecierpliwie poruszył się Jachimowski.

– Całkiem proste. Dać mu dowód, że z fabryką jest źle, że myszy uciekają z tonącego okrętu.

Jachimowski przygryzł wargę i wysoko podniósł brwi. Jego rysy wyrażały natężone skupienie. Wreszcie domyślił się:

– Mówisz o zaproponowaniu mu kupna dalszych udziałów?

– Tak. To jest jedyna i najlepsza droga. Sama oferta wystarczy, by zbić cenę.

– A jeżeli nie wystarczy? Jeżeli ten facet złakomi się?

Paweł roześmiał się. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w dobre interesy? Kto się złakomi na wykupywanie udziałów przedsiębiorstwa przemysłowego w ogóle, a takiego w szczególności, takiego na przykład, którego dyrektor handlowy chce wyzbyć się swoich udziałów za wszelką cenę? Nie, takiego głupca dziś się nie znajdzie!

Przekonało to Jachimowskiego, lecz nasunęło nowe obiekcje:

– Przypuśćmy. Jednak w tymże czasie ty zwrócisz się doń z propozycją odkupienia wszystkich udziałów, nieprawdaż?

– Tak, przez adwokata i z zachowaniem wszelkich pozorów niezdecydowanego.

– Mniejsza o to. Ale wyobraźmy sobie, że ten gość zwącha pismo nosem, że spostrzeże się w sytuacji, że dla samej próby zaryzykuje kupno udziałów, tym bardziej że tu już zaryzykuje drobiazg. Co wtedy?

Paweł wzruszył ramionami. Nie wierzy w taką ewentualność. Gdyby jednak mogło do tego dojść, nic w tym strasznego. I tak wszystkie wrócą do ich rąk, z tą różnicą, że po znacznie niższej cenie.

Rozwinął przed Jachimowskim szczegółowy plan, uderzający wprawdzie pozornymi nieprawdopodobieństwami, lecz czyż największym nieprawdopodobieństwem nie była zgoda pana Karola na pozostawienie dyrekcji w rękach Pawła, bez sprawdzenia, że nikt ze spadkobierców zmarłego nie posiada najmniejszych praw do fabryki. Teraz chodziło o odzyskanie tych praw do odzyskania majątku. Rzecz warta pewnego ryzyka.

Paweł dał szwagrowi do zrozumienia, że jeżeli ten nie chce ryzykować własnymi udziałami, zawsze może podstawić udziały Ganta, na które ma przecie plenipotencję<sup>118</sup>. Gantowi nie może zbyt na tym zależeć. Nawet w razie fiaska<sup>119</sup> łatwo mu wytłumaczyć, że był moment paniki i trzeba było sprzedać jego udziały za bezcen, bo tak wyglądało, że nazajutrz już niczego się za nie nie uzyska.

Obserwując spod oka minę Jachimowskiego, Paweł widział, że argumenty nie chybią celu. Zaczął tedy mówić o innej stronie

---

<sup>118</sup> *plenipotencja* (z łac.) – pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *fiasko* (z wł. *fiasco*) – nieudanie się czegoś, niepowodzenie. [przypis edytorski]

medalu. Jeżeli uda się wykupić wszystko od Tolewskiego, a udać się musi, to cała w tym zasługa i całe ryzyko będzie wyłącznie po stronie Jachimowskiego i Pawła. Oni rzecz przeprowadzą, oni dadzą pieniądze, oni narażą się na ewentualne nieprzyjemności.

– My dwaj i tylko my. Przyznasz, że to musi nasunąć pytanie, z jakiej racji ktokolwiek poza nami, chociażby nam bliski, miał się dzielić z nami rezultatem?...

Jachimowski wyjął chusteczkę i obtarł pot z łysiny. Na jego twarzy koloru sera szwajcarskiego wystąpiły ceglaste wypieki.

– Nie będziemy zresztą łapać ryb przed niewodem<sup>120</sup> – ciągnął Paweł. – Znajdziemy na to dość czasu później. Sądzę, że my potrafimy się porozumieć, jak myślisz?

– Myślę, że z ciebie jest diabelny gracz! – wypalił Jachimowski.

Paweł zaśmiał się skromnie:

– Mój drogi, dużo rzeczy nauczyłem się na Zachodzie. Powiedziałeś „gracz”. Masz rację. Gracz! – zniżył głos. – A czy ty wiesz, że tylko na grze wyrastają wielkie fortuny? Czy ty rozumiesz, że w dzisiejszych czasach kto nie gra, ten przez to samo skazuje się na przegraną, bo obok niego rosną miliony, a on nie przestaje być drobną rybką! Kiedyś opowiem ci, jak się te sprawy robią w bawelnie! Słuchaj! Nie lubię na próżno truć mózgu i tracić słów. Decyduj się. Nie zmuszam cię do tej spółki. Jeżeli odmówisz, nie będę miał do ciebie nawet żalu. Zdaję sobie

---

<sup>120</sup> *łapać ryby przed niewodem* (przysł.) – przedwcześnie cieszyć się z osiągnięcia planowanych, ale niepewnych korzyści, traktować je jako pewne. [przypis edytorski]

sprawę z tego, że są natury niezdolne do większej gry. Idziesz ze mną?...

Jachimowski wytrzeszczył oczy i Paweł niemal fizycznie czuł na swojej twarzy jego rozpaczliwie badające spojrzenie, w którym malowała się zarówno nieprzeparta ochota, jak i obawa postawienia wszystkiego na jedną kartę. Obfity pot spływał mu po skroniach.

– A... czy dużo trzeba będzie... wyłożyć gotówki? – wybełkotał.

– Nie – lekko powiedział Paweł – ja dysponuję na razie czterdziestoma tysiącami.

– Złotych?

– Dolarów, oczywiście. Przypuszczam zaś, że całość nie przekroczy sześćdziesięciu. A mówiąc między nami, udziały warte są dwieście z ładnym ogonkiem.

– Ja – przełknął ślinę Jachimowski – niestety nie będę miał dwudziestu.

– Więc ile?

– Dziesięć, niech będzie dwanaście. Widzisz, nie chciałbym niczego sprzedawać.

– Oczywiście – oburzył się Paweł. – Zresztą skoro nie możemy zebrać sześćdziesięciu, musimy kupić za tyle, ile mamy.

Uśmiechnął się poważnie, a Jachimowski wyładował się długim urywanym chichotem, przy czym kręcił się na krześle i zacierał ręce.

Przed pożegnaniem Paweł z naciskiem podkreślił

konieczność zachowania najściślejszego milczenia o całej transakcji.

– To rozumiałe – zapewnił Jachimowski, nakładając futro – i wiesz, Pawle, mam jakieś przeczucie, że się nam wszystko uda!

– Musi się udać.

Zamknął za nim drzwi, zaśmiał się krótko i powiedział:

– Bałwan.

## Rozdział V

Marychnę bardzo niepokoiła choroba Krzysztofa. Niepokoiła tym bardziej, że po części przyszła z jej winy. Niepotrzebnie uparła się wówczas, by jechać autem. W kinie było gorąco i dlatego się zaziębił. Przez pierwsze trzy dni oczekiwała odeń kartki lub telefonu. Widocznie jednak był bardzo chory, bo nie przypuszczała, by się na nią pogniewał.

Po prostu nie miałyby o co. Starła się zawsze być dla niego najdelikatniejsza, znosiła jego dziwactwa bez sprzeciwu, nie dokuczała żadnymi pytaniami. Nie wybierała takiej taktyki z rozmysłem. Przyszło to bez wyboru, gdyż samo leżało w jej naturze. Dawniej myślała, że w ten sposób zdoła zbliżyć do siebie Krzysztofa, da mu zapomnieć o tym jakimś strasznym dramacie, który go gnębi, a który zawsze otaczał tajemnicą. Wreszcie zostawiła rzeczy ich własnemu biegowi, tak jak przestała zastanawiać się nad swoją własną sytuacją.

Na rozmyślania nie miała czasu. Zbyt była zajęta bieżącym dniem. Teraz jednak po biurowych i tak prawie beczynnych godzinach całe popołudnie stało się męczącą pustką, niedającą się niczym zapełnić. Obcowanie z Krzysztofem odsunęło ją od wszystkich dawnych znajomych i przyjaciółek. Nie próbowała do nich ponownie się zbliżyć, wyczuwając ich niechęć i może nie tyle swoją wyższość, ile ubóstwo tego, co one dać jej mogły po subtelnym, mądrym i nieprawdopodobnie inteligentnym

Krzysztofie. Marychna często nie rozumiała go wcale, lecz napawało ją swego rodzaju dumą już to, że dzielił się z nią swoimi myślami, że czytał jej wiersze. Nie знаła żadnego obcego języka, lecz godzinami z niezmaconym zainteresowaniem słuchała Shelleya<sup>121</sup>, Puszkina<sup>122</sup>, Verlaine'a<sup>123</sup>, których musiał jej tłumaczyć.

Teraz małe tomiki, oprawne w brunatny zamsz, leżały milczące. Kluczem do nich były wyzłocone inicjały Krzysztofa, lecz i te były nieme. W ogóle cały jego świat bez niego dla niej był zamknięty. Jego świat, to świat piękna, wykwintu i głębokich myśli, takich głębokich, że trudno było je pojąć, takich zawitych, że niepodobna było doszukać się ich pobudek. Gdy mu to kiedyś powiedziała, nazwał swój świat księżycowym, a nazajutrz przyniósł wiersze Tuwima i przeczytał jeden, zaczynający się od strofki, którą dobrze zapamiętała:

Na księżycu – „martwa natura”<sup>124</sup>,  
na księżycu – literatura.  
Błądzą po nim blade i śliczne

---

<sup>121</sup> *Shelley, Percy Bysshe* (1792–1822) – ang. poeta i dramaturg, jeden z najważniejszych twórców angielskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *Puszkin, Aleksandr Siergiejewicz* (1799–1837) – rosyjski poeta, dramaturg i prozaik, najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Verlaine, Paul* (1844–1896) – francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wykłętych, przedstawiciel impresjonizmu w literaturze. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *Na księżycu (...)* – fragm. wiersza Juliana Tuwima *Satyra na księżyc*. [przypis edytorski]

Powiedział, że to jego świat, księżycowy, nierealny, martwy, że jest lunatykiem życia, tragikomiczną figurką ze sztychów Beardsleya<sup>126</sup>, a gdy zapytała, nie bez przestachu, czy istotnie po dachach chodzi, roześmiał się i zapewnił, że nigdy nie schodzi na ziemię i że czasem wolałby spaść, byle raz na nią się dostać.

Dziwny taki. Jest w nim coś zimnego i obcego, chociaż tyle okazuje jej ciepła i życzliwości, a nawet czasem zazdrości. Tylko bowiem zazdrością można było wytłumaczyć jego dziwaczne zachowanie się wówczas, gdy miała nieostrożność powiedzieć mu, że pan Paweł Dalcz jest przystojny. Sam zaczął wówczas wynajdywać różne zalety swego stryjecznego brata i żądać, by ona przyznawała mu słuszność, że to prawdziwy mężczyzna, że ma postawę zwycięzcy, że ma zęby jak u wilka, że jego oczy połyskują stalą, że w głosie jego jest coś, co musi brać kobiety, i takie różne rzeczy. Oczywiście przejrzała podstęp Krzysztofa i wszystkiemu przeczyła, nawet temu, że jej się mogą podobać blondyni. Pomimo to rozgniewał się bardzo i nawet obraził ją ironicznymi uwagami o naiwnych samiczkach prowincjonalnych.

---

<sup>125</sup> *somnambuliczny* – lunatyczny, właściwy lunatykom, osobom poruszającym się i wykonującym czynności w głębokim uśpieniu, co przypisywano działaniu światła księżyca. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *Beardsley, Aubrey* (1872–1898) – ang. rysownik i ilustrator tworzący w stylu secesji; jego czarno-białe grafiki, dekadencje i groteskowe, cechowały się uproszczeniem form, giętkością linii i ornamentalnością. [przypis edytorski]

Gdy się rozpląkała, zmitygował<sup>127</sup> się, wyczałował ją i byli już w takiej komitywie<sup>128</sup>, że zaczęła żałować tego, że nie ma na sobie swojej najładniejszej kombinezki<sup>129</sup> z tulipanami, ale niepotrzebnie, bo znowu do niczego nie doszło. Wszystko, jak zawsze, skończyło się na pocałunkach i pieścizotach, które rozpałały ją do zawrotu głowy i wzmagaly głód prawdziwej miłości.

Pomału w świadomości Marychny zaczął wzbierać żal do Krzysztofa i teraz, gdy od szeregu dni nie widywała go, przemawiał coraz mocniej. Właściwie jej sytuacja była dzika i nienaturalna. Nie jest ani narzeczoną, ani kochanką, ani nawet przyjaciółką Krzysztofa, nie mogło bowiem być mowy o przyjaźni tam, gdzie rozciągała się tak wielka różnica poziomu umysłowego. A jednak czuła się skrepowana, jakby zobowiązana do wierności, chociaż sama nie wiedziała czym.

Dość często teraz widywała się z inżynierem Ottmanem. Tak się jakoś składało, że chemik jechał do fabryki tym samym tramwajem, a widocznie mniej ostatnio miał do roboty, gdyż wychodził nieraz o trzeciej i odprowadzał Marychnę do domu. Lubiła go, chociaż jako mężczyzna wcale się jej nie podobał. Mówiło się z nim dobrze, ba, znacznie lepiej niż z Krzysztofem. Ottman przecie też był bardzo inteligentny i wykształcony,

---

<sup>127</sup> *mitygować się* – powstrzymywać się, panować nad sobą. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *komitywa* (z łac.) – zażyłość, bliskie, poufale stosunki. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *kombinezka* (daw.) – jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

ale jakoś nie dawał jej odczuć swojej wyższości, był bardziej swojski. Może dlatego, że pochodził z ubogiej rodziny, a może po prostu starał się być delikatnym.

Opowiadał jej o rzeczach bardzo mądrych, jak na przykład o różnych wynalazkach chemicznych, nad którymi pracował, ale opowiadał w ten sposób, że rozumiała wszystko. W ogóle rozumiała go całego, z jego uprzejmością, z jego dobrocią, z prostotą posuwającą się aż do niezaradności i z tą nieśmiałością, z racji której mówiono o nim w fabryce: „ten poczciwy Ottman”.

Rozmawiając z nim, nigdy nie obawiała się wprost wypowiedzieć swoich myśli. Wiedziała, że choćby naplotła największych nonsensów, on nie będzie się z niej śmiał, jak to robił Krzysztof. Mówiło się z nim dobrze, po swojemu. Miało się zaufanie do jego niebieskich oczu, do tych nawet tak brzydkich u mężczyzny różowych policzków i do nieładnych rąk, zawsze poplamionych różnymi chemikaliami. Nigdy by nie zdobyła się na pocałowanie tych rąk, jak obcałowywała piękne, nieprawdopodobnie piękne ręce Krzysztofa. Ale stanowczo wolała uścisk dłoni Ottmana.

Po Trzech Królach przysłała gwałtowna odwilż i ulica Bema tonęła w brzydkim błocie. Wracali właśnie z fabryki i Ottman łagodnie gniewał się na Marychnę, że nie nałożyła botów, gdy w pędzie minął ich dyrektorski samochód, wielka ciemnozielona maszyna.

Spod kół trysnęła struga czarnej wody i błota, ochlapując Ottmana od stóp do głów, a Marychnie nowiuteńkie pończochy.

– O la la! – zawołał bezradnie Ottman.

– Boże, jak my wyglądamy.

Samochód zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków dalej i nagle zaczął się cofać tylnym biegiem. Gdy zrównał się z nimi, otworzyły się drzwiczki i dyrektor Paweł Dalcz wychylił głowę:

– Bardzo państwa przepraszam za nieuwagę mego szofera – powiedział, uchylając futrzanej czapki. – Strasznie was ochlapaliśmy.

– O, drobiazg, panie dyrektorze – uśmiechnął się Ottman.

– W każdym razie nie możecie państwo w tym stanie iść przez miasto. Odwożę was. Proszę.

– Ależ, panie dyrektorze... Ja doprawdy... Może panna Jarszówna... Poplamiłbym panu cały wóz.

– Siadajcie prędzej. No, już. Niech mi pani poda rękę. Hop!

Marychna w gruncie rzeczy była kontenta. Pończochy się przepiorą, a za to jest rzadka okazja przejechać się limuzyną obok naczelnego dyrektora. Jak to on grzecznie zrobił...

– Dokąd państwa mam odwieźć? – zapytał.

– Ja mieszkam na Lesznie – odpowiedziała Marychna.

– A pan, inżynierze?

– O, ja daleko, na Koszykowej.

– Na Koszykową – rzucił dyrektor szoferowi i zwracając się do Marychny, powiedział: – Musi się pani poświęcić, ale najpierw odwieziemy bardziej poszkodowanego.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze.

– Nie upiera się pani przy pierwszeństwie?

– Cóż znowu!

– No, inżynierze, niech pan podziękuje pani – zaśmiał się. – No, jakże, otrzymał już pan te próbki z hartowni?

– Są już w robocie.

– To doskonale. Otóż i Koszykowa. Pod którym numerem pan mieszka?

– Trzydzieści siedem.

Auto stanęło. Ottman pożegnał się, podziękował i wysiadł.

Samochód zawracał.

– Doprawdy, panie dyrektorze, mogłabym wrócić tramwajem. Robię tyle kłopotu...

– Dlaczego nie pomyśli pani – uśmiechnął się do niej – że sprawia mi przyjemność swym towarzystwem?

Zerknęła nań z ukosa i pomyślała, że Krzysztof nic nie przesadził. Paweł Dalcz musiał się podobać kobietom. Odpowiedziała z cieniem kokieterii:

– Cóż ja, panie dyrektorze, pan w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi...

– Ja?... Z czego to pani wnioskuje?

– Pan jest taki poważny.

Zamyślił się. Miała wrażenie, że sprawiła mu przykrość, i nie wiedziała, co ma powiedzieć. I tak podziwiała własną odwagę. Jeszcze przed kilku miesiącami każdy dyrektor, a naczelnym tym bardziej, był dla niej czymś groźnym i niedosięgalnym. Dopiero flirt z Krzysztofem ośmielił ją nieco.

– Ma pani rację. Jestem za poważny. Dlatego nie mogę

podobać się kobietom. Prawda?

– Ależ bynajmniej! – zaprotestowała.

– Nie znajduje pani?... Zresztą dla pani mogę nie być poważny. Specjalnie dla pani. Widocznie jest to u nas rodzinne...

– Powaga?

– Nie. Sympatia do pani.

Marychna poczerwieniała aż po białka oczu.

– Nie chciałem pani dotknąć – powiedział łagodnie. – Proszę się na mnie nie gniewać, ale nie jest dla mnie tajemnicą, że mój brat stryjeczny kocha się w pani.

Auto stanęło przed przecznicą, zapchaną ciężarowymi wozami.

– Proszę mi powiedzieć, czy Krzysztof jest bardzo o panią zazdrosny? – Lekko pochylił się do niej. – Czy nie wyzwie mnie na pojedynek za to, że panią emabluję<sup>130</sup>?

– Pan mnie wcale nie emabluję... – wybąkała nieśmiało.

– Owszem. Emabluję z całą premedytacją. Chcę się pani podobać. Zaraz. Janie – zwrócił się głośno do szofera – na Trzeci Most... Przejedziemy się troszkę. Dobrze?

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze...

– Proszę mnie nie tytułować dyrektorem. Nie jestem w tej chwili pani zwierzchnikiem, lecz towarzyszem przejażdżki. A może pani jest głodna i bardzo śpieszy na obiad?

---

<sup>130</sup> *emablować* (fr.) – otaczać szczególnymi względami, zabawiać, nadszkakiwać.  
[przypis edytorski]

– Nie.

– Zatem coś pani na to, że chcę się pani podobać?

– Pan żartuje.

– Nie, nie żartuję. Krzysztof może smalić do pani cholewki<sup>131</sup>, ten chemik może wywracać do niej oczy, dlaczego pani mnie nie może brać? Pani jest bardzo ładna i bardzo młoda. Bierze mnie pani tym wszystkim. To prawda, że nie jestem kobieciarzem, ale przecież o tyle znam się na kobietach. Proszę mi wybaczyć, że wyłożyłem to tak niezdarnie, bez kwiatków, bez bławatków, bez słodkich słówek. To nie moja specjalność. Jak pani na imię?

– Marychna... to jest Maria... – powiedziała, nie podnosząc oczu.

– Lubię to imię – Kiwnął głową. – Marychna... ładnie brzmi. Więc co pani na to, panno Marychno?

Milczała zupełnie zażenowana. Jeszcze nigdy nikt w ten sposób z nią nie rozmawiał. Przecież nie mogła mu tak z miejsca powiedzieć, że od dawna, od pierwszego spojrzenia podoba się jej znacznie więcej od Krzysztofa i od wszystkich innych mężczyzn... i teraz, chociaż miał w sposobie bycia coś chropowatego, wydał się jej jeszcze bardziej interesujący.

– Niech mi pani powie: „Jesteś, przyjacielu, zanadto obcesowy<sup>132</sup>, a to nie leży w moim guście”... Gdy to od pani usłyszę, przestanę pani dokuczać.

– Ale ja tak nie powiem – wydobyła z siebie, zapinając

---

<sup>131</sup> *smalić cholewki* – zalecać się. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *obcesowy* – nadmiernie bezpośredni i natarczywy. [przypis edytorski]

i odpinając torebkę.

– A jak pani powie?... Kocha się pani w Krzysztofie? – zapytał niespodziewanie.

– Dlaczego pan dyrektor pyta... ja doprawdy... – Przygryzła wargi i odwróciła głowę. Miała uczucie jakby skrzywdzonej. Wypytuje ją jak sędzia śledczy. Ona nie ma żadnego obowiązku spowiadać się mu, że jest naczelnym dyrektorem, to jeszcze nie powód, żeby miał prawo nad nią się znęcać...

Nagle poczuła jego rękę na swoich i usłyszała głos łagodny, niemal pieszczotliwy:

– Proszę nie gniewać się, proszę nie gniewać się na mnie. Wiem, że jestem szorstki, że sprawiłem pani przykrość, ale niech panna Marychna weźmie pod uwagę, że nawet ludzie tak szorstcy mogą odczuwać... zazdrość.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– No, zgoda między nami? – zapytał z uśmiechem.

Spojrzała nań. Jego szare oczy miały odcień stali, w całym pochyleniu postaci było coś pociągającego.

– Ja się wcale nie gniewam, tylko tak...

Auto zatrzymało się przed jej domem. Wyskoczył i pomógł jej wysiąść.

– Bardzo pani dziękuję za miłe towarzystwo – powiedział, całując ją w rękę – i proszę o mnie odrobinę pamiętać. Dobrze?

– Dobrze. – Skinęła głową i wbiegła do bramy, jakby przed nim uciekała.

Zdarzenie to przejęło ją ogromnie. Przez cały wieczór nic

nie robiła, tylko myślała o Pawle Dalczu i o jego zachowaniu się w samochodzie. Jakkolwiek mogła to tłumaczyć, nie ulegało wątpliwości, że wywarła na nim dodatnie wrażenie. W fabryce wszyscy mówili, że w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi. Nie na próżno odwiózł najpierw Ottmana... Ile razy przychodził do gabinetu Krzysztofa, zawsze z nią rozmawiał i okazywał dla niej szczególne względy.

Początkowo myślała, że to przez wzgląd na Krzysztofa. Teraz jednak wiedziała, że mu się bardzo podoba. Nie wiedziała tylko, co z tego będzie, nie wiedziała, jak ma postępować w stosunku do niego, no i do Krzysztofa. W każdym razie Krzysztofowi nie wspomni ani słowem o tym wszystkim...

Zasypiając, doszła do przekonania, że los człowieka bywa dziwny i że nigdy nie wiadomo, jak się życie ułoży. Najlepiej tedy zostawić wypadki ich własnemu biegowi.

Nazajutrz po przebudzeniu się całe wczorajsze zdarzenie wydało się jej czymś fantastycznym, jakimś przygodnym kaprysem Pawła Dalcza, który na pewno już sam o nim zapomniał... Na próżno też za każdym otwarciem drzwi gabinetu odwracała głowę od maszyny. Nie przyszedł. Podczas przerwy obiadowej spotkała go na korytarzu. Rozmawiał z szefem buchalterii, lecz wcale jej nie zauważył. Był jakiś chmurny i groźny.

O trzeciej umyślnie zwlekała z wyjściem. Pod oknami stała limuzyna dyrektorska, lecz on nie wychodził.

Wróciła do domu sama, gdyż i Ottmana nie było. Czytała

wiersze, nie mogąc złapać ich treści, wreszcie rozplakana się, owinęła się w ciepły szal i tak przesie-<sup>133</sup> fonować albo przysłać bodaj kilka słów, świadczących o tym, że pamięta. Bardzo to nieładnie z jego strony...

– Panno Marychno, herbata na stole! – rozległ się głos gospodyni.

– Już idę.

W chwili gdy poprawiała włosy, zadzwonił telefon w przedpokoju.

– Jakiś pan do pani, panno Marychno – zawołała gospodyni.

„Krzysztof!” – pomyślała Marychna. „Jak to dobrze! Może przyjdzie...”

W słuchawce jednak zabrzmiał niski, fascynujący głos Pawła Dalcza:

– Dobry wieczór, miła koleżanko. Dzwonię, by się dowiedzieć, co pani porabia?

– Ach... to pan...

– Dziwi się pani?

– Nie spodziewałam się – powiedziała tak, jakby mówiła: jakże to pięknie, że pan dzwoni.

– To źle. Zapomniała pani o mnie...

– O...

– Czy pani już po kolacji?

– Już – skłamała, sama nie wiedząc dlaczego.

---

<sup>133</sup> ...i tak przesie- – następnego wiersza tekstu brak we wszystkich wydaniach.  
[przypis edytorski]

– To szkoda. Bo widzi pani, ja jestem głodny, lecz nie mniej spragniony widoku pani, i tak sobie pomyślałem, że dobrze byłoby zjeść kolację razem. Hm... Nie zlituje się pani nad samotnikiem?

– Ja doprawdy nie wiem – powiedziała i dostrzegła w lustrze swoją uśmiechniętą i zaróżowioną twarz.

– Wobec tego ja muszę wiedzieć. Proszę się prędyutko ubrać, za dziesięć minut zajadę i będę trąbił na dole. Dosłyszycy pani?... Zresztą i to jest zbędne. Punktualnie za dziesięć minut czekam.

Nim zdążyła coś odpowiedzieć, położył słuchawkę.

– Tra la la, tra la la – zanuciła Marychna i szybko zaczęła się przebierać.

– Herbata, panno Marychno!

– Dziękuję pani, ale muszę wyjść.

Nagle przyszło jej na myśl, że to bezczelne z jego strony tak rozporządzać się nią. Że jest dyrektorem, to jeszcze nie daje prawa. Właściwie nie powinna schodzić. Cóż on sobie wyobraża, że ledwie raczy kiwnąć palcem... Rzuciła okiem na zegarek i z pośpiechem zaczęła nakładać suknię, tę samą, projektowaną przez Krzysztofa. W tej jest najładniej.

Zbiegła na dół o kilka minut za wcześnie. Dał silny północny wiatr i jej lekkie palto zdawało się niczym. Wypatrywała wielkiej ciemnozielonej limuzyny, dlatego też nie spostrzegła zajeżdżającej taksówki. Dopiero gdy się otworzyły drzwiczki, zorientowała się, że to on.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.